

Doblas
Bibl. Lign.



PORTRETY

LITERACKIE.

ŻYWOT
FRANCISZKA MORAWSKIEGO,

Z JEGO LISTÓW UŁOŻONY

PRZEZ

LUCYANA SIEMIĘSKIEGO.

Un biographe n'a point de drapeau.
Son guide est la vérité, son unique
loi, la conscience.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

1867.

Zbiory specjalne



162070

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 7 6 3 9 3



D-MM/25

Czcionkami A. Schmädickego w Poznaniu.

Franciszek Morawski.

(1783 — 1861.)

W czasach Legionów i Księstwa Warszawskiego, kiedy wszystko co żyło, w orężu pokładało nadzieję nierzadcy byli ludzie, którzy dary talentu rozwinięte nauką, badania w ciszy bibliotek zdobyte, nieśli w szeregi, na pole krwi i trudu. Wszelkie inne drogi i zawody publicznego użytku ustępowały przed orężnym rzemiosłem. Jeniusz wojenny stał na czele świata, i świat wzorował się podług niego.

Szczególniej dla poetycznych usposobień porywającą była ta sława wojenna przymiawająca wszystkie inne, jak tego uczy sama historia, gdy tonem epepei umieszcza zawsze na najwyższym szczeblu wielkich zwycięzców i zdobywców, a niż-

sze miejsce daje mędrcom, prawodawcom i wynalazcom, zgoła dobroczyńcom ludzkości pracującym i poświęcającym się dla niej bez krwi rozlewu.

Ciche zdobycze mniej porywają wyobraźnię ogółu, niż szczękiem szabel i hukiem dział wygrywająca siła lub odwaga.

Pogrzebiona Polska, tylko na pobojuwiskach szukała dla siebie kolebki.

Pod tém hasłem instynktu narodowego, każdy gorętszy duch opuszczał swój zawód, do którego ciągnęło go naukowe usposobienie lub dar natury, i stawał się żołnierzem.

Takich poetów-żołnierzy zapisały dzieje naszej literatury, naznaczając im niepoślednie miejsce w szeregu znakomitości tego okresu. Dość wymienić legionistę Cypryana Godebskiego, Antoniego Malczewskiego, Aleksandra i Maksymiliana Fredrów, [Reklewskiego, obu Brodzińskich, Ant. Goreckiego, a nakoniec Franciszka Morawskiego, który nawet po skończonych napoleońskich wojnach zawodu wojskowego nie zmienił na cywilny.

Gdyby wypadło grób jego, ustroić w godła życia, położyłbym lutnię, szablę, a nareszcie le-

miesz — bo i to godło ziemiańskiego zawodu, na którym u nas każdy niemal kończy, piastował w ostatnim okresie żywota, tak samo zaszczytnie i wzorowo, jak nosił dwa inne.

Mąż ten wzięty pod tymi trzema względami, następcza nader zajmujące studium co do stanu wyobrażeń tak literackich jak obywatelskich przez ciąg trwania konstytucyjnego królestwa i następnych lat kilkunastu po upadku powstania. Wyższy umysłem, zacny charakterem, szczery miłośnik ojczyzny, głęboko utwierdzony w głównych punktach stanowiących balast życia, zostawił po sobie jedyny w swoim rodzaju pamiętnik myśli; tak bowiem nazywam jego rozliczną korespondencję utrzymywaną z gronem poufanych przyjaciół, dla których nie miał nic utajonego.

Listy te obejmujące peryod lat dwudziestu kilku, nie były pisane w ukrytej myśli dania im publicznego rozgłosu; dla tego właśnie nieocenionym są materiałem do poznania wewnętrznego stanu ich autora, niemniej stanu pojęć bądź literackich, bądź towarzyskich, bądź dotyczących się wielu żywotnych kwestyi, zaprzatających umysły w pewnych momentach.

Utwory autora stoją zapewne w pierwszym

rzędzie, jako najwybitniejszy objaw jego indywidualnego talentu i charakteru spotęgowanego szczęśliwem natchnieniem lub mozołami rozmyślań. Atoli jest to, że powiem, oficjalna strona autorska; co zaś po za tą świetną zasłoną ukrywa się, jak: potoczna rozmowa, list dorywczo pisany, pamiętniki własnych wyznań, stanowią niejako komentarz i pokazują człowieka w codziennym neglizżu, takim, jakim był nie dla oczu ludzkich, lecz u siebie.

Nie stosuje się to jednak do zwykłych ludzi i zwykłych korespondencyi. Wiele tu znaczy czas, w którym człowiek publiczny żył, stanowisko, jakie zajmował, stosunki, w jakich zostawał. Jeżeli był poetą, pisarzem, — a żył w czasach moralnego ucisku, w pismach jego znajdzie się pełno hieroglifów nie każdemu zrozumiałych, a nawet wcale niezrozumiałych — albo téż z utworów jego nie można będzie całkiem wiedzieć, jakim był człowiek. W takich przypadkach literatura listowa daje klucz do wielu zagadek. Z wywnętrzeń się osobistych odbieramy objaśnienia, których nie mogłoby odgadnąć i najbystrzejsze oko umiejące czytać pomiędzy wierszami.

Korespondencya, to jak odczynnik chemiczny,

pokazuje z jakich pierwiastków składa się ciało. Przez nią dowiadujemy się prawdy; nie jeden uchodzący w opinii za zwolennika absolutyzmu i ciemności, okazał się miłośnikiem wolności i światła, i nawzajem taki, co sypał liberalne frazesy i uchodził za Katona lub Brutusa, był wrogiem prawdy i miał wszystkie skłonności Seida.

Biografia kreślona z wolnej ręki, idzie za miarą oka i w ogólnych rysach oddaje wizerunek publicznego charakteru. Listy, osobiste wyznania, pozwalają wymodelować podobieństwo w najdelikatniejszych odcieniach. Wszystkie drobne i wielkie namiętności, sympatyje i antypatyje wychodzą na jaw; najtajniejsze motywa i uczucia, wypowiedziane w pełnem zwierzeniu się, rzucają jakby światła i cienie, i portret nabywa fotograficznej wierności. Słowem, listy są jak okna duszy, które autor mimowolnie otwiera, pozwalając zaglądać we wnętrze swojego świata.

Z takiej to korespondencyi, pisaniej do najlepszych przyjaciół i krewnych, której ocalenie winniśmy jej treści, poważnej, wesołej, dowcipnej, często wielce nauczającej, niemniej szacunkowi, jaki piszący wzbudzał, — postanowiłem opowiedzieć żywot generała Franciszka Morawskiego,

szczególnej pod względem literackim; ta bowiem strona jego działalności, do której go ciągnął talent wrodzony i upodobanie, wpłata się w cały ruch umysłowy najświetniejszych chwil naszej literatury.

I.

Franciszek de Paula Dzierżykraj z Chomęcic Morawski urodził się na dniu 2 kwietnia 1783 r. w województwie poznańskim, we wsi Pudliszki, którą ojciec jego Wojciech Morawski, ożeniony z Zofią Szczaniecką, dziedzic dóbr Bełęcina i Karchowa trzymał podówczas w zastawie.

Urodził się więc jeszcze za czasów dawniej Rzeczypospolitej, lubo już okaleczonej pierwszym zaborem. Dziecięcych lat wrażenia mogły zatrzymać charakterystyczne rysy obyczaju staropolskiego, ale już nie patrzyły na swobody publiczne. Sparaliżowane życie zewnętrzne chroniło się w kryjówki ducha; widok upadku czoła starców pokrywał wstydem; krzywdy i upokorzenia matkom łzy wyciskały.....

Rumieniec ojca, łza matki..... od pieluch już napisały dziecku horoskop jego przyszłości...

O wychowaniu swoim, kształceniu się naukowym, nareszcie o służbie publicznej, skreślił generał Morawski sam autobiografię na krótko przed zgonem. Są to daty i główne rysy odnoszące się najwięcej do wojskowego zawodu. Podaje je, żeby na tém tle dopełnić człowieka życiem jego serca i głowy.

„Najpiérw — pisze on — pobierałem nauki w domu rodzicielskim w Bełęcinie, gdzie do tego czterech nauczycieli trzymano. Potém byłem na pensyi w Lesznie u niejakiego Chyliczkowskiego; potém znowu w domu, gdzie mi emigrant Francuz, ksiądz Bienaimé, późniejszy sufragan w Nancy, dalszych nauk udzielał. Na uniwersytecie w Frankfurcie nad Odrą byłem cztery lata, potém pracowałem przy sądzie tamecznym w wydziale kryminalnym, następnie zaś złożywszy w Kaliszu egzamin auskultatorski przed prezesem Dankelmanem, pracowałem tamże dwa lata. Później przez dwa lata gospodarowałem w Kotowiecku wraz z bratem moim Józefem, a następnie rok jeden w Luboni, gdzie dowiedziawszy się o bitwie pod Jeną, pojechałem do Poznania i wstąpiłem do gwardyi honorowej Napoleona w r. 1806. Zaraz zostałem podporucznikiem i w tymże roku jeszcze po bitwie pod Czczewem porucznikiem. Przy oblężeniu

Gdańska w r. 1807 byłem ranny w nogę i mianowany kapitanem. Tegoż roku przy oblężeniu Kołobrzega ranny byłem w ramię siekającami, przy tej sposobności pochwale mężstwa i od razu krzyż kawalerski, emaliowany, orderu *Virtuti militari* otrzymałem. Roku 1809 odbyłem kampanię austriacką jako adjutant generała Fisзера. Po bitwie pod Raszynem, gdzie miałem dziewięć razy przestrzelony mundur, zostałem podpułkownikiem i przeszedłem do dwunastego pułku piechoty księstwa Warszawskiego. Tegoż roku byłem przy obronie Sandomierza i w różnych bitwach; wszedłszy zaś do Krakowa, posłany zostałem na zdobycie Wieliczki, którą też łatwo Austriacy odstąpili. W r. 1811 byłem z pułkiem przy fortyfikowaniu Modlina, potem wkrótce przed kampanią 1812 r. zostałem grosmajorem w tymże dwunastym pułku piechoty, a że dowódzca jego, generał Weissenhoff poszedł na szefa sztabu dywizyi jenerała Zajączka, więc ja komenderowałem jako grosmajor pułkiem aż do Smoleńska. Roku 1812 pod Smoleńskiem przeznaczony zostałem na szefa sztabu do dywizyi jenerała Kniaziewicza. Za tę bitwę, w której konia podemną zabito, dostałem krzyż kawalerski legii honorowej. Całą tę kam-

panię rosyjską jako szef sztabu odbyłem i znajdowałem się we wszystkich wielkich bitwach, nawet pod Tarutynem za Moskwą. W czasie tej kampanii zostałem także pułkownikiem, o czém się dopiére dowiedziałem za powrotem do Warszawy, gdyż kurier z podpisem nominacyi nie mógł dojechać do armii. Podczas odwrotu byłem w bitwach pod Wiazmą i nad Berezyną.“

„Wróciwszy do Warszawy nominowany zostałem adjutantem-komendantem w sztabie księcia Poniatowskiego, przez którego z Krakowa wysłany do Napoleona z depeszami, znajdowałem się w bitwie pod Bautzen. W kampanii saskiej przeszedłem do kawalerii jako szef sztabu dywizyi jazdy księcia Antoniego Sułkowskiego, przy którym byłem w bitwach wszystkich, a nakoniec pod Lipskiem, za którą to otrzymałem krzyż złoty oficerski legii honorowej.“

„Po śmierci ks. Poniatowskiego, gdy ks. Sułkowski objął dowództwo naczelne wojska polskiego, mianowany zostałem szefem sztabu głównego; a gdy po Sułkowskim Dąbrowski objął toż dowództwo, i przez niego w tym stopniu potwierdzony zostałem, znajdowałem się w bitwach pod Hanau i pod Paryżem, lecz w tej ostatniej już jako świa-

dek tylko jeździłem z marszałkiem Marmontem, gdyż nie należałem do organizacy pułków będących na linii bojowej, wliczony bowiem zostałem do kompanii honorowej oficerów nieobjętych organizacją.“

„Roku 1814 po abdykacyi Napoleona posłany byłem przez cesarza Aleksandra do Danii, dla sprowadzenia brygady jazdy polskiej tamże znajdującej się. Przy nowej organizacy wojska polskiego przez w. ks. Konstantego, mianowany zostałem podszefem sztabu głównego; a w roku 1819 generałem brygady; w którym przeciągu czasu wiele rozmaitych nadesłano mi dekoracyi.“

„W czasie wojny 1831 r. komenderowałem najprzód brygadą, potem mianowano mię generałem dyżurnym całej armii, i w tymże stopniu byłem jeszcze w pierwszej bitwie pod Grochowem. Gdy Skrzynecki został naczelnym wodzem, na podanie jego do rządu narodowego, mianowano mię ministrem wojny.“

„Po skończonej wojnie odesłano mię do Wołogdy w głąb Rosyi, gdzie kilka lat przeżyłem: zkąd wróciwszy otrzymałem dymisyę, przy której mi pozostawiono rangę, tytuły i wszystkie oznaki honorowe; poczem wziąłem paszport emi-

gracyjny i przeniósłem się do majątku mego w w. ks. poznańskim.“

W krótkim tym zarysie tak zapełnionego żywota, uderza przedewszystkiem szybkie posuwanie się w stopniach wojskowych od pierwszego wstąpienia w szeregi; a w końcu pozostawienie tych stopni i nagród przez cesarza Mikołaja. Widać, że talent odznaczający się i przytomność torowały mu drogę; jak znowu godność, utrzymana nawet w pogńębieniu, kazała się uszanować samej zemście.

Sama powierzchowność generała miała szczęście ujmować sobie ludzi, tych nawet, którzy go z bliska nie znali. Postawa wojskowa, słuszną, okazała, wyraz twarzy sympatyczny, pociągający myślącym czołem i składem ust, na których kręcił się dowcipny uśmiech; rysy zaokrąglone, znamionujące łagodność i dobroć, a razem silnie wymodelowane mężkością charakteru, w całym ułożeniu swoboda ujmujących ruchów, zdradzająca mimowolnie pod regulaminową sztywnością konstantynowskiego żołnierza, dobrze wychowanego i światowego człowieka — oto mniej więcej wierne oddane wrażenie jaki mi robił widok tego generała, kiedy przed wielą laty widywałem go na



paradach wojskowych lub przychodzącego na publiczne egzamina uczniów.

Za owych czasów szkoły nasze były wolne od postronnych wpływów; nie mieliśmy gazet pisanych przez młodzież dla młodzieży, propagujących tę lub inną opinię; ajenci różnych stowarzyszeń nie przychodzili nam narzucać swoich nienawiści i admiracji — a jednak samym instynktem, wrodzoną domyslnością, umieliśmy kochać Morawskiego, chwycić każde jego słowo, obiegających wierszy jego uczyć się na pamięć, nie posiadać się z radości, jeżeli czytane na popisie wypracowanie czyje, trafnym zdaniem pochwalił. Niechże zjawił się Różniecki, czasem wizytujący szkoły — duszno robiło się w sali; w gardłach zasychało, oczy się spuszczały z obawy, aby się nie spotkać z tym wzrokiem, który mógł w sercu dziecka odkryć jakie niebezpieczne uczucie... Zgoła, wszystko było powarzone, i nauczyciele i studenci, jakby przeczuwano zbliżającą się burzę, lub ukąszenie jadowitego gadu.

Młodzież ma cudowne instynkta, któremi lepiej się kieruje niż narzuconą doktryną.

II.

Wielce to jest zajmującym, dochodzić u ludzi, którzy wsławili się jakim wynalazkiem lub odkryciem, tego pierwszego pomysłu, tego natchnionego potrącenia co otwiera przed nimi nowy zawód lub świat. Podobnie w pierwszym drgnięciu żyłki poetycznej, w formie w jakiej się myśl objawia, można znaleźć zarodek charakteru utworów przyszłego poety. Morawski kształcący się na prawnika, sam nie wiedział o sobie że ma talent do wierszy, w rodzaju epigramatu i satyry. Z przypadku więc następczonego widokiem złośliwej niewiasty złożyły mu się mimowolnie następujące cztery wiersze:

„Że kobieta z kości swój początek bierze,

Mocno temu wierzę,

Bo i Basia swoją złością

Stała mi w gardle kością.“

Wyborny ten epigram podobał się wszystkim; osądzono go dowcipnym i ciętym, co zachęciło młodzieńca do próbowania swych sił w tym zawodzie.

Dowcip też wrodzony najlepiej objawiał się

u niego w epigramatach i bajkach, i w tym rodzaju nikt mu niesprostął między wierszopisami 19 wieku. W części rywalizował z nim Antoni Gorecki, a chociaż mu niezbywa na dobrym, często oryginalnym koncepcie, nieumie być tak lekkim, delikatnym w swoich dowcipach, jak Morawski, który brzęczy i krąży jak pszczołka, kiedy pierwszy przypomina ciężkiego szerszenia.

Przez romantyków potępiony i wygnany dowcip, w nim jednym miał swego reprezentanta, tradycję staropolskiego jowializmu, przefiltrowanego w szkole dowcipów epoki stanisławowskiej. Wybitna ta własność cechująca pierwszy wierszyk na Basię, usuwając się z utworów jego w poważnym tonie trzymanych, została się w bajce, i tych niezliczonych *impromptus* jakimi przepełnione są jego listy, lub jakie wyrwały się w potocznój konwersacyi.

Z tego rodzaju dowcipnych, lekkich wierszyków znany był Morawski w kołach towarzyskich; atoli głośniejszej literackiej sławy nabył dopiero z utworzeniem się królestwa konstytucyjnego. — Zrobiła mu ją mowa, miana przy obchodzie pogrzebowym księcia Józefa Poniatowskiego w Sedan (23 grudnia 1813 r.), — drukowana w Paryżu,

czcionkami francuskimi, krążyła w rzadkich egzemplarzach, lecz w niezliczonych odpisach.

Patryotyczny ten głos, biorący pochop z wielkiej narodowej straty, przejmował do głębi duszy, i rozbudzał w młodzieży żądzę sławy i ofiar z nią połączonych, jak znowu zwieżłością stylu, dosadnością wyrażeń i artystyczną budową peryodów, lubo nie zawsze wolnych od napuszystości krasomowczej, w modę wprowadzonej przez Stanisława Potockiego, zyskiwał admirację ówczesnych stylistów, przenoszących manierę nad naturalną prostotę. W każdym razie mowa Morawskiego i treścią i czystością języka, lepszą była od wszystkich pochwalnych mów autora o Wyprawie i Stylu. Co mię szczególnie uderzyło w nią, to trafność historycznego sądu o królu Stanisławie Augusta, o którym tak się wyrażał:

„Któż z nas bez westchnienia żałości, zdoła wspomnieć tego króla z krwi jego (Poniatowskiego), który chociaż może nie był przyczyną wszystkich klęsk i nieszczęść, owszem wskrzeszonem światłem usiłował odkryć tę drogę wartości narodowej, którą poprzednia niedołężność dwuwieczną przykryła nocą; lecz nie umiał wynaleść w sobie tych przymiotów męskiej duszy, tak ko-

„niecznych królowi, królowi nieszczęśliwemu, królowi Polaków; nie umiał być pierwszym w owęj „najwłaściwszej rodowi swemu cnocie, i ztąd ściągnął na siebie ów straszliwy i moczom świata „nieprzepomny wyrok, że sądem ludu swego wszystko zaćmił, gdy przeżył zgon Polski.“

Dzisiejsze badania historyczne, ściślejsze, bo źródłowe, nie inaczej patrzą na tego nieszczęśliwego króla, zdejmując zeń stosy zarzutów, które mi go potomność ukamienowała, jednego tylko zdjęć zeń nie mogą, że z tronu Chrobrych przeniósł się na chleb łaskawy do Petersburga. Nieodłącznemu głupstwu, wielkim nawet zbrodniom, łatwiej wybaczyć, niż samolubnej małości.

W każdym razie nie mógł być trafniejszym wybór jak ten, który padł na Morawskiego, żeby opowiedział żołnierzom i narodowi czém był ten książę Józef odjęty nam w chwili bliskiej rozstrzygnięcia losów Polski. Nie wiem kto wówczas umiałby świetniej wywiązać się z tego zadania, a lubo w całej téj mowie gra fosforyczne światło wielkiego efektu wyrachowane na tych słuchaczy co nie mrużyli ocz przed ogniem baterii, niemniej jednak dla myślącego czytelnika znajdzie się wiele trafnego sądu, mistrzowskiego ujęcia

wypadków, i tego krasomówczego polotu, który ze sobą porywa.

Świetna ta próba wymowy i stylu, słusznie zapowiadała w Morawskim znamienitego pisarza. Jakoż w początkowych latach po utworzeniu królestwa, mianowicie w r. 1818 i 19, kiedy zaczęły się szerzej rozwijać zasady konstytucyjne, kiedy zjawily się dzienniczki jak Orzeł Biały i Kronika; słowem kiedy cenzura trzymała się w konstytucyjnych karbach, można było tu i owdzie spotkać się z jakim artykułem Morawskiego, lub dowcipną bajeczką. Tygodnik wydawany przez Brunona Kicińskiego, umieścił był nawet jego list do Wincentego Krasińskiego o Czapce, przeplatany wierszem i prozą, pełen znaczących aluzji do tego narodowego godła, choć w tonie lekkiego żartu powiedzianych. Między innemi — tych kilka wierszy:

„Muza, jeżeli pragniesz zyskać nieśmiertelność
Powiedz wiekom, co mogła narodowa dzielność:
Jak plemię czapką kryte wzniosło się w niebiosy,
Jak niezłomną stałością zmordowało losy —
I kiedy światem trzęsła Bellona zajadła,
Jak spadały korony... a czapka nie spada...“

Nie wiem czy względy znalazło u w. ks. Kon-

stantego zaczynającego się coraz więcej niepokoić zuchwałością prasy. To pewna, że odtąd nigdzie się już nie spotkać z podpisem Morawskiego w żadnym piśmie czasowym. Jeżeli cywilni, jak Kiciński, Brykczyński i inni dostawali się do kozy — jakaż kara mogłaby spotkać żołnierza, choćby w stopniu jeneralskim, gdyby odważył się był lekceważyć nieukontentowanie w księcia. Jego przekład Andromachy mający być przedstawiany w teatrze warszawskim już go trwogą nabawia, jak to widać z listu pisanego do Jędrzeja Koźmiana: „Niechże w przypadku pytania się o tłumacza, nie wymieniają tam mego nazwiska. Dałizby i mnie i sobie. Proś o to Osińskiego. Może też ostrożność niepotrzebna i nikt się ani spyta biorąc mój przekład za Dmóchowskiego tłumaczenie.“

Mimo téj obawy, Morawski, jak to ktoś za-
uważał w jego nekrologu*) umiał gwałtowność i straszne gniewy w. księcia najprędzej rozbroić, to dowcipną odpowiedzią, to stanowczym wyrazem głębokiego przekonania. Umiał także prawością swoją i najwyższym taktem zasłaniać nie-

*) Dziennik Poznański Nr. 292 z r. 1861.

dostatek cnoty i rozsądku w innych, nigdy w obec srogiego naczelnika godności swéj nie ponizając, nigdy się zdania swego nie wypierając. Ilu niesprawiedliwościom tym sposobem zapobiegł, ilu kolegów od nieszczęścia uchronił, to już dziś mało kto może pamiętać, ale Bóg mu zapewne do najważniejszych zasług policzy.

W pierwszych zapewne latach kongresowego królestwa wykonał on przekład Andromachy Rasyna, kiedy grono literatów warszawskich: Niemcewicz, Kajetan Koźmian, Osiński, Kruszyński, Mostowski, a z nimi Morawski, zaczęło myśleć o podniesieniu sceny narodowej, tak przez krytykę jak dzieła oryginalne i przekłady klasycznych wzorów. Wtenczas to w „Gazecie Warszawskiej“ zaczęły się ukazywać krytyki ze znakiem X. Y. Z. wychodzące od tego grona; Morawski dostarczył kilku krytyk sztuk przedstawianych i nie obwijając w bawelnę, ciął prawdę i aktorom i autorom, co wszakże zaniepokoiło Osińskiego, jako dyrektora teatru narodowego, który w tych surowych, choć słusznych sądach, widział niebezpieczeństwo dla kasy teatralnej. Krytyki te prędko ustały, co służy za jeden więcej dowód, że gdzie sztuka dramatyczna przez monopol przywileju zabezpieczoną

jest od rywalizacji innych przedsięwzięć, tam zawsze przychodzą względy pętające swobodę pracy, i sztuka nigdy się wysoko nie wzniesie

Wyobrażenia literackie panujące wówczas przeważnie w stolicy, całkiem były francuskie, i to nie w kierunku pani Staël ani Châteaubrianda, którzy niepodległość ducha uważali za żywioł dla kreacji, którzy nie podawali prawideł ani teorii smaku, a natomiast udzielali rad godności i odwagi, protestując przeciw despotyzmowi cesarstwa siłą woli, entuzjazmem wolności, ufnością w postęp. U nas ze wspomnieniami Napoleońskimi i wyobrażeniami imperyalistowskiej literatury przeciągnęły się dłużej niż gdzieindziej w tym samym kierunku, w jakim ją chciał mieć Napoleon, to jest żeby traktowała przedmioty czysto literackie, unikając metafizyki, historii, prawa publicznego. Myśl głębsza była podejrzana, i kiedy raz Sièyesa pytano: „co myśli?“, odpowiedział: „ja nic nie myślę.“ W tym przypadku byli wszyscy niemal piszący, którzy jednak chcąc coś produkować, musieli znaleźć dla siebie wzór odpowiedni. Tym wzorem była literatura dworska Ludwika XIVgo, której główną cechą ogłada, regularność i smak wyrafinowany. Nie znajdziesz w niej ani

ognia zapału, ani szczytnego nieładu, ani oryginalności myśli; wszystko to zastąpione symetrią, tolerancją, wykwentem, zdrowym rozsądkiem i umiarkowaniami prawidłami mierności. W siedemnastym wieku była to reakcja biorąca w karby dobrego smaku roznamiętnione wojnami o wolność i religię życie narodów. Napoleońskiemu imperyalizmowi dogadzał ten kierunek zostawiający piszącym rolę młodych naśladowników mniemanego klasycyzmu.

Grono ówczesnych koryfeuszów naszej literatury, czy przez wyrozumowanie, czy instynkt zachowawczy, pozostało na tej drodze, obierając sobie za wzór pisarzy wieku Ludwika XIVgo, tak spętanych prawidłami formy i konwencyonalności języka, że niepodobna było w to przepelnione naczynie nic nalać swojego, wszelka bowiem nowa śmiałość czy pomysł, czy słowa, czy formy, zaraz poczytywaną bywała za przeniewierzenie się arcywzorom, niebezpieczne nowatorstwo, mogące wtrącić literaturę ojczyzną w przepaść znikczemnienia. Opinia powag bądź ustna, bądź pisana, najwięcej czepiała się wyrazów i wyrażeń, wymagała po autorze gładkości, pięknego brzmienia okresów, a nadewszystko żeby nic nie powiedział takiego, co by się nie opierało na powadze Kornela, Rasya,

Woltera, Horacego lub Wirgila. Wprawdzie po-
woływano się ciągle na klasyków greckich i rzym-
skich, ale tych pierwszych wcale nie znano, a dru-
gich zbyt powierzchownie. Na utrzymanie tego
kierunku wiele wpływała pozycja tych, co stali
na czele literatury; byli to bowiem ludzie głoś-
nego patryotyzmu, piastujący wysokie urzędy, ma-
jętni, używający powagi; i ci mimowolnie stali
się stróżami zachowawczości, a raczej po stracie
politycznego bytu czując się nagle przywróconymi
do bytu, a chcąc pozostać w konsekwencji, ochra-
niali go nawet w dziedzinie myśli. Łatwo stąd
wytłómaczyć sobie tę uporczywą walkę, jaką sta-
czali z romantyzmem, którym Litwa zelektryzo-
wała Koronę.

Nic dziwnego, że Morawski żyjący w téj at-
mosferze, a do tego od dzieciństwa zaprawiony
na literaturze francuskiej (miał bowiem nauczy-
ciela emigranta), — skłaniał się ku wyobrażeniom
literackim panującym w stolicy, i myśląc napraw-
dę o podniesieniu sztuki dramatycznej, nie zna-
lazł co lepszego do przekładu nad Andromachę
Rasyne. Wszelako oddaje mu tę sprawiedliwość,
że ją przełożył wybornie; jakby ją sam oryginal-
nie napisał, tak czyta się gładko. Któryś z ów-

czesnych arystarchów powiedział, że „skorneli-
zował Rasyne“, dając przez to do zrozumienia,
że przekład jego więcej ma jedrności i mocy niż
oryginał. Przyznam się, że czytając dzisiaj ten
przekład, nie widzę tego; a choćby i było, to
energia wyrażen niepotrafi ocucić mglistej i ckli-
wej treści, będącej romansową płataniną, i tak:
Pirrus ma pojąć Hermionę, a kocha się w brance
Andromace; Hermiona na zabój zakochana w Pir-
rusie; Orest znowu na zabój w Hermionie; An-
dromacha kocha nieboszczyka Hektora, a niena-
widzi Pirrusa: Hermiona widząc się niekochaną,
chciałaby się pokochać w Oreście, — słowem jest
to udratyzowana konjugacya wyrazu: *ko ch am*,
przeprowadzona przez wszystkie formy, czasy, oso-
by, w liczbie pojedynczej i mnogiej, przepełniona
czułościową frazeologią, wyszlifowana na wszys-
tkie boki, bez jednego słowa, coby się wydarło
z serca, z wyjątkiem tego jednego miejsca, gdzie
Pirrus oznajmia Andromace, że Grecy chcą wy-
drzeć jej syna:

„Hektora to ścigają Grecy zemstą swoją,

„Boją się jego syna.

Na to odpowiada Andromacha:

Dziecięcia się boją!...

Ale to głos miłości macierzyńskiej, a nie namiętności, która ma górować w tej trajedyi.

Z rozpoczęciem szermierki z romantykami, cały obóz klasyków nastawał na Morawskiego, żeby przekład tej trajedyi dał na scenę; Osiński mając sobie powierzony manuskrypt, lata zwłóczył z przedstawieniem; nacierano więc na niego spodziewając się, że po tém przedstawieniu, romantycy popadną w zupełny dyskredyt u publiczności. Morawski już wtedy nie poił się tą nadzieją, bo mu nie szło o zdławienie romantyków, — szło tylko o rywalizację z Dmóchowskim, który wydrukował był piérwój swoje tłómaczenie *Andromachy*, wprawdzie o wiele niższe, lecz zawsze nie złe, lubo tu i owdzie upstrzone reminiscencyami Morawskiego przekładu, który słysząc nieraz czytany, zatrzymał wybitniejsze miejsca nader szczęśliwą pamięcią.

Morawski mieszkając w Warszawie, otoczony przyjaciółmi i literatami, pamiętnik swoich myśli, zdań, dowcipów, zostawił chyba we wspomnieniach tych osób, co bywały w jego towarzystwie, lub na obiadach czwartkowych u jenerała Wincentego Krasińskiego, gdzie rozprawiano o literaturze tonem ludzi światowych, wesołego humoru, nieską-

pych w dowcip i sól attycką. Był on jednym z tych, którego dowcipy, czy prozą czy rymem, najwięcej miały szczęścia być chwytanymi i roznoszonemi w stolicy,

III.

W r. 1819 zostawszy jenerałem brygady strzelców pieszych, konsystujących w Lublinie, oddalony od ogniska literackiego Warszawy, utrzymywał korespondencję niemal ciągłą z radzcą stanu Kajetanem Koźmianem, z którym go bardzo ściśle łączyła przyjaźń, później z jego synem Jędrzejem, któremu również jak ojcu był przyjacielem i doradcą; także z jenerałem Wincentym Krasińskim, wielkim admiratorem jego dowcipnych listów.

Listy te mniej więcej poczynają się od r. 1822 lub 1823, — Morawski bowiem rzadko gdzie kładł datę, — a ciągną się przez lat dwadzieścia kilka. Czytając je, widzisz w nich całą jego duszę, najszlachetniejsze serce, umysł wyższy, żywo interesujący się wszystkiém co dobre i wzniosłe, a niemiłosiernie żartujący z zarozumiałego głupstwa, hipokryzyi, nadętości niektórych figur i płaszczenia się bożyszczom dziennym. Jestto kome-

tarz prawego i rozumnego obywatela do historii politycznej, towarzyskiej i literackiej onego czasu.

Niewyczerpanym przedmiotem tych listów, wprzód nim się zajęły romantyczne spory, był Jaksza Marcinkowski. Śmieszny ten, pretensjonalny oryginał, ze stosami nakleconych rymów wybrał się z Wołynia, gdzie prowadził żywot pasażerski, do Warszawy, aby tam obszerniejsze znaleźć pole do popisów swojej Muzy. Gdy zaprezentował stosy poematów, trajedyj, komedyj, ód, elegij, epigramatów, — wprawił w niejaki kłopot naszych klasyków, których sława gruntuwała się na kilku odach lub mówkach, a tu tyle wykończonych płodów imponowało tém, że skończone, że tylko czekają nakładcy. Poznano się jednak prędko na płytkiej głowie, mniej jak miernym talentem, puszczającym olbrzymią zarozumiałość, i zaraz wzięto go na fundusz, co niezawodnie nie byłoby spotkało potulnego metromana. Kajetan Koźmian, biorący rzeczy poważnie, chciał mu otworzyć oczy, obrzydzić niewdzięczny zawód i zachęcić do jakiej pracy, dającą kawałek chleba. Marcinkowski przyjął to z oburzeniem, rozgłaszając że wszyscy ci literaci, zazdrośni jego talentu i sławy, chcieliby mu z rąk wytrącić pióro; a najbardziej w to

uderzał, że on przez rok jeden więcej napisał, niż oni przez całe życie.

Odtąd Jaksza stał się celem dowcipów, epigramatów, nawet poematów, które z rąk do rąk obiegały, pobudzając do śmiechu jego kosztem. Nie znalazłszy on w stolicy takiego powodzenia, o jakim marzył, przyjechał do Lublina i udał się pod skrzydła Morawskiego, który dał mu u siebie stół i mieszkanie, a nawet karétę na usługi, z czego się bardzo pysznił. Marcinkowski oddawał wizyty, robił się znakomitą figurą, wszędzie proszony i nieproszony czytywał swoje wiersze, i pisał nowe na cześć miejscowych piękności, co mu niejaką wziętość u płci pięknej jednało. Morawski bawił się nim, a często i nudził, jeżeli go nagabywał swemi wierszykami i prosił o zdanie lub radę. Wesoły generał trzymał się inną z nim taktyki niż weredyczny Koźmian: potakiwał on właśnie jego największym głupstwom, dodawał nawet do nich konceptu; i tak, kiedy Marcinkowski w wierszu na pochwałę Lublina mówiąc o Leszku Czarnym, z powodu rymu zrobił go Leszkiem wtórym, Morawski zwrócił jego uwagę na ten błąd przeciw historii i radził użyć epitetu: Leszek buri, kolorem do czarnego zbliżony. Po-

dobnych téż figlów wiele mu napłatał, a mianowicie napisał na niego balladę, którą on jakoby przez pocztę odebrał z Warszawy i podejrywał o nią jenerała Wincentego Krasińskiego. Ballada ta w swoim czasie obiegała w licznych kopiach. Żałuję że nie mogę jęj dosłownie przytoczyć; każdy wiersz tryska dowcipem. Treść tylko pamiętam:

Nad Wisłą stoją zwaliska zamku w którego podziemiach ma być jezioro, a na jeziorze pływa „księżniczka w złotą kaczkę zamieniona“ której pilnuje djabeł w postaci smoka. Dowiedziawszy się o tém Jaksa, uczuwa rycerski animusz, i napakowawszy kieszenie wierszami, pewnym jest że djabła rozczeni i księżniczkę wyzwoli. Udaje się w podziemne lochy, i czyta djabłu swój poemat: Gorset; — djabeł usypia, — a on tymczasem w koperczaki do kaczki, która przybiera właściwą postać. Kawaler prezentuje się ślicznej księżniczce:

W herbie mym noszę srogiego lwa z gryfem,
Z krwi książąt greckich wyszedł pierwszy Jaksa,
A imię moje prostym logogryfem
Jest wślawionego dziełami Ajaksa.

Wyprowadza ją więc, a gdy przechodzą obok

chrapiącego Argusa, rycerz nasz w ciągłych komplementach i susach około panny, nieuważnie zaczepił śpiącego krzyżem Miechowskim*). Djabeł się ocknął, porwał Jakse i z wszystkimi wierszami wyrzucił na bruki warszawskie....

Był to najdowcipniejszy kawałek co się ukazał na niefortunnego wierszokletę.

Najpewniéj to jenerał podsunął mu pomysł napisania coś o Rzeczypospolitej Babinskiéj. Pochwylił tę myśl Marcinkowski i wziął się do skłécenia komedyi, która była przedstawioną w teatrze lubelskim. Morawski w liście do jen. Wincentego Krasińskiego tak opisuje to przedstawienie:

„Zbiegliśmy się już o 4tęj na teatr, on o 3ciéj był na paradysie i nie wiedział że go widzimy. Pełno było, i wszyscy cieszyli się na głupstwo, które ich uraczyć miało. Szeptano po łozach, po parterze, że tchórz będzie wykpiony w téj sztuce.

*) Zgromadzeniu XX. Bożogrobców w Miechowie służył przywilej dawania patentów na krzyże. Byli tacy, co nie mogąc inaczej próżności swojej dogodzić, nabywali te patenta za małą opłatę i uchodzili za ludzi dekorowanych. Marcinkowski, wywodzący się z rodu owego Jaksy, założyciela Miechowitów, miał niejakié prawo do téj ozdoby, którą nosił.

„Podnosi się korytna, początek niezły... — niby koło miodem smarowane na pszczelnikach... Brawo po całym parterze, i wtenczas widzimy jak sam Jaksą dawał brawa. Słowo uczciwości, prawda. Włókł się potem cały pierwszy akt przez trzy kwadranse, w którym o tém jednym zawsze była rozmowa, że wystraszymy tchórza. Kończy się akt pierwszy — nudnie trochę. Żadnego oklasku; Jaksą zaalarmowany; śmiano się jednak niekiedy z gdéraniny z początku komicznej, lecz wreszcie nudnej, i tém się pocieszał. Podnosi się zasłona — akt drugi. Tchórz, o którym mowa była w całym pierwszym akcie, tu się dopiero pokazuje, chociaż bawi ciągle w Babinie. Szemrzą po parterze, że szlachcica kontuszowego z pocziwych i wielkich czasów wystawia na śmiech i wzgardę; lecz przypominają sobie, że to plód Jaksowskiéj głowy, więc słuchają cierpliwie jak djabeł w balladzie. Wystraszają więc kobiety tchórza bez sensu i ładu; oknem ucieka; w konopiach go znajdują, przyprowadzają i robią Buńczucznym Babińskim, dają mu buńczuk, u którego wisiał cały zdechły tchórz, którego Jaksą jak waryat szukał po Lublinie. Kierdaj Dziusa, czyli tchórz sztuki, bierze go bez żadnej ceremonii,

całuje (na honor!) trzy razy w ogon. Odbierają mu pannę; ani się dziwi, ani słowa nie mówi do końca sztuki, tylko całuje buńczuk, skacze, tańczy z nim i — nakoniec zasłona spada. Tu dopiero cały parter i łoże wrzasną: Autor! Autor! Wdzieliśmy, że i Jaksą głębiej niezmiernie rozdziawił i dorozumiewamy się, że także wrzeszczał autora, bo niezmiernie klaskał. Wychodzi aktor i donosi, że autorem komedii jest: Wielmożny Kaje-tan z Jaksów Marcinkowski, autor pism wielu! Brawo więc, brawo! zagrzmiało po całym teatrze. Jaksą się pokazuje i nuż aimablować od łoży do łoży i zbierać powinszowania. Ja w tém wszystkiém zawsze tę myśl miałem, że Jenerał pewno przyjedziesz na tę sztukę, i że gdzieś siedzisz ukryty. Straszylem go tém, i dla tego aż na paradys uciekł. Nazajutrz po całym Lublinie wizyty, wszędzie oklaski i chwała, której serdecznie wierzy; aż nareszcie przychodzi do Prezesa, który go wykpał, że dawnego Polaka na hanswursztą wykierował, i dla tego sztuki zakazuje. Jaksą myśląc, że coś przeciw rządowi napisał, prosi o wytknięcie miejsc politycznych, a tu mu powiadają, że to nie polityka, ale głupstwo temu winno. Przerabia więc na nowo i nie wiem, co

z tego będzie. Wszystkie familie żyjące dotąd w okolicy Lublina, pokładł do komedyi, jako to: Gałęzowskich, Dłuskich, Sobieszczańskich, Wybranowskich, Domańskich i Finków. Już ich teraz wymazuje i nowe komponuje z głowy. Otóż jest mój raport, którego Jenerał zapewne z utęsknieniem czekał.“

W liście do Jędrzeja Koźmiana znowu o Jak-sie:

„Jaksa pisze na mnie komedję pod tytułem: Teraźniejsza przyjaźń. Dowiedział się w teatrze, że epigraf na satyrze Znawców nie jest Krasickiego ale Naruszewicza. Rzucił się z parteru jak szalony; trzy ławice obalił, i kilku widzów. Spotykam go wylatującego z teatru, pytam się, — przeklina mnie, siebie i losy. Leci jak waryat do sklepów i księgarni, gdzie dał egzemplarze Znawców na sprzedaż; puka, dobija się w nocy; patrol nadchodzi, a myśląc że złodziej, bierze go do kozy. Przyprowadzają go na odwach; szczęściem że go oficer znał i wypuścił. Naza-jutrz z ranną zorzą wstał i wszędzie, gdzie tylko były egzemplarze, podpis: Krasicki, wymazał szeroko; ale jakże się znowu zmartwił, gdy mu mówili, że na samém czele pisma Muza jego zro-

biła żyda. Już biédak nie wie co ma począć, i gdyby nie święcone, nie miałby pociechy. Dziś to jego benefis, bo przynajmniej zjadł 50 święconych. Broń Boże go dzisiaj nastraszyć; coby to jaj i szyniek powstało w jego żywotnym wulkanie!“

Niezliczone te figie wystrajał mu jenerał — i w rzeczy samėj były to improwizowane komedye, stokroć zabawniejsze niż wiele pisanych na scenę. W dość nudném miasteczku prowincjonalném była to jedyna rozrywka. Kiedy téż Marcinkowski pogniéwał się i wyniósł od jenerała, a potem do Warszawy wyjechał, Morawski często powtarza w swoich listach, że: „jeden bęben i dzwon bernardyński budzą zaspany Lublin, gdzie tak głucho jak na sejmie galicyjskim, a ciemno, jak w głowie Jaksy.“ — Często się téż dowiadyuje co porabia? co pisze? i dodaje: mogę o nim i o sobie powiedzieć: „*nec tecum possum vivere, nec sine te.*“ Koźmian ojciec i syn zdawali mu częste o nim relacye, dostarczające wątku do śmiechu i żartów, a nawet do litowania się nad smutną dolą biédaka. Pisze on z tego powodu do jenerała Krasieńskiego:

„Jaksa, drogi Jaksa podobno chory bardzo i prawie tak nędzny jak jego wiersze. Niech się Jenerał dowie czy to prawda. W Wielkiéj Polsce,

w Szląsku nawet mówiono mi o nim. Zastanowiłem się, jak rymy jego mogły go tak głośnym uczynić, i wytłómaczyłem sobie to temi wierszami, które kiedyś tam zrobiłem:

Sława, co życie nasze przedłuża za grobem
Szczególnym dzieła ludzkie wygłasza sposobem:
Z dwóch stron sobie przeciwnych dwie trąby przytyka,
Jedną głosi Byrona, a drugą Jaksika.

Mimo tego, gdy rzeczywiście otrzymał wiadomość, że Jaksa chory i bez grosza, za pośrednictwem żony swojej posłał mu pieniężny zasilek... Innym razem widząc go, tak się o nim wyrażał:

„Biédny Jaksa! smutny niezmiernie, płakał tu nieborak, rozmyślając nad swym losem bez nadziei. Litość brała patrząc na niego, i zupełnie mi się z nim figlów odechciało.“

Nastaly spory z romantykami, Marcinkowskiemu dano spokój, tém więcej, że i sam z tonu spuścił — i wyrobiono mu miejsce inspektora szkół w Płocku.

Nieraz zastanawiałem się nad tém zjawieniem się Marcinkowskiego. które nie było bez głębszego znaczenia. Że wiersze pisał i liche, w rozumieniu, że są najczystszej wody — to przecież każdemu wolno, i rzemiosło to wyzwolone praktyko-

wało się od wieków, dziś się praktykuje, i do końca świata praktykowaném będzie. Zkądże więc taka przeciw niemu zajadłość w klasycznym obozie, a takie znowu pobłażanie romantyków utrzymujących złośliwie, że rymy jego nie były gorsze od płodów tak zwanego klasycyzmu? — Oto dziwnym zbiegiem okoliczności: kiedy z litewskich borów wschodziła nowa gwiazda poezyi, z tłustych łąnów wołyńskich podniósł się pyzaty księżyc, istny symbol Jaksy — tego arcy - mistrza kommunału. Z taką wierszydeł spadł on na koronną Warszawę i stał się żywą parodią ówczesnych panujących tam wszechwładnie wyobrażeń pseudo-klasycznych. Te same rzeczy zwietrzałe, powiedziane już tysiąc razy, powtarzał w mniej dobrze utoczonych i zwiezłych wierszach, ale zawsze czérpał z téj co i klasycy krynicy, i w niczem nie oddalał się od ich rutyny co do formy, wyrażień, stylu. Nie mając ich nauki, ich talentu, przecież robił to co i inni. Była to ta sama maniera, tylko praktykowana przez partacza, który robił jak na jarmark, i przeciw ich jakości stawał chętnie swoją ilość. Z rozmowy przekonano się że nieuk, ciasna głowa — lecz mimo tego i on miał swoje koncepta, i on potrafił tak

dobrze strofkę utoczyć, jak inny, z każdej okazyi jaka się nawinęła. Widok własnej karykatury powinien był ich oświecić i nasunąć pytanie: czém jest poezya? Ale ten komiczny *praecursor* zbliżając się prawdziwej poezyi, nie zreflektował ich; uderzyli nań orężem swojej wyższości, postrzelali strzałami dowcipu, myśląc zapewne, że to wzmocni powagę szkoły klasycznej. Morawski żartował z Jaksy i płał mu figle, ale rozumiejąc co jest poezya, lekceważył takiego współzawodnika, i dla uspokojenia zaalarmowanych musiał im tłómaczyć nicość jego utworów. Na nieszczeście brakowało Marcinkowskiemu wyższej pozycyi w świecie, — mając ją, byłby wierszami swemi ogromnie zaniepokoił klasyczny obóz, nader troskliwy o utrzymanie swojej powagi i godności.

Marcinkowskiego zwykle uważano za krotofilne zjawisko towarzyskie, należące do pomyślniejszych dawnych czasów, za rodzaj wypchanej lalki, do której mierzono dowcipem poobiednim... lecz kto bliżej się przypatrzy i skombinuje go z nowym duchem wiejącym od Wilna, — ujrzy w nim narzędzie do zachwiania wiary w niemyślność, jaką sobie przyznawał areopag klasyczny, którego wszystkie słabe strony ten intruz parnaski naraz odsłonił.

IV.

Opowiedziałem już w piśmie mojem: Obóz klasyków *) cały ten dramat wojny z romantykami, gdzie każdy z koryfeuszów literatury w Warszawie, występuje w swojej roli charakterystycznej. Morawski lubo związany z reprezentantami tej szkoły starą przyjaźnią i nawykniem, nie dzieli ich wyobrażeń: z Koźmianem uciera się o bezwzględną doskonałość Horacyusza, po nad którego tamten już nic nie widzi; staje przeciw niemu w obronie Szyllera i Byrona — a kiedy zjawily się dwa tomiki poezyj Mickiewicza, odkrywa w nich pierwszorzędne piękności a oraz następuje na ciemność wyrażen, gminność, litewszczyznę, brak gustu itp. Wszystkie te zarzuty pochodzą więcej z oszczędzania Koźmiana, któremu jako przyjacielowi nie chciał się narazić, niż z przekonania. W listach do generała Krasińskiego wywnętrza się ze swoim zdaniem i nie obwija w bawełnę wszystkich niedostatków pseudo - klasycyzmu, który sam się skazał na wieczną niepłodność. Widać Krasiński musiał czy listy te pokazać Ko-

*) Obóz klasyków. W Krakowie 1866. r. w drukarni „Czasu.“

zmianowi, czy o nich mówić dość że dla farsy chciał jednego podszczuć przeciw drugiemu: zwykle bowiem na obiadach czynił sobie uciechę i kłócił między sobą literatów. Z tego to powodu pisze doń Morawski:

„Znamy się na niewinnych figielkach JWgo „Opinogórskiego. Magnat chce się biedną szlachtą „bawić. Ani Hohenlohe ani nawet Tomasz Grabowski nie dokazałby tego cudu, aby mnie z Koźmianem pokłócił, którego serce moje tak kocha, „jak rozum szanuje. Różnimy się zdaniem bo często może nie chcemy się rozumieć, lecz w sercach „zgoda zawsze gotowa.“

Przyjaźń ta trwała nietylko do zgonu, lecz z ojca przeniosła się na syna. Ścierano się w zdaniach, umiejac się szanować wzajemnie.

Najwybitniej maluje się ówczesne przekonanie Morawskiego w następującym liście do Kajetana Koźmiana.

„Wpadłeś na mnie i to niesłusznie za roman- „tyzm. Nie bronię ja tego co jest dziwaczném, „głupiem i podłiem lecz nie w rodzaju romantycz- „nym dostrzegam ja tego, tylko w dziełach tych „autorów, którzy pisząc w tym rodzaju, pośliznęli „się, jako w niebezpiecznym zawodzie. Zresztą

„cytujesz mi Witwickiego jako romantyka; a gdy- „bym ja też jako klasyka zacytował Przybylskie- „go, boć pewno nie był ten romantykiem, co wszy- „stkich klasyków tłómaczył. Podobnobyśmy oba „dopuszcili się grzechu przesady, i mógłby nam kto „z boku powiedzieć, że religię winimy o zbrodnie „fanatyzmu, a wolność o morderstwa rewolucyi „francuskiej. Nie możesz przecie rozsądnie utrzy- „mywać, że Ossyan, Szekspir, Byron, Szyller byli „zupełnie głupi, a ci wszyscy, co im się dziwią, „stokroć głupsii, boć w téj liczbie są wieki całe „i Indy. Nie! takiego zagorzałego zdania nie „byłbyś zdolny, musisz więc przyznać, że mieli „gieniusz; a kto zna ich pisma, ten zapewne „przyzna, że właśnie było w charakterze takich „gieniuszów tak, a nie inaczej pisać.

„Popełniali wprawdzie wielkie dziwactwa nie- „kiedy; lecz byłoż to w mocy natury ludzkiej „utrzymać się zawsze na szczycie nadludzkiej wiel- „kości? Wreszcie byłoby lepiej, żeby ich pisma „spalono? Nie byłoby może tych dziwactw, lecz „ileż to stracilibyśmy nadzwyczajnych piękności! „Nie należyż jednym dla drugich przebaczać, „zwłaszcza że już od tylu wieków czekaliśmy na- „próżno od klasyków nowych piękności, a oni

„zawsze nam odpowiadali, aby się już niczego „po nich nie spodziewać, lecz w Horacego tylko „wiecznie wlepić oczy, bo on jest całym światem, granicą natury, imaginacyi, i że zbrodnią „jest śmieć przechodzić za okładki dzieł jego. „Uparli się klasycy żadnych od kilku wieków nie „tworzyć piękności; nie dziw więc, że świat chciał „wy nowego, nie mając nic od jednych rzucił się „do drugich; a potem jakże chęć nowości przy- „tłumić? Gdybyś się tydzień tylko samemi „ananasami karmił, znalazłbyś później ziemniaki „nawet smaczniejsze. Umiarkowania wołacie w po- „lityce; czemu nie w literaturze? Nie zwalczyście „już romantyzmu, aby zupełnie zaginął. Nie le- „piejże tych braci obłąkanych zbyttem zapędem „zwracać łagodnie na bezpieczniejszą drogę; szanować ich chęć oryginalności, bo ta wiele skar- „bów zdobywa, lecz zwracać ją powoli do gra- „nic prawdopodobieństwa, pożyczyć od nich śmia- „łości i siły i ognia, a nawzajem udzielić zimniejszej „rozwagi i doświadczenia wieków! dozwól im aby „nie gardzili naturą niższą od téj, która jest w „salonach i na tronach, i aby mogli we wiejskich „balladach kłaść wiejskie wyobrażenia, powieści „i dумы, jak Koźmian w wiejskim poemacie mó-

„wi o wieprzu, gęsi i szczypiorze. Nie wiem cze- „mu ziemniaka nie odważyłeś się nazwać — czyż „klasyczność ma szczypiór za poetyczniejszy?”

Pomysły zawarte w tym liście przeszły, a raczej są treścią dwóch listów poetycznych pod napisem: *Klasycy i Romantycy polscy*, w Warszawie 1829 r. Krążyły one na kilka lat pierwój w wyjątkach i kopiach, zanim je na nalegania Kajetana Koźmiana ogłosił, który pałając dość stronniczą nienawiścią przeciw romantykom, naglił żeby ten cios co prędzej w nich uderzył. Atoli zawód spotkał nie mały, tak jego jak innych przewódców obozu. Morawski bowiem zajął tu niepodległe stanowisko krytyka obdarzonego samodzielnym sądem i nie potępiającego z góry utworów romantycznych dla tego, że wyszły od romantyków, ani bezwzględnie chwaleńczego klasyczne, dla tego że wyszły od klasyków. Co dobre, co sąd wytrzymuje, co oddaje prawdę serca i prawdę natury, co ma charakter narodowy, co porusza, podnosi, uzacnia i oświeca czytelnika, przed tém skłania czoło, nie pytając czy z klasycznego czy z romantycznego wyszło obozu. Nie było to do smaku stronnicznym klasykom: gorzkie prawdy jakie im wyciął w liście zwróconym do nich, sprawiły nie-

ukontentowanie, i pomawiano go, że się przeniewierzył, że przeszedł do przeciwnego obozu.

Zabijającemi były mianowicie te wiersze malujące najtrafniej ówczesne położenie.

Wehodge ja wprawdzie w gniewu waszego przyczynę,
 Że śmiano tak zaburzyć Apolla krainę,
 Ten Parnas starożytny, gdzie aż wspomnieć miło,
 Wszystko już tak spokojnem i tak cichém było,
 Że nikt mu już słodkiego snu myśli nie kłócił,
 A Feb, co się zaledwie raz na wiek przecucił,
 Skarciwszy Ossyana i Szekspira zbrodnie,
 Chrapając klasycznością zarządzał swobodnie.

Daléj w usta romantyka na angielskich za-
 prawionego wzorach wkłada takie wiersze:

Zrzekam się waszój chwały, nie chcę być klasykiem,
 Jeśli mam to przytłumiać, com otrzymał w darze,
 Jak głupie echo dawne podrzeźniać pisarze,
 I z każdém się uczuciem dawnych radząc wieków,
 Śmiać się śmiechem Rzymianów, płakać łzami Greków;
 Lub jeśli to tak wielką zaletę stanowi,
 Ukraść wiersz Horacemu lub myśl Tacytowi,
 I zyskać tę pochwałę dla swojej obrony:
 Oto człowiek na dobrych wzorach zaprawiony!
 Lub jeśli jeszcze waszym podobny klasykom,
 Mam składać podłe hołdy Augustom, Ludwikom,
 Wiezy nieszczęsnych ludów ozłacać niegodnie,
 I zbrodnią poezji wspierać tronu zbrodnie;

Bóg sam tego zabrania bym się tak ukorzył,
 On mnie wieszczem mych czasów a nie małpą stworzył.

Przyznać potrzeba, że list o romantykach z mniejszą werwą pisany niż pierwszy, wyrzuca nowéj szkole niektóre dziwactwa, mianowicie co do nadużycia zabobonów gminnych, w czém najwięcej pije do Zamku kaniowskiego. Ale w tym przypadku Morawski lubo znał się na znaczeniu poezyi i wyobrażeń ludu, jednakże pojmował je trochę za sielankowo, na sposób Karpińskiego i Brodzińskiego, — tymczasem gdy Goszczyński przedstawił Ukraińców w stanie rozamiętnionego szału z wszystkimi skarbami ich poetyczno-rycerskiej fantazyi — wydało mu się to potworném, dzikiem i niesmaczném. Zżymał się więc nad „Hajdamakiem w epopei“ a dla czegoż nie zżymał się na Byrona za jego Larę, Korsarza, szpetniejszych łotrów niż Nebaba lub Szwaczka, już przez to samo że byli płodem rozgorączkowanej fantazyi, a ci figurami z piętnem prawdy; rzeczywistością, a nie urojeniem. — Wreszcie Goszczyński obrawszy do swego poematu epizod z Koliszczyny, nie mógł go trzymać w cichym, pogodnym kolorycie Wiesława. Owa Orlika skrwawionemi dłońmi znacząca na bia-

łych ścianach historię swęj zemsty — to koloryt odpowiedni przedmiotowi, to namiętność stepowej, półdzikięj natury. Mimo tego w liście tym nie-brak niektórych stron wybornie pochwyconych; mianowicie wysmianie tęg romantycznęj manieri udawania nieszczęśliwca, ściganego przez fatalizm, zawiedzionego w miłości, któremu nic nie pozo-staje, tylko gardło sobie poderznąć. Niepodobna trafnięj ująć tęg pretensjonalnęj komedyi, jak to Morawski zrobił, kiedy mówi:

Ledwie że się z Infimy, a nawet z pieluszek
Jakiś tam romantyczny wyrwie jeniuszek
Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi:
Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi,
Z jakiegż tam urojonej tęsknoty usycha,
Jé dobrze, pije lepięj, a do grobu wzdycha.
Wiem ja że nie żyjemy w tak wesołym czasie,
By sama tylko radość brzmiała na Parnasie;
Lecz nacóz nam nieznanie niedole okręślać,
Niedość-że nam istotnych, trzeba nowe zmyślać?
Trzebaż, trzebaż tak srodze przez ten jęk żałosny
Z pięknego maju życia zdzięrać barwę wiosny,
Okradać z wszystkich pociech młodość przerażoną,
I nieba, ziemię, krwawą powlekać zasłoną;
Jakby już Bóg dobroci przestał światem władać,
I nie było mu za co dalszych dzieków składać?!

Goethego Werther i cały Byron byli oj-

cami tego wyśrubowanego niesmaku, udanych roz-czarowań, chorujących boleściami wszechświata i wszechludzkości, z jakimi *ex officio* występował każdy poczynający młodzieniaszek, co prawie nie żył i nic jeszcze nie doświadczył, a udawał że sęp Prometeusza wyjada mu wszystkie wnę-trzności. Jak mniemani klasycy nie czuli i nie myśleli, tylko w ścisłych granicach swoich uwiel-bianych, powagę stanowiących wzorów, — tak na-wzajem romantycy wmawiając w siebie cudzy stan duszy, cudzą indywidualność, grali komedię i tak-że nie wznosili się do samodzielności. Nic dziw-nego; romantyzm będąc przejściowym, nie był w stanie od razu zdobyć wszystkich warunków, w jakich duch narodu okrywa się kwieciem naj-wonniejszęg poezyi; tęg bardzięj, że te warunki mogły się zrodzić tylko w wielkich katastrofach, do jakich przygotowywało się życie narodu spie-szając na Golgotę męczeństwa.....

Nie przewiduje tego Morawski w liście do romantyków, radzi im tylko brać przedmioty z ojczystęg historii, a nie z bajek podkadzielných, jakby to przyjęcie historycznego kostiumu, nawet z archeologiczną ścisłością, mogło zastąpić twór-czość poetycznego daru, tam gdzie go nie ma?

Daléj uderza na gwałcenie języka i przytacza kilka wyrażéń wyjętych z ówczesnych poematów, nie powiem żeby szczęśliwie. I tak wiersz z Zamku kaniowskiego: „Mruczały mu sosny piosenkę żeglugi“ bardzo malowniczy, bo czytelnika przenosi na łódź dniewprawą pomykającą w ciszy, przy szumie pobrzeżnych borów; podobnież inny wiersz: „Puhacz po nad śnieżne majający Tatry“ także nikogo dziś nie razi. Jedne tylko niepoetyczne przesady wyjęte z Sonetów Jana Nep. Kamińskiego jak wtenczas tak i dziś nie są wolne od śmieszności. Z argumentów tych, zbyt słabych żeby się mogły utrzymać, wzrastające co rok bogactwo języka piśmiennego, gibkość i barwność wyrabiającego się stylu, zrobiły doraźną sprawiedliwość. Romantyzm przez przybranie prowincjonalizmów, przez wyłamanie się z formułek przyjętych wyrażéń, w drewniany i mdły sposób pisania wlał życie.

Listy te, lubo pełno w nich zdań trafnych i pomyślanych głęboko, nie zrobiły w swoim czasie większego wrażenia, prócz że wywołały nieukontentowanie Kaj. Koźmiana, który widząc, że Mickiewicz zyskał zasłużoną pochwałę, a i o jego Ziemiaństwie była zaszczytna wzmianka,

napisał: „Jak ognia z wodą, tak mnie z Mickiewiczem łączyć nie można.“ — Morawski chciał oba stronnictwa pogodzić, jak to w ostatnich wierszach listu do romantyków powiada:

Jedna matka was swemi uwieńczy laurami,
Żadnej lutni bezbożność lub podłość nie plami;
Jedno macie prawo: bratnie kształcić plemię,
I jeden tylko rodzaj: polską śpiewać ziemię.

Atoli zdrowe prawdy ani jednej ani drugiej stronie nie przypadły do smaku; upór z zarozumieniem nie mógł zawrzeć zgody.

Dziś, kiedy nas lat czterdzieści przedziela od téj epoki tak pełnej zajęcia i życia, możemy spokojnie spoglądać na dwa ściągające się prądy i streścić chatakterystyczne ich różnice.

Klasyce poddali się prawidłom i uważali je nie jako historię sposobu pisania starych mistrzów, lecz jako środek służący nie tylko do naśladowania lecz i do tworzenia.

Romantycy przyjęli powagę myśli i uczucia indywidualnego; z estetyki zrobili umiejętność racjonalną, kiedy dotąd nie była niczém, tylko empiryczną receptą. Szkoła klasyków wylęła na dworach, wykołysana w przyzwoitościach, delikatnych cieniowaniach, arystokratycznych wykwin-

tach, więcej dbała o gładkie kontury niż o koloryt, więcej o loikę niż o porywy fantazyi; będąc ubogą w uczucia, nie była bogatą w obrazy, zwłaszcza, że je nie brała z pierwszej ręki.

Romantycy wcielili się w lud, stąd mniej u nich ogłady, mniej wyrafinowanych sentymentów, lecz natomiast więcej życia.

Klasycy malowali ludzkość ogólnymi rysami, w abstrakcyjnej piękności, mającej siedlisko w jedności, nie dbając o koloryt miejscowy i o te drobiazgi, co dają fizyonomię i charakter.

Nowatorom romantycznym szło o prawdy żyjące, raczej o prawdę indywidualną, niż obejmującą cały rodzaj ludzki; szło im o typy wyjątkowe, nie zaś ogólne. Ztąd tak zwani klasycy doszli do pojęcia pięknoty konwencyonalnej, niewłaściwie przez nich nazwanej ideałem; a że rodzaj ten nie obfity, więc i oni musieli obracać się w ciasnym kółku i prędko skazać się na niepłodność. Romantyczność garnie w ramiona świat zły i dobry, szpetny i piękny, jaki przedstawia się w rzeczywistości, — gdy zaś idzie o wybór, z łatwością popada w gminną pospolitość lub gubi się w nieładzie i ekscesach rozbującej fantazyi. Słowem romantyzm mierzy w rozmaitość i nieograniczoność.

Ówczesni krytycy grubo mylili się, zadając nowej szkole odbieganie starych form dla przyjęcia nowych; zerwanie z Horacym i Rasyne a przerzucenie się do Szyllera i Byrona. Nie nowych to wzorów szukano, żeby się im zapisać w poddaństwo, lecz dążono do samopoznania, aby z własnego ducha i z natury a nie z gotowych wzorów czerpać i tworzyć.

Aczkolwiek tedy dążność nowej szkoły miała za sobą widoczną słuszość, aczkolwiek do utworów jej paliła się publiczność, klasycy trwali w uporze, nie dając się niczemu przekonać, ani mocą rozumowania, ani przykładami mówiącemi przeciwnim. Była to więc zaciętość stronnictwa zachowawczego, wietrząca po za dążnością romantyków — rewolucję. Bojaźń utraty tego, co stało na łasce nieprzyjaciela, robiła ich nieprzystępnymi, nawet wstrętnymi nowemu ruchowi umysłów. Morawski pojmował tak dobrze jak i oni niebezpieczeństwo grożące egzystencji Królestwa, atoli opozycja literacka, jeszcze na tak blachych podstawach, była w rozumieniu jego słabą zaporą. To też kiedy Jędrzej Koźmian napisał mu, dając radę, żeby w liście o romantykach wydrwił Mickiewicza i Litwę, odpowiedział w tych słowach:



wach: „O Litwie i Polsce, coś mi pisał, nie wypada tego rozdrażniać ze względów polityki; łączyć trzeba nie rozdawać, nawet w literaturze.“ On téż jeden z obozu tego rozumiał, że należało ruch opanować a nie przez niedołęzną opozycję potęgować jego działanie. Z tą rolą jaką odegrał w tym literackim sporze, stanowiącym jedną z najożywieńszych epok w całej naszej literaturze, przynosi zaszczyt trafności jego sądu tak pod względem literackim jak obywatelskim. W drobiazgowych podjazdach na wybryki romantyków uchodził on za najdzielniejszego obrońcę obozu klasyków, — tymczasem był to u niego objaw niepodległego stanowiska, które sobie wyrobił, gdyż tak samo i na klasyków napadał, ilekroć bredzili. Koźmiany, Osiński i inni liczyli go przecież za swego, a ilekroć bronił przed nimi romantyków, powiadali mu: Czemuż sam tak nie piszesz jak oni? Najgorszy jaki być mógł argument przeciw autorowi, który chce być samym sobą.

Wśród rozmaitych kolei, przeważających szalę opinii, to na tę, to na przeciwną stronę, lecz częściej na stronę nowatorów, walka dwóch szkół ciągnęła się aż do roku 1830, — i w każdym niemal liście Morawskiego znajduje się jaki ustęp

poświęcony to obronie romantyków, to karceniu ich, jak również nie brak docinków zwolennikom stariej szkoły. Szczególniej Osiński, żyjący lat wiele okruciami stariej sławy, która z biegiem lat stawała się coraz bardziej problematyczną, dostawał od niego potężne cięcia. Kajetana Koźmiana, lubo zdań jego nie dzielił, kochał najtkliwszą przyjaźnią i wysoce wając dar jego pisarski, ciągle zachęcał do skończenia *Ziemiaństwa* a nawet często poddawał mu myśli i obrazy, w których całemi garściami rzucał bogactwo swój wyobraźni. Pomylił się jednak w tém, gdy sobie wyobrażał, że *Ziemiaństwo* zagłuszy wszystkie płody romantyków. Sama natura tego poematu opisywo-dydaktycznego nie mogła rywalizować z utworami, co tak głęboko wstrząsnęły duszą narodu. Zjawienie się Wallenroda powinno mu było otworzyć oczy i nasunąć wątpliwość, czy malarz trzymający w ręku paletę Georgików i wpatrujący się w rysunek Wirgila pilniej, niż w przedmiot swój, będzie mógł z prawdą życia i charakterystyczną wiernością oddać wizerunek polskiej ziemi i jej rolnictwa. Morawski, wielki czciciel formy, dał się nią złudzić, zapominając, że najpiękniejsze, najmisterniej zrobione wiersze, mogą być pozbawione

wewnętrzne ciepła i tego wyrazu, co zniewala i podbija.

V.

Z generałem Wincentym Krasińskim łączyła Morawskiego dawna zażyłość w szeregach wojskowych i pewien literacki stosunek, Krasiński bowiem lubił mecenasować literaturze i rad gromadził u siebie ludzi odznaczających się talentem pisarskim. Jeszcze w roku 1814 na jednym z takich posiedzeń poobiednich, gdzie się znajdował Niemcewicz, Osiński, Koźmian, Morawski i wielu innych, podał on myśl, aby ktoś napisał wiersz o Czapce. Dopełnił tego Morawski w kształcie listu na sposób Krasickiego, a nawet na końcu bardzo pochlebny dołożył komplement w tych słowach: „Mógłbym coś nadmienić na pochwałę Czapki generała, ale i temu dam pokój, chociaż była nieraz tém, czém pióro Henryka IVgo.

Zdołałbym może wzbudzić Muzę śmiałą,
I godnym ciebie odezwać się pieniem,
Lecz ty uciekasz przed każdą pochwałą,
Jak nieprzyjaciół przed twojem imieniem.

Pochlebny ten czterowiersz zgadzał się z opinią, jakiej Krasiński używał po przyprowadzeniu

wojsk polskich z Francji; był więc jój wyrazem a nie kadzidłem.

Później, jak to w kilkunastu listach Morawskiego pisanych z Lublina do Krasińskiego czytuję, owo uwielbienie spadało coraz niżej, a zamiast komplementów spotykają się nieraz gorzkie prawdy, szczególnie co do wyobrażeń arystokratycznych, któremi Krasiński prześląknięty, posuwał je aż do śmieszności, wywodząc starożytność swego rodu z pomroków najodleglejszej przeszłości — za co Morawski nie szczędił przycinków tak jemu wprost, jak w listach do przyjaciół.

Najlepiej stosunek ten wyjaśni się, gdy podam wyjątki z owych korespondencji, mających oprócz tego wartość literacką.

(Z r. 1824).... „Nie wszczynam na nowo „naszej kłótni wiecznej o arystokracji, do której jenerał zdajesz się mnie wzywać. Kiedy „tyle historycznych dowodów a zwłaszcza krajowych, nie przekonało was moi panowie, i tyle „wzorowych rozumowań o tém, na cóżby się zdała „moja gadanina? Nie odmień jenerał swego „zdania, ale i ja mego nie odmienię, — proszę „mi tylko pozwolić, abym bez obrazy krwi Jowiszowej śmiał się z takich figur jak Mniszech,

„*chez qui la naissance est le premier merite d'un être moral*,... i który Bogu dziękuje, że nie czło-
 „wiekiem, lecz że się Mniszchem urodził. Nigdy
 „ja nie utrzymuję, aby gardzić chwałą swoich
 „przodków, lecz że nie należy z niej się chełpić,
 „bo ona nie jest prywatną, lecz narodową wła-
 „snością, a więc nie do nich należy, lecz do
 „ogółu. Przywłaszczając sobie spływającą jój za-
 „letę, jest to żądać przywileju od publiczności
 „na cudze zasługi. Mówią magnaci, iż to jest
 „bodźcem dla potomków do szlachetnych czynów.
 „O jak to smutne przeznaczenie, kiedy źródła
 „szlachetności nie w sercu, nie w godności czło-
 „wieczej natury, lecz w tym pożyczanym zaszczy-
 „cie szukać potrzeba! Przecież ci tak sławni
 „przodkowie w sobie je znaleźli. Bóg inaczej
 „sądzi niż świat. Adam starszym był zapewne
 „od wszystkich famili, a przecież djabli wzięli
 „Kaina. Nic mu nie pomogła czysta krew ro-
 „dzicielska, a czystsza zapewne, niż wszystkie
 „najświeższe krwie magnatów. Ale dość tego.
 „Nie — jeszcze słówko! Czy też generał czytał
 „Okolice Krakowa, gdzie w przypisku Wężyk
 „żąda od generała wzniesienia Łobzowa. Nie dla
 „tego ja mówię tu o tym poemacie, lecz jedynie

„aby powiedzieć, że tam się przekonałem istotnie,
 „że nasz Jaksa jest z tych starożytnych Jaksów
 „niegdyś tak sławnych. Dalibóg, że to nie żart
 „*Il l'est réellement*.... Wyklóciwszy się z arysto-
 „kratem, ściskam przyjaciela i życzę mu zdro-
 „wia i wszystkiego, co Polaka i człowieka cie-
 „szyć może....“

W innym liście do Jędrzeja Koźmiana tak
 pisze o tej antenatomanii Krasińskiego:

„W jakimże humorze wrócił jen. Krasiński?
 „Nie przywiózłże potretu jakiego przodka sięga-
 „jącego potopu? Rozczytawszy się w kronikach
 „ojczystych, przekonałem się, że Korwiny nie-
 „zmiernie dawne.

Jednego zdoła ta godność wysoka,
 Że wraz z Krakusem zamordował smoka;
 Drugi z nich Lecha monarchą wykrzykał,
 Trzeci z Popielem przed myszami zmykał;
 Czwarty przed Wandą wiodł hufiec marsowy
 Jako kasztelan drażkowy.

Lecz gdzież mię śmiały polot doprowadził,
 Któżby określił dawność tej rodziny?
 Dość że z nich żaden ojczyzny nie zdradził,
 Wiwat więc, wiwat Korwiny!

„Muszę przestać, bo tak szaro i ciemno,
 „jak w komisji oświecenia....“

List powyższy pisany był w 1827 r. Popularność generała Krasińskiego dość była wtedy zachwiana, lecz nie zgubiona.

W tymże roku z noworocznym życzeniem taki przesłał list Krasińskiemu:

„W dzień pocztowy odebrałem zasmucające listy, a przez zaniedbanie pocztmistrza oddano mi list generała w trzy dni dopiero po jego „przyjściu, to jest dzisiaj. Doświadczyłem więc „tego, co Molski mówi:

Dobre żółtym idzie krokiem
Złe na orlich skrzydłach lata....

„Przesyłasz mi generał życzenia na rok nowy. Daj Boże, aby się sprawdziły, a razem „i moje dla Generała. Ale jakąż nadzieję ich „spełnienia mieć można, kiedy się już przyszło „do téj ostateczności, że się już nie złemu, ale „dobremu dziwić trzeba, a cnotę tak chwalić, „jakby coś nadnaturalnego w człowieku. Przejdźmy w inną sferę, bo ta nadto zimna, ciemna „i głupia. Mówmy o wierszach, prozie, rozumie „i bredniach, to jeszcze może rozproszyć smutki. „Z łaski ruděj peruki, to jest Niedoperza*) naszego, co po trzy miesiące paki ksiąg zatrzy-

*) Kalasantego Szaniawskiego.

„muje, nie wiem co się dzieje w stolicy, i le-
„dwie z odgłosu coś usłyszę. Cóż to tam dzieł
„i pism peryodycznych z nowym rokiem wyleciało:

Mogę ja téj wieści wierzyć
Że się sława literacka
Tak zaczyna znowu szerzyć
Jak w obfitym wieku Jacka*),
Że nie syty tylu rymów,
Jaksa z prozy chce być znany,
I już fury synonimów
Płockie nam wiozą furmamy,
Że nie szczędząc trudów, potu
Wszystko głęboko rozmyślił
I pełen swego przedmiotu
Najlepiej głupstwo określił;
Że Grzymała przy nadziei
Już nam trzeci połóg głosi,
I że wielki trup Astrei**)
Znowu się z grobu podnosi.
Że ten upiór na parnacie
Tak się często jawi, kryje,
Iż sam w strasznym ambarasie
Nie wie, czy umarł, czy żyje.

*) Jacka Przybylskiego, który także, podobnie jak Marcinkowski, uważany był za typ wierszoklety.

**) Franciszek Grzymała wydawał *Astreję*, bardzo nieregularnie wychodzącą.

Że się wreszcie tak w balladzie
 Zatopiła wieszczów tłuszcza,
 Ze już stróżów w rym swój kładzie,
 Żydom nawet nie przepuszcza;
 Wali dzieła do śniadania,
 Drugie kończy do wieczora,
 A Szaniawski się ogania
 Okropnym mieczem Cenzora.

„Nuca więc i nuca poeci, a z drugiej strony herbaty
 „tańczące, assamble, pikniki, kluby i muzyki
 „grzmiące.

„Nie dziwią mię te hałasy,
 Głośnie bale, bardów pienia,
 Bo też to właśnie są czasy
 Do śpiewania, do tańczenia.
 Niech się trzpiocą jak szaleni
 Cieszą chwilą tak ochoczą,
 W wielkich skokach wyćwiczeni
 Może i Polskę przeskoczą.

„Może przeskoczą i węgęj, ale nie o tém mowa.
 „Niebezpiecznie jest wymieniać fałszywe skoki,
 „i ja też nie jestem bocianem abym świat ten
 „z żab wyczyszczał. Ale *apropas* żab, co też tam
 „robi nasz Żabcio?*) Mnie się zdaje iż chodząc
 „między przodkami jenerała, powinienby tam ja-

*) Żaboklicki mistrz ceremonii, przedmiot żartów
 Niemcewicza — niemniej i Morawskiego.

„kiego przodka przedpotopowego poznać. Wié
 „jenerał co ja myślę: oto że i Żabcio będzie kie-
 „dyś sławnym przodkiem. Któż powie patrząc na
 „jego figurę, że utył na krajowym chlebie. Czyż
 „niesumiennie dopełnił swoich powinności? Czyż
 „nie służył bez orderu; bez zapłaty? Powie kie-
 „dyś późny historyk:

„Że i jego sława wzniosła
 Świetnym obdarzyła stanem,
 Że był dworakiem z rzemiosła,
 Tylu królów szambelanem!
 Lecz go o podłe wyścigi
 Co się nieraz innym zdarza,
 I o dowcip do intrygi
 Nigdy dzieje nie oskarża.

„Będą go więc tak potomkowie jego głosili, jak
 „Jenerał swoje Sławki i Jaški głosi, i wsparci na
 „jego sławie będą swoją wykrzykiwać:

„Będzie w późnych żabach słynąć,
 Dojdzie do wieków tysiąca,
 Nie da wielkiej Żabie zginąć
 Żabek wrzawa grzechocząca.

„Ale dość już prozy i wierszów; żegnam
 „i ściskam Jenerała; poczta za kwadrans odcho-
 „dzi, muszę kończyć.“

Pełno tu ostrych przymówek: Żaboklicki był

dworakiem, ale nie intrygantem, był śmiesznym ale uczciwym; kiedy W. Krasiński coraz więcej tracił niepodległe stanowisko i występując przeciw ofiarom spisku, stawał się narzędziem W. księcia Konstantego i rządu rosyjskiego, Morawski w żartobliwym tonie swych listów daje mu to uczuć wyraźnie. W listach do Kaj. Koźmiana jeszcze ostrzej się wyraża o nim, i odkrywa jego ambitne widoki:

„Cztery karty listu odebrałem od Krasińskiego, ale niech mię diabli wezmą, jeśli więcej nad dwa peryody zrozumiałem. Pachniał jeszcze papier szampanem. Namiestnik*) podobno chory; pewno się Opinogórczykowi będzie po łbie roilo; wszakże on myślał w Fontainebleau że go królem obiorą, więc i tu mógłby znowu marzyć o namiestnictwie. Ściskam Cię i Jędrusia, jako pocziwą jeszcze krew polską.“

To ostatnie wyrażenie się o pocziwój krwi polskiej widocznie malowało jego oburzenie na zabiegi i przymilania się Krasińskiego w Belwederze. W innym liście, także do Koźmiana, znowu zaczyna tę materyą, widać że nie może

*) Książę Zajączek.

strawić tego odstępstwa dawnego towarzysza bojów:

„Co ten człowiek zamyśla? Mógł przestać na medalu który sam sobie wybił. Niedosyć-że jednego głupstwa? Trzebaż koniecznie fundatorów różnych imion po kościołach skupywać, i na „Korwinów przerabiał? Doszedł już swemi portretami aż do Ziemowita; któż wie gdzie nie „dojdzie?

Jak ów Rzym szukający zkaąd niegdys pochodził,
Początek swego rodu z wilczycy wywodził,
Tak też kiedyś Korwinów linia wysoka
Dojdzie aż do cielecia, które struło smoka.

We wszystkich tych ucinkach mnóstwo dowcipu, ale i wiele goryczy i oburzenia się; co pokazuje że do antenatomanii będącej dość niewinną śmiesznością, łączyły się i inne grzechy, których szlachetne szczero-polskie serce Morawskiego strawić nie mogło.

Nareszcie w liście do Jędrzeja Koźmiana (z 5 stycznia 1829) jest jakby aluzya do postępku Krasińskiego w sądzie sejmowym, który wywołał takie nań oburzenie w całym kraju. Widać że z obawy wydania się ze swoim sposobem myślenia, kryje się pod ogólnik:

„Znowu więc Niemcewicz postrzelił kota;
„czemuż ja na to nie patrzę? Radbym słyszeć co
„mówi o pewnym Jegomości; jakże go obracać
„musi!“

Jak z wszystkich skarbów ziemi których Bóg używa
Najpiękniejszym jest darem przyjaźń Niemcewicza;
Tak, gdy szydzi z podłości, gromi złość potwarczą,
Całe piekło ją swoją nie osłoni tarczą.

O nie znajdziesz sroższego pogromcy niecnoty,
Tyrana bab stołecznych i bicia na koty;

Rzeczywiście Niemcewicz, który był najzwyczaj-
niejszym gościem w domu generała Krasińskiego,
zerwał dawną zażyłość i noga jego nigdy więcej
tam nie powstała.

VI.

Morawski stojąc kwaterą w Lublinie, a mając żonę cierpiącą, i drobnych dwoje dzieci, często dla zdrowia wysyłał ich na całe lato do Piotrowic, przesłicznej wsi, będącej własnością Kajetana Koźmiana, i sam często tam dojeżdżał.

W jednym liście tak opowiada swoje wrażenia:

....„Cóż to za przesłiczna wieś te Piotrowice! nie znam piękniejszej w Królestwie. Tam „z żoną moją przywitaliśmy pierwszy dzień tego-

„rocznej wiosny. Szczérze powtarzam, że co do „położenia miejsca nie znam w Polsce nic równego; mały horyzont, jak na ciche i zamknięte „życie wieśniaka przystoi, — lecz wszystko co „zamyka ten horyzont, góry, gaje, pola, ogród, „jakże to jest czarującym, i nie pozwala żałować „tego, czego się nie widzi za oznaczonym tak „pięknym zakresem. W jednym tylko miejscu oko „wysuwa się w dal i spoczywa na ruinach Bystrzycy, — ale jakże mile tam prowadzone „nad wzgórzem okrytym lasami cudownie cienowanemi; i to wszystko dla powiększenia uroku „odbija się w czystych i rozległych wodach. Co „to za szczęście, że los nie przeznaczył takiego „miejsca dla Okołowa, lecz dla pocziwów krwi „Waszkiej! Żyćcie tam szczęśliwie przez wszystkie „pokolenia.“

Prawdziwie młodzieńcze, poetyczne to uczucie, z jakim wita ustron wiejską, gdzie później, gdy Jędrzej Koźmian, objął gospodarstwo, często lubił wybiegać, jak to w jednym czterowierszu wyraził:

„Gdybym tak często biegł do twój ustroni
Jak się sercu przypomina;
Nie stałoby wozów, koni,
Od Piotrowic do Lublina.“

Tutaj on własną ręką posadził kilka drzew na pamiątkę śmierci Byrona, swego ulubionego poety; o czém pisze do Jędrzeja w tych słowach: „Musimy obaj posadzić kilka drzew w Piotrowicach jako w pierwszą rocznicę zgonu Byrona, ale nie gadaj o tém, bo to gotowiby wziąć „za drzewo...“ Łatwo dorozumieć się że: wolności.

Z Byrońskiem téż współczuciem mówi o Grekach: „Zaléj się [krwawemi łzami! Missolongi „wzięte! Najwarowniejsza twierdza Greków zdobyta; zbezczeszczone mury uświęcone zgonem „Byrona. Lud wskrzeszony, lud wielki upada, a „święty *Alliance* jak najlepiej zapewne przespał „tę noc okropną zdobycia téj warowni. Podobnaż „to jest, aby Bóg im w wówczas nie był przesłał jakich mar dręczących we śnie!...“

Pierwéj o wojnie hiszpańskiej, i o sławnej wyprawie Angouleme na przytłumienie wolności półwyspu, inaczej się wyraził:

„Skończyła się więc wojna hiszpańska, król „wraca do Madrytu:

Głoszą wjazd Ferdynanda okrzyki narodu,
Wiodą go przez ulice kwiatami usłane;
Tak to niegdyś i Troja do swojego grodu
Ciągnęła bydle drewniane!“

Morderczy epigram! w aluzyach politycznych dowcipy Morawskiego możnaby porównać do tych ognistych strzał, które gniewny Feb miotał pod Troją na Greków; nie ma w nich ziemskiego błota, jest tylko niebieski ogień oburzonego poety. Jakaż to różnica od dzisiejszych tylu pisemek wyłącznie poświęconych politycznemu dowcipowi, gdzie w braku niebieskiego ognia, naboje są z błota! Na nieszczęście wyborne te epigramaty nie miały w swoim czasie prawie żadnego rozgłosu, chyba w kole kilku poufnych przyjaciół — pisane po francusku, byłyby świat obiegły.

O ile Morawski nie przepuszczał żadnej poślizgi, głupstwu, nikiestemnemu płaszczeniu się, serwilizmowi, o tyle serce jego napawało się radością, gdy przyszło oddać hołd jakiejś cnocie i patriotycznym zasługom. Kajetan Koźmian przysłał mu był swoją wyborną mowę na śmierć generała Mokronowskiego towarzysza i przyjaciela Kościuszki, męża rzymskich cnót i heroicznych poświęceń się. Otóż co pisze o niej:

„Odebrałem twoją mowę, za którą ci najserdeczniej dziękuję. Cztery razy odczytałem ją „w godzinie i jeszcze czytać będę. Kiedyż bar-

„dziej dusza podobnego potrzebowała pokarmu?
„Godnym był twego głosu Mokronowski:

„Tak byłyby godnemi nawet twego rymu
Całe życie cierpienia, i czyn godnym Rzymu.“

„Całe dzieje jego życia, cała osnowa téj mo-
„wy, zamykają się w tym ostatnim wierszu. In-
„ni przeczytali twoje pismo, wzruszyli się tkliwo-
„ścią jego, pochwalili piękności obrazów, lecz ja,
„który cię znam tak dobrze, odkryłem w twojej
„mowie jeszcze ukryte ślady tych uczuć i myśli,
„które w świątyni twojej duszy pozostały, a któ-
„rych dla okoliczności wolałeś nie wyjawiać. I do-
„brześ zrobił. Do kogóżbyś tam przemówił
„głosem twój duszy, już może dla wszystkich nie-
„rozumiałym? Powiedz Niemcewiczowi, że mu
„mój mały Tadeusz jako chrzestnemu Ojcu nogi
„całuje. Bogdajby choć w części chciał go nagro-
„dzić ojczyźnie! Twego miłego, dobrego i wrzą-
„cego Makbeta*) całuję. W tém to pokoleniu
„cała nadzieja.“

„Muzo polska! pieśniami wślawiona smętnemi.“
Ty, coś w wolnej, dalekiej Washingtona ziemi

*) Tym Makbetem jest Jędrzej Koźmian, zaj-
mujący się już wtedy przekładem téj tragedyi
Szekspira.

Przez usta Niemcewicza przemawiała z jękiem
Wzruszała ją twym losem, zadziwiała dźwiękiem
Ozwij się, ozwij piękną ojców naszych chwałą,
Zapał ogniem słów twoich tę młodź pozostałą.
Przypomnij przekazaną tyłu cnotę puściznę,
I przynajmniej w jej sercach uratuj ojczyznę.“ —

Jak uwielbiał surowy charakter, niezmordo-
waną pracowitość, ascetyczną skromność życia
Staszica, te kilka słów z listu do Jędrzeja Ko-
źmiana najwymowniej objaśnia:

„Już siódmą elegię odbieram na zgon Sta-
„szica. Cóż to za brednie! Czy im Lubecki pła-
„ci za to, czy téż to zemsta wieszcza Ilionu? tak
„się bowiem nad nim pastwią, jak on nad Ho-
„merem!*) Czemuż tylko oni piszą, czemu twój
„Ojciec się nie ozwie? Klasyczne cnoty godne
„klasycznego pióra. Ja dziwić się jedynie i uwiel-
„biać mogę. Plutarch by nim nie wzgardził.
„W społeczeństwie warszawskiem będą coś wy-
„szukiwać zapewne na niego, jak tego tylekroć
„świadkami byliśmy; jedni będą śmieszności pod-
„chwytować, drudzy skryte jakieś wynajdywać
„występki; bo taka kolosalna cnota nadto dru-
„gich poniża, a tego miłość własna nie przeba-

*) Staszic tłumaczył Iliadę wierszem białym.

„czy, zwłaszcza tych, co się chcą koniecznie unieśmiertelnić nie zważając na sposoby i środki. „Dadząc oni pokój Czarneckiemu; nikt mu nie „przeszkodzi trawić przedziwnie i czołgać się „przed wyższymi. Bierz ich diabli; a nawet kasztelana naszego; niech sobie zajada, niech się „podli; któż zrozumie Twórcę! może i takich „błaznów potrzeba.“

W późniejszym liście do tegoż objawia myśl swoją uczczenia pamięci Staszica, który jak wiadomo w majątności swój Hrubieszowszczyźnie nadał grunta i wolność włościanom, czyli po prostu zrobił ich spadkobiercami swego majątku:

„Miałem myśl kupić zagrodę sobie w Hrubieszowszczyźnie i wpisać się między tamtejszych „włościan, nikt do tego czasu tego nie uczynił; „a byłoby to najpiękniejszym uczczeniem pamięci „wielkiego obywatela. Ale jak się dowiedziałem, „wszystko rozkupione, i przytém w mojem będąc „położeniu mógłbym kogoś przez to podrażnić. „Muszę więc zaniechać tego, choć to nie mała „męka wyrzec się pięknego przedsięwzięcia.“

Nie można znaleźć trafniejszych zdań, jak te co podaje o tak zwanój dobroczynności stołecznych dam:

„Nie wiem, pisze on do Kajetana Koźmiana „— co w. książę na to powie, że Rautenstrauch „swojej żonie pozwolił grać na publicznym teatrze; jest bowiem cokolwiek różnicy na sali dobroczynności, a na teatrze. Obaczysz że będą „gniewy. Po co oni Osińskiemu psują chleb; nie „bardzo to dobroczynny zamiar. Czemu raczej „o biednych chłopach i żebrakach sami panowie „nie myślą, co to po ich wsiach żołędzie jedzą, „dzieci mnóstwo z nędzy umiera i z nieszczepionej ospy, a żebraków tyle, o których się ani „spytają dziedzice? Pierwszy obowiązek pomyśleć „o tych, których nazywamy się panami, a którzy „siły swoje dla nas stargawszy przyszli do nędzy. „Możnaby bezpiecznie Warszawie zostawić opatrzenie swoich; lecz wtedy dobroczynność pełniona na wsiach nie wpadałaby tak w oczy; nie „możnaby z niej takiój parady robić. Oto cały „sekret. Czy téż uważasz, że między kobietami „Towarzystwa Dobroczynności, nie masz i jednéj „z miejskiej klasy, lecz wszystko magnatki.“

Posłuchajmy co mówi o misyach nakazanych „w całym królestwie i odprawianych z wielką okazałością:

„Co się tyczy misy, urządzenie o którym

„mi piszesz ma w sobie wiele dobrego, ale pomi-
 „mo religii którą czuję w sobie dość głęboko,
 „same misye nie zawsze są dobre, podług mego
 „zdania. Po co ta nadzwyczajna reprezentacya
 „religijna? Na co ta krucyata księży przeciw
 „zbrodniom? Cóż to tak nagłego wymaga lekar-
 „stwa w świecie moralnym? Czyż mniej jest re-
 „ligii w sumieniach, niżeli przed dwudziestu laty?
 „czy więcej rozpasania w stadłach małżeńskich
 „i mniej cnót domowych? Nie, zapewne. Z téj
 „strony przynajmniej lepsi jesteśmy od przeszłego
 „pokolenia. Przedtém wszyscy prawie mężowie,
 „żony, zwłaszcza w stolicy, byli źli; a teraz już
 „ich pojedynczo cytujemy. Pytam się teraz czy-
 „śmy tę zbawienną zmianę misyom winni? — Są
 „zbrodnie na nowo grożące moralności świata,
 „ale o tych nie będziemy słyszeć w misyach jako
 „to: o podłości, obojętności, zbrodniczej trwodze
 „i braku wstydu obywatelskiego: Natoby trzeba
 „krucyaty; ale jój nie będzie. Nie widzę innego
 „rodzaju zbrodni zagęszczonych; każdy doświad-
 „czeniem spokojniejszy i moralniejszy, a szcze-
 „gólne przykłady nie są dowodem. Zresztą, po
 „co lud wyciągać z okręgów parafii? Pleban zna-
 „jąc bliżej swego parafianina, zajmuje się niejako

„wychowaniem moralnem jego sumienia; jemu to
 „są wiadomsze stosunki wszystkich, i wie lepiej
 „jak do każdej ze swoich owieczek przemawiać,
 „i jaką drogą trafić do jój sumienia. Tam więc
 „każdy parafianin szczególnie udawać się powi-
 „nien, tam się zwierzać swoich cierpień, błędów;
 „tam szukać rady, przykładu i pociechy! Ten mó-
 „wimy nauczyciel jest najlepszy, który najlepiej
 „zna swoje dziecko; ten doktor jedynie dobrze
 „leczyć może, który niemal całą historję naszego
 „zdrowia od lat wielu poznał. Czyż tego samego
 „rozumowania przenieść nie należy i do kierowa-
 „nia sumieniem? Powiedzą mi może, że plebani
 „nie dobrzy. Prawda; ależ inni czy więcej świa-
 „tli i moralniejsi? Na nieszczęście robi to wszy-
 „stko jakaś mania efektu, reprezentacyi tea-
 „tralnych, parad, które już śmiesznymi się stały.
 „Na cóż więc i tę pracę duchowną wystawiać na
 „drwinki uszczypliwe? Krudener i Hohenlohe
 „wszystko to jest ta mania efektu; i zobaczysz
 „co to dziwolągów gadać nam będą o skutkach
 „misyi. Może nawet Skarszewski*) będzie robił

*) Skarszewski biskup lubelski, potem mianowa-
 ny arcybiskupem warszawskim. W czasie re-
 wolucyi w 94 r. w Warszawie, już go ciągnio-

„cuda? Gdybyć przynajmniej djabła z Okołowa*)
 „wypędził, to by się misye na coś jeszcze przy-
 „dały.“

Lubo nie ze wszystkim można się zgodzić na argumenta podane w powyższym ustępie, które jak się domyślam były zbijane przez Koźmiana, jednakowoż człowiek tak pełen religii jak Morawski, nie byłby uderzył na misye, gdyby nie ówczesne okoliczności towarzyszące ich zaprowadzeniu. Miały one bowiem więcej cel polityczny, niż zbawienie duszy na względzie. Objawiające się tu i owdzie związki tajne, odzywiania się z żądaniem rząd niepokojącymi, nasunęły, jako środek zaradczy nieukontentowaniu, odprawianie misyjnych nabożeństw i kazań; wyobrażano sobie bowiem, że religia na to jest od Boga dana, aby wszystkie nadużycia i niesprawiedliwości rządzących brała pod swój płaszcz, i aby pod jej moralnym naciskiem nie wyszedł żaden jęk z serc pokrzywdzonych. Szczególniej za cesarza Aleksan-

no na śmierć, lecz Kościuszko ocalił go przed zawziętością ludu.

*) Okołów ten był factotum Zajęczka, cynik i materialista! wybornie sportretował go K. Koźmian w swoich pamiętnikach.

dra kościoł katolicki doznawał wielkiej protekcji, ma się rozumieć w tym tylko widoku, że będzie szedł ręką w rękę z absolutyzmem, gasząc światło i tłumiąc uczucia wolności. W Warszawie było kilka znacznych figur tak cywilnych jak duchownych działających w tym kierunku. Morawski świadomy tych stosunków, zrozumiał cel owych misyi i dla tego tak się przeciw nim oburzył.

W dwadzieścia parę lat później, kiedy sły-
 szal o misyi księdza Antoniewicza odprawianej po ekscesach r. 1846 między ludem nie obmytym jeszcze z krwi niewinnych ofiar, zapewne powyższego ogólnego zdania, nie byłby drugi raz bez pewnych zastrzeżeń powtórzył. Że potępienie misyi nie było u niego bezwarunkowe, najlepiej przekonywa list do Stanisława Koźmiana pisany w r. 1852 z 11 Maja, gdzie tak się wyraża:

„Wracamy z misyi Krobskiej, gdzie przez „ostatnie dni było ciągle 25000 ludzi. Nie tylko „błogie, ale nadzwyczajne było wrażenie. Szkoda „że bierzmowania na inny czas nie odłożono, bo „dwa cele, zamiast jednego, rozpraszały uwagę „jedno niejako drugiemu przeszkadzało. Księży „było ciągle przeszło czterdziestu, i wszyscy gorli- „wie pomagali. Sądzę że odniosą przekonanie, że

„aby czynić wrażenie z kazalnicy, tak jak na mi-
 „syach, trzeba przemawiać do serc, a nie na kilku
 „moralnościach, słowami pisma Ś. okraszonych,
 „przestawać. U nas nabożeństwa, uroczystości, za-
 „wsze były godne i przyzwoite, lecz z kazalnicy
 „uboga tylko suchość spływała, gdy przemowy ka-
 „znodziejskie jedynie wstrząsnąć dusze ospałe i
 „skibę grubą grzechu odwalić mogą. Uważałem
 „nieraz że im lepsze kazania w jakim kościele,
 „tém i parafie lepsze. Daj Boże, aby to się zmie-
 „niło choć w części. Po lepszych kazaniach będą
 „i lepsze spowiedzie, a po lepszych spowiedziach
 „i życie lepsze.“

Żywą obdarzony wyobraźnią, przytém krwi
 gorącej, wszystko mocno brał do serca, mianowi-
 cie gdy co obrażało w nim wrodzone uczucie szla-
 chetnej prawości, lub rzucało jaką plamę na ten
 biały całun, w który on ideał Matki Polski oble-
 kał.

Oto ustęp z listu do Kajetana Koźmiana,
 mogący służyć za komentarz do ówczesnych wy-
 padków, zasmucających serce dobrego obywatela:

„Twój Jędrus jest u mnie, i cały dzień dzi-
 „siejszy zabawi... Czytał mi co mu matka o egze-
 „kutorach testamentu O....ię napisała. Cóż to

„za okropne brudy! ktoby się tego był spodzie-
 „wał. Właściem mówił twemu synowi, że ubywa
 „liczba ludzi pocziwych, co jest większą stratą
 „nad to, co nam śmierć zabiera; bo słabiej wia-
 „ra w szlachetność, prawdę i cnoty człowieka.
 „Smutno, okrutnie nawet jest psuć illuzję mło-
 „dzieńcowi o ludziach, właśnie gdy ma wchodzić
 „z nimi w bliższą styczność; ale niech wie, że
 „trzeba dopełniać niknącej liczby uczciwych, aby
 „nie skazać cnoty na samą sławę tradycji, że
 „tam kiedyś ludzie mogli być jęj zdolni. Kiedyż,
 „kiedyż doniesiesz mi o czém szlachetném i wiel-
 „kiem! Gdybym miał twój, to jest prawdziwy ta-
 „lent, dziśbym ody, poemata, sielanki i wszystko rzu-
 „cił, a tylko na szerzącą się zbrodnię gromy poezyi
 „rzucił. Gdybym był kapłanem, wołałbym o po-
 „prawę, i malowałbym ohydę czasu i godności
 „chrześcijańskiej, nieśmiertelnej duszy. Gdybym
 „był królem, całej władzy-bym użył przeciw
 „tęj niesłychanej klęsce. Wiem jaki smutek mię
 „czeka za przybyciem do Warszawy; powtórz
 „się dla mnie tylokrotne zdarzenie, że tych sa-
 „mych panów, którzy oburzenie powszechne spra-
 „wili, będę znów widział, jednych cierpiących,
 „drugich lubionych po salonach; bo jak pamiętać

„cnoty, tak i wspomnienie zbrodni zarówno sła-
 „bieją z czasem, ... Kończę list, bo więcej pisać nie
 „mogę; wolę zwrócić się do Jędrusia, i w nim dwóch
 „pocziwych kochać, cieszyć się tą nadzieją, że kie-
 „dyś moim dzieciom może być przykładem, i tak
 „przelewając z serca w serce szlachetność swych
 „uczuć, przedłużać istnienie cnoty... Bądź zdrow,
 „jeżeli nim w tych czasach być możesz...”

W innym liście do tegoż w podobnej ma-
 teryi:

„...Gorsze stokroć od romantyzmu to zło-
 „dzieństwo. O Boże Ojców naszych, także się to
 „łatwo stary i szlachetny naród mieni! Są to
 „wprawdzie zbrodnie kilkunastu tylko osób; lecz
 „dawniej nie stowarzyszała się zbrodnia, i nie
 „śmiała się z tą bezwstydną spokojnością bronić.
 „Byłem w Poznańskim, — dowiedziawszy się o tém,
 „myślałem, że widok śmierci matki wyczerpał
 „całą boleść z serca, kiedym uczuł, że silniej je-
 „szcze prawie rozdartém być może. Chlubiliśmy
 „się, że krwawe zbrodnie nie są w naszym cha-
 „rakterze, i jakby lepszym wyborem, podłych się
 „chwytamy. Na tożto broniliśmy sławy, honoru
 „Polski, aby wszystko razem zbłąźnić?!”

Przyjaźń jaką miał Morawski dla Kajetana

Koźmiana, nie tylko przeniósł na jego syna Ję-
 drzeja, ale jeszcze kochał go sercem ojcowskiem,
 i można powiedzieć, że radami swemi wiele wpły-
 nał na wyższy kierunek, jakim ten młodzieniec
 szedł w życiu. Dość przytoczyć jeden list pisa-
 ny doń z tak głęboko mądrymi uwagami, że mo-
 żnaby je zamienić w kodeks, obowiązujący całą
 naszą młodzież na dziś i na długo jeszcze.

„Dobre wychowanie, światło i szlachetne
 „skłonności, kładą na cię wielką odpowiedzial-
 „ność. Staraj się, abyś był wzorem do naślado-
 „wania, zawstydzieniem niedobrych. Spójrz tylko
 „co się z naszą młodzieżą dzieje? Wkrótce gnu-
 „śność tylko, elegancja, karty, a może i pijaństwo
 „całém ich zostanie zatrudnieniem. Błąkają się
 „biedni nie mogąc celu żadnego zachwycić. Do
 „was to lepszych młodzieńców należy wskazać
 „ten sposób szlachetniejszy użycia dni swoich.
 „Niech tylko każdy tyle się przyczynia ile może
 „do dobra powszechnego; ten w obowiązkach zie-
 „mianina, ten w familijném życiu, ten na małym
 „nawet urzędzie, gdzie wzór dany najzbawienniej-
 „szym być może; ten nakoniec, w wojsku; — a
 „musi coś z tego urosć dobrego dla całości.
 „O jakżebym ja was wszystkich młodych z lepsze-

„mi uczuciami chciał widzieć w publicznej usłudze i wszystkich dla przykładu i zachęcenia do „czynności, zaczynających od najniższych urzędów. Nie same wtenczas półgłówki i łajdaki „cisnęłyby się do nich; a wasz sposób zacny „sprawowania się na nich, stałby się wzorem dla „drugich. Póki temi drobnymi miejscami pogardzać będziemy, dla tego, żeśmy światlejsi lub „bogatsi, póty prawdziwa godność urzędowania „nieznana u nas będzie. Kiedyż u nas wystąpi „jaki możniejszy młodzieniec z tym wielkim przykładem i dowiedzie, że nie dla karyery, nie dla „nagrody, lecz dla dobra kraju wszystko gotów „jest uczynić, i że dla tego bierze najniższe miejsce, aby tém silniej dowiódł, że w usłudze krajowej każde miejsce jest zacnem. Oto teraz „droga prawdziwej sławy; nie widzę znakomitszej dla młodego Polaka... Baw się więc, Kochaj, tańcz — a potem zamyśl się na chwilę „nad tém, com napisać...”

W zbiorze tych korespondencji Morawskiego często spotkać się można z listami polecającemi różnych jego protegowanych. Najwięcej byli to starzy zasłużeni wojskowi, którzy albo utrzymania nie mieli, albo intryga chciała ich wysadzić

z posady dającej im kawalek chleba na stare lata. Instancja jego była gorąca, przekonywająca, i nie dająca się lada czém odstraszyć. Kogo wziął w opiekę, szczerze mu dopomagał, nie ludząc słówkami pięknych lecz pustych obietnic.

W wspomnieniach moich młodociannych z Lublina żywo przechowała się figura wysoka, brzuchata, na chwiejnych nogach, w mundurze granatowym z żółtymi rabatami, zjawiająca się na paradach i na różnych miejscach publicznych, zawsze zasapana... Był to major Poplewski, prezydent miasta. Poczeliwość i dobroć patrzyła mu z oczu, choć często groźnie ujadł się z przekupkami i żydami o nieczystości na ulicach, lub o zawadzanie przy uroczystościach wojskowych. Otóż pocziwca tego chciano wykurzyć z urzędu... Ujął się za nim Morawki i zaraz polecił Koźmianowi mającemu wielkie wpływy w Warszawie, aby go wziął w obronę. Pojechał Poplewski do Warszawy chodzić za swoją sprawą, i jak widać nie z wielką nadzieją wrócił; żądano bowiem od niego kaucyi, której dać nie miał z czego. Morawski pisze za nim powtórnie w oburzeniu się na niesprawiedliwość.

„Wszystkie moje prośby, boć słuszne wzglę-

„dem Poplewskiego, są daremne. W. Książę kazał go nominować; kazał później nie zrzucić go „z urzędu; kazał tu Lubowieckiemu: *laissez tranquille ce vieux brave homme* i do tego mundur „majorowski kazał mu nosić, co dowodzi, że chce „się nim opiekować. Teraz, gdy grosza nie ma „do dyspozycji z kasy miejskiej; gdy przez tyle „lat nic się nie pokazało na niego, i gdy nako- „niec sam Książę Namiestnik r. 1819 kazał go „uwolnić od kaucyi, teraz, mówię, żądają ję na „Nowo. Poplewski trzydzieści lat służył tak ucz- „ciwie, że i grosza z sobą nie przyniósł. Został „mu tylko honor zasługi i opieka W. Księcia, „które podobno są najpewniejszą kaucją, i nie „pojmuję, jak po takiej, można innę żądać? Chcą „mu czwartą część odciągać z płacy, gdy ledwie „z całej z żoną i dziećmi wyżywić się może. Z „płaczem starzec blisko 70cioletni był u mnie; „serce się krajało na ten widok. Podobna to „do wiary, aby tak zasługi całego życia były od- „płacane; któż się nieodrazi od usług publicznych „na obraz tak smutny. Jeżeli wszystko ma być „za nic policzone, i służba tyloletnia i uczciwość „i niewola, i krew przelana — niechże przynaj- „mniej niesprawiedliwość zmniejszoną będzie; niech

„przyjmą kaucję hipotekowaną. Wszakże i tak „rząd przez te kilka lat, które mu jeszcze żyć „pozostaje, nie wybierze z czwartej części 14 ty- „sięcy kaucyi. Dawno on już ją podał do ko- „misyi wojewódzkiej; kaźcież ją odesłać sobie, je- „żeli nieodesłana; a jeżeli już ją macie, to miejcie „przecie litość nad nieszczęśliwym. Proś odemnie „Sumińskiego, przeczytaj mu ten list; proś pana „ministra Mostowskiego — bo cóż ten człowiek „w swojej rozpaczyci pocnie? Codzień się bardziej „przekonywam, że trudniej o czynniejszego około „upiększenia miasta; a jeżeli jest błoto i tyły „ulic nie czyste jeszcze, to są na to milionowe „dowody, że nie on temu winien. Miasto płaci „za czyszczenie, a pieniądze te nie na czyszczenie „lecz na fabryki idą — cóż więc ma począć, do „twego rozsądku się odwołuję...”

W innym liście znowu w tej sprawie na-
ciera:

„Jeszcze raz piszę ci za Poplewskim. Uczyn „co możesz; a chyba on sam będzie ci wdzię- „czniejszy niż ja. Wysłuchaj go dobrze, nie za- „luj czasu. Kosecki chce na tém miejscu konie- „cznie swego adjutanta osadzić. Przykra to rzecz, „aby taki chlystek odbierał miejsce człowiekowi,

„co trzydzieści lat służył, a jedenaście był w nie-
„woli na pontonach angielskich. Wszyscy po-
„czciwi powinni bronić pocziwego. Odeszlej list
„Kraśnińskiemu i proś go także za Poplewskim.

Niedosć na tém, gdy w roku 1826 Morawski opuszczał Lublin i przenosił się na kwatery do Radomia, nie opuścił zasłużonego starca, i nie tylko, przypominał go Koźmianowi, ale zobowiązał generała Fenshawe mającego wpływ, na w. księcia, żeby mu nie odmawiał swojej opieki.

Przytoczyłem umyślnie ten cały szczegół, raz żeby odkryć piękną stronę duszy generała ujmującego się za szczątkami sławy wojennej narodu, powtórze żeby rzucić światło na ówczesne stosunki, często nader potworne. W. książę ujmował się za starym kościuszkowskim żołnierzem, za legionistą, za ofiarą angielskich pontonów i protegował go przeciw własnym rodakom, zazdroszczącym mu na schyłku stęranego życia kawałka mizernego chleba, żeby go dać jakiemu faworytowi, zasłużonemu w podłych może usługach! Smutny to komentarz do przyczyn listopadowego powstania.

Skład towarzystwa w Lublinie, w którego kole był generał, liczył ledwie kilka osób docho-

dzących do jego miary. Główną rolę grała tam pani Jaraczewska, osoba ułomna, pełna żywości, wymowna, umiejąca elektryzować ospałe miasto balikami, piknikami, teatrami amatorskimi, a do tego autorka wielu moralnych romansów, których koszlawą polszczyznę, jak mógł tak prostował Morawski. Był i generał Weissenhoff, komendant dywizji ułanów, człowiek gruntownie uczony; było jeszcze parę profesorów więcej coś umiających nad zakres swego wykładu — zresztą same figury urzędowe, nadęte a pospolite. Wyżartował ich Morawski w kilku wierszykach przesłanych w liście do Kajetana Koźmiana:

Gründlicha*) język francuski
Kształtne Jarachy frazesa,
Zawidzkiego**) dowcip pruski
I wszystkie mowy Prezesa.

Najniesmacniejszą dlań figurą, lubo musiał się stykać z nią często, był prezes wojewódzki. Nierzadko jakim charakterystycznym rysem maluje go w listach do Koźmiana. Kiedy po śmierci cesarza Aleksandra wojsko i urzędy przyw-

*) Dyrektor poczty, dawny austriacki urzędnik pozostały na tej posiadzie.

**) Zawidzki pułkownik 2go pułku strzelców pieszych.

działy żałobę, gorliwy prezes posunął ją do ostateczności.

„Co téż powiesz na to — pisze Morowski — że nasz prezes w swoim pokoju czarne fi-ranki podawał; krepą czarną osłonił żerandole, „obrazy, a nawet gwiazdę pod krepą nosi, wre-„szcie profitki do świec są z czarnego papieru. „Żeby mu téż kto o tém napisał. Ale zaklinam „cię nie pokazuj tego listu, zwłaszcza Koseckie-„mu, bo i tak już narzeka, że z niego obaj tylko „szydzimy.“

Można sobie wystawić, w jaki ruch wprawiał takiego służbistego prezesa, przejazd której z wysokich figur, jak namiestnika lub Wiel. księcia. O okolicznościach takiego przejazdu mówi list niniejszy:

„Jeździłem wczoraj o dwie mile z tąd. Cóż „to za błoto na drodze lewartowskiej! a prze-„cież w tym błocie, jak w bajce Niemce-„wicza będą się wyścigać nasze figury, która z „nich pierwój do mety próżności dobiegnie. „Niech lecą! my wolnym krokiem i starą, kla-„syczną, cnotliwych ojców drogą postępujemy. Wy-„stawiam sobie prezesa, jak zadyszany, czerwony; „z błotem na wąsach, z zawałaną gwiazdą, wleci

„tu przed namiestnikiem. Przynajmniej że to „błoto zmyć można, boć są to takie plamy, któ-„rych Oceanem, jak żona Mekbeta, zmyćby nie „można.“

O tym prezesie taką jeszcze przytacza, wcale zabawną anegdotę:

„Teraz dopiero dowiedziałem się dobrze ca-„łój historyi żyda i prezesa. Prezes uderzył sil-„nie w twarz żyda i skrwawił go. Żyd poszedł „do Rozenberga*) prosić o *visum repertum*, mó-„wiąc, że przez ślusarza pobitym został. Rozen-„berg dał mu zaświadczenie, że skrwawiony, że „mózg mu wstrząśnięto tym policzkiem; że dwa „muszkuły mogą się zamienić w beczynne; sło-„wém, że niebezpiecznie uszkodzony. Żyd bierze „to *visum repertum* (które dobrze zapłacone, lecz „nie [na prawie było oparte) i podaje z niem „skargę do kryminału. Dają znać prezesowi — „przyjeżdża, klnie doktorów, Rozenberga zwłasz-„cza, który mu tyle lat bakę świecił, proch przed „jego stopami lizał. Przywołują więc i Rozen-„berga. Wystaw sobie więc tego podłego po-„chlebcy zdziwienie, wstyd i obawę, że śmiał

*) Rozenberg, fizyk miejski.

„wydać raz w życiu sprawiedliwe świadectwo. Poznał dopiero w jaką wpadł łapkę. Sprawa „zagodziona z żydem; lecz Rozenberg najpiękniej- „szą treść do komedyi zostawił.“

Oto mniej więcej w takiej sferze towarzyskiej musiał żyć Morawski podczas konsystencyi swojej brygady w Lublinie — niedziw, dla czego myślami i uczuciami biegł zawsze do drogich przyjaciół warszawskich, a pisząc do nich, i nawzajem odbierając listy, znajdował w tém zajęcie dla swego umysłu, podniecie do utrzymania się w prądzie literackiego ruchu, słabém tylko echem stolicy odzywającego się na prowincyi.

VII.

Rok 1826 ciężkim lubo przewidywanym ciosem ugodził w serce kochającego generała.

Ożeniony od lat kilku z Anielą z Wierchowskich, osobą pełną wdzięków, starannie wychowaną pod okiem księżny Izabelli Czartoryskiej w Puławach, najlepszą żoną i matką dwojga małych dzieci, utracił ją na chorobę piersiową, która go o jej stan już od niejakiego czasu trwożliwym robiła. Pielęgnował, zapobiegał niebezpieczeństwu, szukając dla niej świeżego powietrza i słońca,

otaczał wszystkiém, co tylko czułość małżeńska wymyślić może — w końcu widział, że nie ma ratunku i przyjął ten cios z rezygnacją chrześcijańską, nie uwalniającą od oplakiwania jej zawsze.

Umarła w Warszawie, ciało jej leży na cmentarzu w Powązkach.

Krótką lecz rzewną a pełną mężkości elegią, oplakał zgon ukochanej.

„O żono, droga żono, matko moich dzieci!
Może mnie tam nie jeden błąd w twych oczach szpeci,
Możem nie dość twym cnotom winnej składać cześci,
Nie dość kwiatów pociechy wplatał w cierń boleści? —
Tój jednej krzywdy przecie nie wyrządę tobie,
Bym łzy żalu na twoim nie zostawił grobie.
Niechaj inni od przykrych im pamiątek stronią,
I by uciec wspomnieniom, za nadzieją gonią;
Dla mnie całą rozkoszą oplakiwać ciebie,
Tu cię szukać mym żalem, a nadzieją w niebie!

Nie znalazłem żadnego listu opisującego tę stratę. Najbliżsi sercu przyjaciele byli zapewne przy nim.

Z późniejszych dat częste są jednak listy opisujące stan jego duszy. I tak do Kajetana Koźmiana pisze:

„Przez ileż ja to zmian gwałtownych prze-

„chodzę! Odmieniam brygadę, garnizon, całe życie zmieniać muszę i przykrość za przykrością goni. Okropnie źle mi na świecie, a może jeszcze nowe ciosy czekają. Postawiłem już grób memu aniołowi, bo jakże mam ją zwać inaczej? „wiele mię kosztowało być obecnym przy tej pracy; ale

Kto wszystkie życia już wypił trucizny,

I nic, prócz męki, nie czuje —

Ten w rozzwieraniu rozjatrzonej blizny

Jedyną rozkosz znajduje.

„Wiesz o awansach tyłu naszych starych generałów, którzy o wyjściu ze służby już myśleli. „Można powiedzieć, że grzyby porosły na armii. „Nie mogłem odmówić przeniesienia mego, bo „mnie z największą delikatnością proszono o to; „a potem sztab brygady będąc ustawiony nadal „w Zamościu, byłbym co do służby w wiecznej „kolizji z generałem Hurtig, komendantem twierdzy. „Nakoniec i tak byłbym się oddalił od Piotrowic; a teraz co miesiąc widzieć cię będę w „Warszawie, gdzie jeden z moich pułków zostaje... „Żał mi niezmiernie tamtej okolicy, bo przez siedm „lat mego tam pobytu, ani ja, ani na mnie nikt „się nie skarżył i mogę sobie śmiało wróżyć, że

„nie miłych wspomnień nie zostawuję po sobie w „Lublinie. Przynajmniej to jest mi pociechą. Wczoraj kilku żołnierzy widziałem płaczących po mnie „z pułku Zawadzkiego i przyznam ci się, że więcej „roskoszy w życiu nie doznałem!... Więcej „nie wiem, bo nigdzie nie bywam, nie mając „ludziom nic do powiedzenia z serca, które czem „innym zajęte, dla nichby tylko przykrém było... „Śmieję się, rozrywam, roztrzepuję nawet czasem, a za chwilę serce się kraje i pod boleścią „upadam.“

Do Jędrzeja Koźmiana z Radomia pod datą 9 kwietnia 1827 r. tak pisze:

„Wiedziałem, że nie przyjedziesz i dobrześ „zrobił.

„Wszystkie dni dawniej szczęścia pełne, zbyt „bolesne są teraz dla mnie. Rok temu obchodziłem jeszcze z moją kochaną żoną ten sam dzień „moich imienin. Cóż to za szczęście było! jakie „tkliwe życzenia wylewały się z tej duszy tak czy „stój i tak kochającej. Okropna rzecz stracić to „serce na zawsze, które najbardziej nas kochało „i tyle jeszcze dni żyć i żyć, z których żaden jęj „nie wróci. Cały ten dzień byłem myślą moją przy „jēj grobie i takem do niej mówił sercem:

„Nie znam już słodszych pociech jak łzy żalu sączyć,
„I już inną nadziei, jak się z tobą złączyć.“

Morawski, jak z powyższych listów widać, po doznanej stracie przeniesiony był do Radomia, co mu nie przeszkadzało nawiedzać często Piotrowice i Puławy, a niemniej nieprzerwaną prowadzić korespondencję z Koźmianami. Miejsce nowego pobytu w ten sposób skreślił w jednym z listów:

„Mam ja i tutaj (podobnie jak w Lublinie), wzory niepospolite, ale mniejsze miasto, więc, i mniej oryginałów. Nudów za to bardzo wiele, i takie jeszcze pijaństwo, jak za Augustów. Za to na nieszczęście systematu kredytowego, nie zapłacono do kasy połowę procentu. Co to będzie?! Wiesz zapewne, że w tutejszém Województwie obaliły się nieukończone jeszcze budowlę Lubeckiego. Tylko 600,000 szkody. Zdaje się, że Polskę do bostona zaprosił i każe ję wygrywać przez *Grande misère*.“

Wyborny dowcip, który w swoim czasie obiegał po Polsce i był krytyką finansowych operacji księcia Lubeckiego ministra skarbu.

Rok ten 1826 i z innej jeszcze strony dotknął go boleśnie. Odkrycie spisku w Rosyi

i połączonego z nim spisku rozgałęzionego w ziemach polskich, spowodowało wiele aresztowań między wojskowymi, co rzuciło przestrasz panny tak w armii, jak w świecie towarzyskim. W niektórych listach spotykam pobieżne lecz wymowne wzmianki o tych zdarzeniach. I tak:

„Wiele bardzo jest do powiedzenia o Warszawie. Już ze 30 osób aresztowanych, ale pisać o tém trudno. Nie piszę wierszy, bo któżby pośród łez śpiewał? *Il ne faut insulter au malheur public*..... Wystaw sobie, że w Warszawie Małachowski kasztelan wpada do Izydora (Kraśnińskiego) z twarzą wybladłą, najeżonym włosem, słowem, z całym wyrazem okropnego przestachu: *qu'on a poignardé Zawidzki à Lublin*. „Czy Cezar? Henryk IVty? a nawet Kocebue? *Il est tout fier* z przestachu stolicy..... Prezesowi wyperswadowałem, że kiedy Grzymała*) aresztowany, i on niepewny, bo listy do niego pisywał. Krzyknął: Dla Boga! powstał, chodził, sapał, sam się egzaminując, czy nie jest konspiratorem? Całą noc nie spał, chorował..... „ale dzisiaj, przy tak pięknej pogodzie zwiastu-

*) Albert Grzymała.

„jącej wiosnę, wyszedł na spacer. Żaden orzeł „nie przeleciał, ale mnóstwo podłych wróbli świer- „gotało po dachach na widok téj urzędowej figury.“

Wszystko to nieoszacowane rysy charakteryzujące ów czas i osoby.

Pod koniec tego roku, zapewne dla zniesienia się z rodziną nieboszczki żony, mieszkającą na Polesiu, jeździł generał w te zakazane okolice. Opisał on tę podróż Koźmianowi z całym humorem i nieporównaną trafnością rysów zdjętych z natury.

„Wróciłem więc z tego kraju, którego nie „wiem jak nazwać, bo com tam widział i sły- „szał, przechodzi moc wysłowienia, a nawet i po- „jęcia. Co do urzędników, jestto szerokie pole „złodziei najdowcipniej uorganizowane, którego „ustawy święciej dochowane, niż wszystkie kon- „stytucyjne. Cały kraj jest rządzony przez święte „przymierze bomażek, pałek i popów. Ciemność „do tego stopnia w wielu miejscach dochodzi, że „od 10 lat gazety nie widziano; słowem, taka „noc, że jak Niemcewicz mówi: nie rozeznasz be- „sty od człowieka. Dla tego to może bogowie „chcąc mocniej ukarać Prometeusza za wykra- „dzenie niebu twórczego ognia, nie przykuli go

„do Alp, Pireneów, Tatrów, ale do Kaukazu. „Szczególna rzecz także, że największy złodziej „w świecie, jakby na przestrach całemu państwu „osadzony został na szczycie téj góry. Przejeź- „dzając przez Wołyń pocieszyło się moje serce „widokami starożytnych zamków, które nie zo- „stały jeszcze zniszczone. Smutna rzecz, że tam „więcej zachowano tych pomników, jak u nas „w Królestwie. Bóg je uchronił od tego okro- „pnego Zajączka, który jak Samson porwał Polskę „i tak nią trząskł, aż wszystko się rozleciało i „gruzy swemi tyle rzeczy przygłuszyło. Jak Sam- „son, upadł sam pod zwaliskami.

„Stan chłopów w dawnych prowincjach jak „najokropniejszy. Powstawają na Twoją pieśń, wy- „stawiającą niedolę rolnika; niechże tam idą, a „przynaję że farby jeszcze zbyt blade i obrazy „zbyt łagodne. Hotentoty z postaci, bydło z oby- „czajów i ciemności. Co powiesz na to, że pań- „szczyzna nawet nie jest ograniczona w wielu „miejscach; a chłop z tą się żeni, z którą każą. „Są tam jakieś przepisy rządowe broniące wie- „śniaków od ucisku, ale tych tylko używają wten- „czas urzędnicy, kiedy chcą coś z panów wyci- „snąć. W Pińskim biedne chłopki suszą pisko-

„rze i z nich mąkę miałą na chléb. Jednego buta
 „lub trzewika, nie widziałem nigdzie, tylko jakieś
 „łyki i powrozy którymi nogi mają owiązane;
 „prawdziwa cecha ich stanu nieszczęśliwego.

„Rozjaśniły się moje myśli, uradowała dusza
 „w Łucku. Całe miasto brzmi tylko uwielbie-
 „niem tamecznego biskupa Cieciszewskiego. Cóż
 „to za dobroć, łagodność, świętość chrześcijań-
 „ska! Mimo różnicy wiar, w każdym widzi i ko-
 „cha bliźniego; wszystkich wspiera, i co tylko
 „zostaje mu z dochodów rocznych, rozdaje ubo-
 „gim. Dość ci powiedzieć na jego pochwałę, że
 „gdy zachorował mocno, wszystkie Żydy w mie-
 „ście i kilka-milowej okolicy, nałożyły sobie trzy-
 „dniowy post najostrzejszy, aby uprosić u Boga
 „jego ozdrowienie. Wszyscy ze łzami wdzięczno-
 „ści, wspominają jego imię, o nim najmiliej mó-
 „wią, i Bogu tylko szczerzy hołd składać mogą.

„Zastałem téż na Podlesiu jakiegoś dawnego
 „szambelana króla Stanisława, który, tak lubi mu-
 „zykę, że trzem synom dał Archaniołów imiona:
 „Michała, Cherubina i Serafina. Utrzymywał mi
 „że król Stanisław miał tak stare wina, że jeszcze
 „od Popiela pochodziły i że w samą rzecz było
 „je czuć myszką. Nie mogąc go przepzeprzyć, zo-

„stawiłem przy miłym mniemaniu. Lubi także
 „i poezję. Wystawił pomnik księciu Poniatowskiemu
 „Józefowi i taki położył napis:

Tu leży z łaski Boski

Książę Józef Poniatowski.

Przechodniu! jeżeli tedy wypadnie ci droga
 Zmów Ojcie nasz, zmów Zdrowaś, zmów i Wierzę w Boga.

„Nie zostawiaj tego listu na stole, żeby go
 „kto nie złapał.....“

Podróż tę widać odprawiał częściej, bo w je-
 dnym z późniejszych listów do Jędrzeja Koźmiana,
 znajduje niniejszy ustęp:

„Gdym wracając przejechał Bug pod Uści-
 „ługiem, uczułem, że jeszcze jest coś swobody w
 „naszém powietrzu. Jakim był kontent żem się
 „z tamtąd wyrwał! Z iluż to względów kraj ten
 „musi być niemiły, kiedy mi dzieci nawet moje
 „upięknąć go nie mogły.

„.....Wierszy! wierszy na Boga! dla orzeź-
 „wienia się po nagięj prozie Polesia. Tak wszy-
 „stko zgasło we mnie, że podobno już nie znaj-
 „dę rymu nawet do: Jegomości.“

Listem do Jędrzeja Koźmiana (z r. 1827) do-
 nosi z Radomia o katastrofie jaka dotknęła Świ-
 dzińskiego z którym łączył go przyjazny stósunek:

„Smutną bardzo w téj chwili odbieram wia-

„domość, że Świdziński zgorzał zupełnie, a nawet „i mieszkanie, w którym miał zbiór starożytnych „ksiąg. Sprawdziło się com tylekroć mówił. Nie- „szczęśliwa mania zbierania tylko dla miłości wła- „snój, a nie dla użytku publicznego, jakież ma ko- „niec? Lepiej było nie zbierać, byłoby coś przy- „przynajmniej po niektórych miejscach ocalało. „Cierpieć nie mogę tego nieobywatelskiego, nie- „polskiego zapалу duszenia wszystkiego u sie- „bie, aby tylko przechwalać się, że się to posia- „da, czego drudzy nie mają. Czemu nie druko- „wać, czemu odkładać, czemu наконец nie od- „dawać do zbiorów narodowych, gdzie są lepsze „budowy, zachrony i dozór? (W późniejszym li- „ście). Zrobiono mi nadzieję, że coś z biblioteki „Świdzińskiego ocalało; ale choćby się i wszystko „spaliło, nic to ciebie nie poprawi, zawsze bę- „dziesz dusił i dusił w ukryciu, póki także ci się „nie spali. Wy bibliomani jesteście na nieszczęście „kraju stworzeni, bo więcej macie miłości włas- „nej, niż chęci użytku publicznego.“

Złote prawdy! W owych czasach obudziła się była mania łupienia bibliotek klasztornych. Za- zwyczaj wybierał się taki biblioman na wyprawę do klasztoru z koszem węgryna i podpoiwszy

mnicha klucz mającego od biblioteki, rabował co się dało, a książki wyrzucał przez otwarte okno, gdzie wspólnik umyślnie na to postawiony, chwy- tał je i pakował na brykę. Gdyby jeszcze z tego gromadzenia starych ksiąg i rękopisów chciano korzystać — ale jak dobrze powiedział Moraw- ski, duszono je tylko i przechwalano się białe- mi krukami. Przypomnijmy tylko sobie jak bar- dzo mało na tych odkryciach zyskiwała literatura i historia. Nawet surowych materyałów, prócz Niemcewicza i Lelewela, nikt prawie nie publiko- wał wtedy. Jędrzej Koźmian, który przyszedł był w Piotrowicach do znacznej biblioteki, do- piero w kilkanaście lat później ogłosił swoje Wy- ciągi piotrowickie, a Świdziński, którego zbiory ciąglým ulegały przypadkom ognia, nie prawie nie ogłosił z nich przez ciąg żywota.

W końcu tegoż roku, okoliczności zapowia- dające wojnę, między Rosją a Turcją, zaczyna- ją go interesować, choć to w sposób żartobli- wy objawia:

„Napisz mi z pewnością czy wojna, czy nie? czy ruszamy, i czy prędko?

Czy powiodę w kwietniu, w maju
Szyki niczém nie wstrzymane,

Czyli z groźnego Seraju
 Porwę nową Roksolanę;
 Czyli z Raczyńskich *) przykładu
 Lepiej się poznam z Turkami,
 I czy wreszcie dojdę ładu
 Z Mićkiewicza Sonetami?

„Pierwszy chylat, który zdobędę, przyślę
 ojcu twemu w podarunku.“

Spodziewano się w wojsku polskiem, że takowe będzie użyte choć w części przeciw Turkom, lecz nie było tego potrzeby; powołano tylko niektórych oficerów.

W innym liście, także w tej materji, znać, że wyższa sztuka wojskowa nie była mu obcą. Oto zdanie jego o prowadzonej wojnie:

„Siedzę teraz nad mapami Turcyi; rozważam plan kampanii; lecz na samym wstępie, nie podo-
 „ba mi się (jeżeli to prawda) ten przedział armii
 „Dunajem. *On risque d'être battu deux fois sans*
 „*pouvoir secourir une moitié de l'armée par*
 „*l'autre*. Blücher taki właśnie ruch niezmierną
 „stratą przypłacił w r 1814. Można demonstrować
 „cyte mniejszemi korpusami czynić ubocznie; ale

*) Alluzya do dzieła Edwarda hr. Raczyńskiego:
 Podróż do Turcyi.

„to, co nazywamy *le gros de l'armée* trzeba ile
 „możności koncentrować, aby stanowcze były
 „poruszenia i bitwy. Jak w poezji tak i tutaj:
 „*Im kleinsten Punkt die höchste Kraft*. Kto
 „wcześniej zgadnie gdzie jest klucz operacji i bitew
 „i tam z większą się znajdzie siłą niż nieprzyja-
 „ciel, ten wygrywa; i ta jest cała tajemnica
 „naszej sztuki, a przynajmniej najważniejsza.

„Sztuka wojskowa jest może najtrudniejszą
 „ze wszystkich, bo nagłych decyzji umysłu po-
 „trzebuję, a więc wymaga niezmiernego usposo-
 „bienia moralnego; lecz jak wszystko w naturze,
 „tak i ona na prostych, jasnych i niezmiennych
 „polega prawidłach. Ale ponieważ wszystko się
 „zmienia, więc i ta wojna może będzie roman-
 „tycznie prowadzoną, lubo wątpię, żeby między
 „Rosyanami znalazł się Szekspir wojenny. Śmia-
 „łeś się raz, kiedym Szekspira nazwał Suwaro-
 „wem poezji; za to żadnego Biberykin, ani Musz-
 „kin Puszkina nie nazwę pono nigdy Szekspirem
 „sztuki wojskowej. Daj im Boże szczęście! jeże-
 „li to ma być dla dobra Greków. Kiedy starego
 „trupca wywołują z grobu, może i niegasłe jeszcze
 „Polski popioły ożyją — ale czy przez nich? *That*
 „*is the question*, bo my śpiąc niby, może marzymy.

„Jeżeli i my będziemy powołani do tej woj-
ny, napiszę ci wcześniej; zawsze jednak pisywać
do mnie będziesz na Sestos, Abydos do Pergamu.“

Jak już wspomniałem, od czasu śmierci żony
często między te iskry dowcipu i humoru, jakimi
tryskały jego listy, mieszał się jęk głębokiego smu-
ku, tęsknoty niczym nieutulonej. Nie zламаło
go nieszczęście, ale w pasmo życia dotąd srebrazą-
ce się jasnymi niemi, wplotła się czarna wstęga
żałoby, która co chwila występowała na wierzch.
W takim nastroju niniejszy list pisany z obozu
pod Warszawą w 1828 r. do Jędrzeja Koźmiana:

....„Od czasu, jak nie pisałem do ciebie,
byłbym mógł przy dobrym wietrze zapłynąć do
„Ameryki lub z pięć tysięcy Turków zabić. Chcesz
wiedzieć przyczynę mego milczenia?

Złe, co największe zniwecza umysły,

Złe, panujące nad brzegami Wisły,

Złe, które w zimnym żarcie utworzyły nieba,

Lenistwo — gdy koniecznie wymienić je trzeba—

Zdolne przez swoją miękkość niebezpieczną

Ostudzić przyjaźń półwieczną,

Taką mi niemoc w wszystkie członki wlało,

Że jakby się Jaksoskiego Gorsetu *) słuchało,

*) Odnosi się to do arcynudnego poematu Jaksy
Marcinkowskiego; Gorset.

Ciąglem tylko ziewała, wzdychała,

I nudę nudą popychała.

Nic dla mnie żadnej już nie miało ceny:

O nic nie dbała dusza zmordowana;

Niechciałem nawet gasnącej już weny

Orzeźwić rymem Koźmiana.

Tak ciemny poczet nudnych dni się skupiał,

Schłó serce, stygły myśli i — Morawski głupiał...

„Podobnaż było w takim stanie pisać do ciebie?

„Dodaj do tego te niesłychane gorąca, mustry,

„kurze, bębny, tyle smutnych wspomnień, tyle

„groźących nieszczęść, i bądź kontent, że to mil-

„czenie nie stało się grobowym. Ależ i ty przesze-

„dłeś przez nieszczęścia, zawiodły cię twoje mło-

„de nadzieje, zniknął owoc tylu trudów! Długie

„lata trzeba pracować na nowo, by znowu może

„kiedyś równiej uledez stracie. Ze łzami patrzeć

„musiałeś na zniszczone pola twoich chłopków i

„na grożącą im przyszłość, którą tak trudno te-

„raz odwrócić. *Impavidum feriant ruinae* powie-

„dział Horacy, lecz ta nauka nie może się sto-

„sować do wszystkich zdarzeń, do wszystkich dni

„ludzkich. Każda rzecz się w naturze praw swo-

„ich domaga, a więc i smutek i boleść, zwłaszcza

„w stratach serca, jakich ja doznałem. Zresztą

„łatwiej jest na jedną wielką zdobyć się ofiarę,

„na śmierć nawet, niż codziennie, przez całe życie wypijać tę część trucizny, którą nam los podaje.

Nie jeden wprawdzie wielki mąż nas zdumiał
Mężnóm wytrwaniem, albo świetnym zgonem,
Lecz kto wie, czyli samby Kato umiał
W każdéj chwili być Katonem?

„Ale że niebo do smutków dodaje czasem pociechy, miałem i ja nie małą.

„Wystaw sobie, pocziwi żołnierze mojej dawniej brygady, widząc, że moje dzieci wyjechać nie mogły w okropnych piaskach okolic Kozienic, sami, z własnego popędu popychali przez milę karetę, mówiąc: „to dzieci naszego Morawskiego!“ Tyle z tego dumny jestem, ile Byron, gdy się dowiedział, że w czasie zamieszek w Szkocyi okrażono jego grunta, aby je przechodem nie zniszczyć.“

Ostatni ten szczegół, który go tak rozrzućnił i uszczęśliwił, był tylko prostém następstwem ludzkiego obchodzenia się z żołnierzem, sprawiedliwego postępowania z nim — co nie zawsze było udziałem naszych zwierzchników wojskowych, którzy dla przypodobania się W. Księciu, naśladowali jego srogość i brutalstwa. Naj-

jaśniej wypowiedział Morawski swój stosunek do żołnierza w jednym liście do Koźmiana, z powodu uzaleń się niektórych obywateli lubelskich na ciężary kwaterunkowe: „*J'ai aussi des devoirs envers le soldat*; kiedy mu się każe umierać „w bitwie, to przynajmniej w pokoju trzeba by „mu być ojcem.“

Jenerał z takimi zasadami mógł śmiało liczyć na miłość żołnierzy. W całej téż armii uważano go za człowieka, przez którego usta gdy przeszedł rozkaz lub wyrok najsurowszy, tracił swą dzikość lub szorstkość.

Prócz powyżéj rzuconego szkicu towarzysztwa radomskiego, widać, że nie znalazł dość godnych oryginałów, żeby się dla nich łatwy dowcip jego fatygował. Z jednym się tylko spotkał, w którego oczach niniejszy list pisał do J. Koźmiana:

„Chciałem ci napisać list długi — kiedy otworzy się do mnie jeden tutejszy jegomość, co ciągle książki odemnie pożycza. Nudnaż to figura „wszystko co złapie bez pardonu czyta. Gdybyś „mu głowę otworzył, ujrzałbyś:

Śmieszny zbiór wszystkich nauk w jednym mózgu zbity: Homery, kalendarze, kantyczki, Tacyty.



„Ta jego zaciekość do czytania wszystkiego bez
braku i ładu, jest tak zupełnie, jak ta nie je-
dnego z naszych paniczów zaciekość do podró-
żowania;

Co nowych miast stołecznych niezmiernie ciekawy,
Przelata wszystkie bruki Berlina, Warszawy,
Londynu i Paryża porachuje wieże,
Rozsiewa miliony, zdumiewa obojętne,
I na to w swój latance cały czas utracą
Że dość głupi wyjechał, a głupszy powraca.

„Muszę przerwać list i zasłonić, bo przez
„manię czytania i do niego już tu zagląda. Mo-
„żeby i dobrze zrobił, gdyby tego nie bronił.
„Jakżeżby się skrzywił! możeby się choć w czę-
„ści poprawił, bo z całego błędu niepodobna....
„Odszedł wreszcie, Bogu dzięki!

„Babsko stare, mające 68 lat, do których
„ani jednej minuty nie brakuje, kazało mnie so-
„bie malować. Tém się przynajmniej pocieszam,
„że będąc sąsiadką mego brata, dla niego zape-
„wne ten dar gotuje. Portret ten jest u malarza
„Gładysza na Bielańskiej ulicy; możesz go zoba-
„czyć. Świdziński mówi, że bardzo podobny. Mia-
„łeś i ty kiedyś odmalować dla mnie swego oj-
„ca; lecz nie każ-że go wystawiać szumnie lub
„nadto poetycznie; niechże nie wygląda:

Zbrojny rządową potęgą,
Z lśniącą gwiazdą, sutą wstęgą,
Lub też z orszakiem Parnaskim.
Cnota w sercu, laur na skroni,
Prawda w uśmiechu, Flakkus w dłoni,
Między synem a Morawskim,
Tak niech będzie! A świat cały
Krzyknie: Koźmian dosknały!“

Pod koniec 1828 r. Morawski z Radomia prze-
niósł się do Lublina ze swoją brygardą. Tu zno-
wu znalazł się w kole dawno znajomych osób,
a co najlepsza, bliżej ulubionych Piotrowic.

Oto jeden z listów, w którym natrąca o nie-
których rzeczach publicznych i o miejscowych
stosunkach:

.....,Nowin z Warszawy nie mam, prócz, że
„Mycielski, Ogiński i Piegłowski wypuszczeni.
„Zamojski oburzył wszystkich na siebie, że przy-
„jął spoczynek kilkodniowy wtenczas, gdy każda
„chwila rodaków siedzących w więzieniu powin-
„na mu ciążyć na sercu, zwłaszcza, że mogą być
„niewinni.... Cóż powiesz na to, co się dzieje w
„Lublinie! Kabak *) marszałkiem sejmiku, Kabak

*) Tym Kabakiem czyli akeyzą nazwany jest pan
G.... doznający od mieszkańców Lublina takiej
nienawiści, jak Newachowicz w stolicy.

„radzcą wojewódzkim! Obiad jeden to sprawił, że ten na którego przed chwilą ciskano prawie błotem dziś jest urzędnikiem i stanął na czele obywatelstwa. Upewniamą mnie że Owidzki*) podał go na radcę wojewódzkiego. Tego tylko niedostawało, aby człowiek uczciwy zbłądził się przy końcu dni swoich. Co za zgroza! Wierz mi że mię teraz śmierć cnotliwych i wzorowych ludzi cieszy, bo lękam się aby nie umieli dotrwać do zgonu w szlachetności i cnocie, i aby nie zbrudzili jednym czynem tyle dni bez plamy przeżytych, co jest gorszym dla towarzystwa, niż strata osoby, bo wiara w szczerość cnoty słabieje. Wolę więc, że umrą póki cnotliwi, bo przynajmniej czysty wzór zostaje.

„Prosił mię Kabak na obiad ogromny; odmówiłem, wzgardziłem.

„Wyobraź sobie, że głupi Kabak śmiał mi przysłać w podarunku 10 butelek wódki. Kazałem odpowiedzieć, że zapewne przez omyłkę mu

*) Owidzki był mianowany za Nestora całego Województwa. Nazywano go także Cyceronem, albowiem wszelkie zebrania się publicznie zwykle zagajał mową pięknie brzmiącą.

„powiedziano, że żyd na moje miejsce stanął, kwaterą. Byli tacy co przyjęli: gadałem krzyżakom — a oni pili i śmiali się.“

Stare nasze przysłowie: czapkę papką i solą, ludzie ludzi niewolą — nie poszło w las; zamiast soli była wódka wzgardzonego niedawno Kabaka. Podobne niekonsekwencje opinii publicznej srodze raniły serce generała.

W początkach 1829 roku Jędrzej Koźmian, ulubieniec jego, wybierał się w podróż zagraniczną do Niemiec, Paryża, Londynu. Czułe było rozstanie się; odjazdowi młodzieńca towarzyszyły jego rozumne przestrogi co ma robić, z czego korzystać, co widzieć w stolicy świata. Odtąd listy generała biegały często szukać go za granicą. Pełno w nich wybornych rad i postrzeżeń, które podsuwał młodzieńcowi, aby się nimi kierował.

„Co to za dowód przyjaźni pisać do mnie z Weymaru, z Aten germańskich, u podwoi księżąt i prawie z przed oblicza Goethego!... Żałuję że oddając wizytę Goethemu nie prosiłeś go, aby w czémkolwiek dotknął się naszych dziejów, choćby najmniejszą pracą. Trzeba się nam wszelkimi sposobami wydzierać z przepaści.“

„Krzywię się trochę na Waszmości żeś Wiel-

„kopolskę nazwał ziemczą. Sądzić z zewnątrz, trznych oznak, jest wyrokować z pozoru. Między Saarbrück i Moguncją tak złane są zwyczaje, ubiory i języki dwóch narodów, że trudno stanowiąć czy kraj ten do Francji, czy do Niemiec należy. Tak zawsze bywa, gdy wielkie natury granice nie odcinają nagle ludu od ludu; przecież Wielkopolska nie tyle, co kraj wspomniany, obcą barwą okryta. Trudno, aby pograniczne dwóch państw prowincje, nie miały coś wzajemnego, któż we wszystkich czasach więcej niż Wielkopolska dał dowodów patriotyzmu; a może ten, największy, że przez tyle wieków tak mało się spokrewniła z sąsiadami, i tylko zewnętrznymi oznakami zbliżyła się do nich. Krzywdzisz, gdzieby pocieszać należało.“

Była to ostra wymówka, powtórzona w innym liście do ojca, któremu się żalił na syna za ten wybryk przeciw Wielkopolsce, którą Dąbrowski, ukochany wódz jego, tak bardzo dla jej patriotyzmu miłował.

Znając dobrze Paryż, gdzie był za czasów Napoleona, powiada co ma zwiedzić:

„Zobacz Cedry Libanu zasadzone przez Jusieu, Inwalidy, Panteon, les petits Augustins, dzie-

„ła celniejszych malarzy, Charenton, cmentarz du Père la Chaise, St. Denis, Ermenonville i wszystkie głupstwa bulwarów. Niech cię Bóg broui wracać bez widzenia Londynu. Nigdybym ci tego nie przebaczył. Bądź w bibliotece królewskiej. Są tam rękopisy dotyczące się naszych dziejów, zwłaszcza z wojen szwedzkich. Zobacz i ryciny polskie. Samego Lwa Sapiehy widziałem tam, najmniej 9 rozmaitych wyobrażeń. — Podaj też tam artykuł o rzetelnym stanie w obecnym czasie naszej literatury. Popracuj nad tem; bądź sprawiedliwym w wyrokach, któż lepiej nad ciebie to uczyni i kiedyż lepsza będzie do tego pora? Czas wystawić tę literaturę światu uczonemu; dotąd znał ją tylko z nieznaczących artykułów. Mów o zapale do zbiorów starożytnych; o ogólném dążeniu młodzi ku doskonałemu; i ile zdołasz, zgadzaj upiększenie rzeczy z jej istotą.“

Z tych ustępów można poznać jak światłym, jak dbałym o sławę ojczystą, był on przewodnikiem młodemu przyjacielowi w ojczyźnie.

Gdy nakoniec z zagranicznej wycieczki powrócił Jędrus i cieszył się z rodzicami, generał pisał do ojca do Warszawy:

„Ucałuj Jędrusia ode mnie, uściskaj, ukochaj i psuj jak dawniej. Niechże mi tylko po francuzku wciąż nie trzepie. Niech wróciwszy do Polski, dowiedzie, że śmieszność naszego małpiarstwa najbardziej mu się zagranicą czuć dała. Niech gada wszystkim babom, że Polkom to nie-
 „szczęśliwe zacieranie języka narodowego, wszystkie narody wymawiają. Może Jędrus wiele dobrego zrobić, jeżeli tylko zechce, bo wracający z zagranicy kasztelanie wiele znaczy, i dużo będzie wziętym. Niech na złość babom naszym po polsku gada.“

Wielu dzisiejszym pisarzom robiącym wycieczki przeciw zagęszczonój francuzczyźnie, zdaje się nieraz że oni pierwsi odkryli tę wadę w organizmie naszych głów, tymczasem w każdym niemal peryodzie naszych politycznych przemian, zawsze się znalazł obserwator, który ją palcem wytykał, i często ze skutkiem, bo bez jadu nienawiści. To Morawskiego wystąpienie, choć nie publiczne, mogło atoli lepszy zrobić skutek, niż żeby był po gazetach ciskał papierowe pioruny. Młodzieniec z wyższm ukształceniem wracający z Paryża i mówiący tylko po polsku, dawał tém

samém inicjatywę modzie, jednemu kodeksowi, któremu ulega pleć piękna.

Rok 1829 pamiętny koronacją cesarza Mikołaja w Warszawie, znalazł w listach generała krótkie ale znaczące wspomnienie:

„Przyszedł uniwersał zwołujący wszystkich posłów i senatorów na koronację na 14 maja. Pięć dni przedtém, mają już być w stolicy. Po-
 „wiada w uniwersale, że przysięgi składać nie będzie, bo już tego dopełnił. Co powiesz na to?

„Cokolwiekbaż zawsze dobrą jest ta koronacja dla nas. Trzeba było być świadkiem tego, co się działo, kiedy już ani cienia istności i żadnej nadziei nie było, aby ocenić to, co jest
 „przecie jakimś znaczeniem polityczném. *C'est toujours ma chanson*, bo głęboko czuję wartość tej prawdy.“

Wyznanie to pokazuje, jaką była myśl polityczna generała. W kreacyi królestwa kongresowego widział on zapowiednię przyszłości, nadzieję połączenia rozrywanych części, a co najmniej, wpływ skoncentrowanych żywiołów polskich na inne prowincje poddane wpływom przeciwnym. To stanowisko miał za zbyt kosztowne, aby je

niebacznie stawiać na kartę, lub je lekceważyć. Tak myślała poważna i urzędowa część narodu, z tą jednak różnicą, że wiele wyższych figur nie umiało się w godności swojej utrzymać. Płaszczenia się, podłości, intrygi, zachcianki absolutne, małpowane od Moskali, wszystko to burzyło młode pokolenie przeciw tym seidem, usłużnym narzędziom rosyjanizmu. Za ich winy przypłaciła partya rozumnych i uczciwych konserwatystów, nie dość silna i śmiała, żeby pierwszych odepchnąć, a drugich powstrzymać.

Wypadki r. 1830, rewolucya lipcowa we Francyi, rewolucya w Belgii, musiały silnie działać na umysł jenerała pilnie obserwujący horyzonty polityki europejskiej — atoli listy jego, z tego okresu, nie zawierają żadnych wzmianek; co sobie łatwo wytłómaczyć ostrożnością, jaka nawet w prywatnych korespondencyach zachowywaną być musiała.... Jednakże tu i owdzie znajdują się wzmianki, pozwalające się domyślać, że działania tajne nie były mu obcemi.

Rewolucya była w powietrzu: nie mógł jej nie przewidywać, choć może przypuszczał, że się na jakim drobnym wybuchu, pociągającym za sobą liczne uwiecznienia, zakończy.

VIII.

Wybuch rewolucyjny, pożądany i przewidywany przez jednych, odpychany przez drugich, jako źródło niewyczerpanych nieszczęść, mogących zniszczyć kwiat młodzieży, a kraj odrębnego bytu pozbawić — spełnił się jednej listopadowej nocy.

Długo tłumiony odwet za piętnastoletnie upokorzenia i krzywdy, dał się poznać w napadzie na Belweder. Wypłoszony z groźnego gniazda brat carski ustąpił z garnizonom rosyjskim i nie śmiał nawet próbować owdzięcia stolicy, niepewnej jeszcze czy wojsko polskie stanie po stronie rewolucyi.... Nieliczne bowiem oddziały wciągnięte do spisku, nie dawały dostatecznej rękojmi, że wytrzymają atak rosyjskiego garnizonu i części polskiej gwardyi pozostającej przy boku w. księcia. Atoli bądź wrodzony brak odwagi, bądź wewnętrzny niepokój obciążonego krzywdami sumienia, bądź złośliwa myśl oddania całego królestwa na pastwę caryzmu — spowodowały odwrót — i w. książę oddał kraj w ręce rewolucyi.

Wieść o tym wybuchu stolicy, piorunem przeleciała po kraju.

Każda piers odetchnęła swobodniej, choć niejedna głowa zakłopotana się pytaniem: jakież koniec nas czeka?

Po wojewódzkich miastach stojące załogi z generałami, półkownikami swymi, bez wahania się stanęły po stronie powstania, które przez to natychmiastowe połączenie się, przybrało wyraz powstania całego narodu.

Dzieło młodzieńczego zapału przeszło w ręce umiarkowanych, a ci nie wierząc w podobieństwo mierzenia się z olbrzymem, chcieli poprzestać na uratowaniu swobód konstytucyjnych i w imieniu króla polskiego, wojować z carem.

Detronizacja Mikołaja zadała cios tej pośredniej drodze, ale nie naprawiła tego, co było w kilku tygodniach zmarnowaniem: ostudzony pierwszy zapał, nie tworzył już cudów.

Generał Morawski, jak tylu innych wyższych wojskowych, stanął tam gdzie byli wszyscy, gdzie był naród. Wiadomość o powstaniu zastała go w Lublinie z kąd zaraz do Warszawy pospieszył.

Gdy już rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie, naczelny wódz armii książę Michał Radzi-

wił mianował go generałem dyżurnym, i w takim charakterze miał udział w bitwie pod Grochowem.

Ze zmianą wodza, gdy tę najwyższą godność powierzono generałowi Skrzyneckiemu, tenże przedstawił go rządowi narodowemu na ministra wojny. Odtąd urząd ten z całą gorliwością i sumiennością sprawował do samego końca; i nie przypominam sobie żeby opinia, szczególnie w wojsku, ozwała się kiedykolwiek z jakim przeciw niemu zarzutem. Nie mam na to szczegółów pod ręką, ale na pewne mógłbym twierdzić, że w czynnościach jego wydziału musiał być porządek, pilność i ta praktyczna trafność, która obiera najprostszą drogę, żeby głównego celu próżnemi formalnościami nie gmatwać i nie opóźniać. Jeżeli kiedy, to w tak ważnych momentach, funkcyja jego musiała w najściślejszej harmonii zostawać z nim samym, i być tak prawą i sumienną, jak on był sumiennym i prawym.

Z upadkiem powstania, generał Morawski należąc do liczby tych, co nie wierzyli w kombinacyę francuskiej interwencji, i w urojone pomoce ludów — pozostał w Warszawie, zdając się na los, jaki mu nieprzyjacieli wymierzy.

Niedługo ciążyła mu niepewność. Wzięto go i wywieziono w głąb Rosyi.

W Moskwie gdzie się dłużej musiał zatrzymać, doszła go wiadomość, że się o niego dowiadywał generał Wincenty Krasiński, jak wiadomo niebiorący żadnego udziału w powstaniu. Umyślił więc z téj okoliczności skorzystać i tak list doń napisał:

„Ponieważ generał raczył w Petersburgu do-
 „wiadawać się o moim losie, spieszę więc mu
 „donieść, że wiozą mię do Wołogdy, 450 wiorst
 „ku północy za Moskwą. Racz generał uwiadomić
 „o moim pobycie Koźmiana i dzieci moje bawiące
 „na Wołyniu, o których żadnej nie mam wiado-
 „mości przez rok cały czy żyją nawet. Gdy-
 „bym mógł przez generała mieć o nich jaką wi-
 „domość, wdzięczen byłbym niezmiernie. Parę słów
 „od generała będą dla mnie nie małą pociechą; nie
 „wiemy losu naszego.... Przepraszam za nudy
 „czytania tego listu....

W Moskwie 17go listopada 1831 r.“

Z tych kilku słów widać jak dalece przykro było wygnańcowi uciekać się o małą przysługę, dostania wiadomości od dzieci, do osoby stojącej w przeciwnym obozie. Serce ojcowskie przewy-

ciężyło wstręt, i z całą godnością odwołało się do dawnego towarzysza bojów, do świetnego w swoim czasie reprezentanta chwały narodowej.

Pośrednictwo to przyniosło pożądany skutek. Generał Krasiński starał się niejednokrotnie, polityczne swoje odstępstwo, zatrzeć prywatnemi usługami na korzyść prześladowanych współbraci.

Jakoż niedługo po przybyciu do Wołogdy, gdzie Morawski zastał innych towarzyszków wygnania, jak generała Rohlanda, Mrozińskiego, Czyżewskiego — uwiadomione przez Krasińskiego o pobycie ojca, dzieci, i Koźmian o pobycie przyjaciela, nie omieszkali pisywać doń, co niemałą było w nieszczęściu osłoda.

Mam przed sobą kilkanaście listów pisanych od naszego wygnańca z Wołogdy, do ojca i syna Koźmianów. W korespondencji téj maluje się stan jego duszy, smutki i skąpe pociechy jakich przez dwa lata doświadczał.

„Jakżem szczęśliwy, że list mój was doszedł,
 „że wasz do mnie dopłynął, mówię dopłynął, bo
 „ta dalekość, rozległość, oceanem dla mnie. Je-
 „steście więc zdrowi i spokojni. Bogu dzięki! I ja
 „byłbym takim, gdyby jaka nadzieja, choćby naj-
 „biedniejsza zabłysnąć chciała, że was wkrótce

„obaczę, was, brata i dzieci; bo tam cały mój świat, cała obecność i przyszłość. Miałem wczoraj dzień pogodniejszy. Dzieci mi przysłały swoje miniatury. Tadzio bardzo podobny; Marynia daleko mniej. Przytém list wasz przybył. Tyleż szczęścia zarazem, miałożby być wróżbą jakiej wielkiej radości, radości powrotu? Do natury nieszczęścia to należy, że we wszystkim wróżbę widzi tak dobrego, jak złego; jedno nie je ożywia nadzieją; jedno nie wtrąca w otchłań czarnych marzeń. Największą męczarnią jest niepewność.... Używacie więc już wiosny; u nas jeszcze śniegi i lody*), ale za miesiąc znikną może. Pomimo wszystkich uwag, rozumowań, nalegań, próśb i grózb Jędrusia, nic nie piszę. Duszna nadto wezbrana boleścią, nadto przepełniona tęsknotą i żalem, aby je rymem stroiła. Więc może jest teraz poezji w duszy niż kiedykolwiek, ale nie teraz zdolna powiadać co czuje teraz. Minione szczęście lub nieszczęście, najładniej się maluje jak wiosna w zimie; przynajmniej taką jest moja natura. Obecność ssie, zbiera, gromadzi jedynie; w przeszłość zamieniona nabiera

*) List ten pisany 16go kwietnia 1862 r.

„wdzięku wspomnienia, barwy poetycznej. Ależ za to czytam jak najęty... Żyjemy tu cicho, skromnie, zgodnie, razem się stołujem. Ale żadnego poznania się z nikim, żadnego zdarzenia, wiadomości; czas więc nieruchomy i długi, szeroki jak wieczność.“

Tu zaklina aby mu donosić jak najdrobniejsze szczegóły; przysyłać wiadomości literackie i poezye Koźmiana. Kończy zaś zdrowemi radami dla Jędrzeja, które możnaby nazwać programem zachowania się dla całej młodzieży, co w kraju została.

„Kochany Jędrusiu! młody jesteś, możesz sobie nowy świat, całą przyszłość stworzyć. Oddaj się agronomii wyższej, chłopkom twoim, poświęcaj się sąsiadom, bliźnim, krewnym; wybierz kilku przyjaciół, otaczaj uszanowaniem i szczeniściem rodziców; wolniejsze chwile przeznacz literaturze, słowem, żyj dla drugich, a jeszcze zostaje ci pole do działania i bogate i wielkie. Starość posilać będziesz wspomnieniami cnotliwych usiłowań i śmierć będziesz miał spokojną, swobodną, z uśmiechem na ustach, jak mówią Skandynawi. Nie opuszczaj się; silnie chciej, silnie postanów sobie, a w rok lub dwa znajdziesz to szczęście, którego ziemia nie odmawia, a nie-

„ba pozwalają; nie to szczęście, w które wierzyć,
„za którym się ubiegać jest nietylko marzeniem,
„ale i źródłem ogólnego nieszczęścia. Pamiętasz
„co pisze Lamartine: *Le malheur des humains est*
„*de croire au bonheur.*“

W moralnym udoskonaleniu się społeczeństwa i organicznej narodowej pracy widział on więcej rękami bytu, niż w politycznych gonitwach. Czy w tym się mylił? nie sądzę; dotąd bowiem bieg zdarzeń nie zadał mu kłamstwa.

Oprócz wielu strat materyalnych jakich doznał z powodu swego wywiezienia, była także strata dla literatury; teka z pracami jego gdzieś w tej zawierusze przepadła, jak to widać z listownej wzmianki:

„Żał mi bardzo, że moich rękopisów mieć nie możesz. Gdybym przynajmniej wiedział co się z nimi stało, i gdzie są; boć zawsze szkoda tego co się nabazgrało przez lat kilkanaście, zwłaszcza że niektóre wiersze zyskały waszą pochwałę. Jeżeli dowiesz się o nich, donieś mi.“

W zbiorze tym miał być większych rozmiarów ukończony poemat pod napisem Yella, który przepadł bez słychu.

Trapiące myśli o klęskach ojczyzny, niepokój

o dzieci i o własną przyszłość, nie mogły w jego duszy zrodzić tych błogich natchnień poezyi, któreby potrafiły umilić nawet przykrzejsze jeszcze położenie. Nieszczęścia publiczne robiły zawsze na nim takie wrażenie, że pióro z rąk wypadało.... Nie mógł więc mieć téj pociechy, jakaby znalazł każdy chłodniejszy duch, umiejący się odgrodzić od wrażeń, tłumaczyć je sobie, ale nie przyjmować do serca. Tego on nie umiał, i nie mógł. Widząc wszystko w rozbiciu, co dotąd tworzyło idealną całość, sam czuł się jak rozbitym, w proch startym; a na takim tle i w takim usposobieniu, duch zaniepokojony nie snuje nic z siebie, i jeżeli do czego może być zdolnym, to chyba do umysłowego mechanizmu. Piękne niebo, malownicza okolica, sympatyczny świat towarzyski, ruch i życie — to wszystko mogłoby potracić choć jedną strunę poezyi — ale na północy Rosyi, w sąsiedztwie Sybiru, w Wołogdzie, mógłże znaleźć tę podnieť?...

Posłuchajmy jak opisuje nowy Owidyusz, to swoje wygnanie:

„Z wczorajszym dniem ustała tu całotygodniowa wrzawa. Wyobraź sobie, że od chwili rezurekcyi aż do przewodniej niedzieli, wszystko

„co żyje idzie do dzwonnicy i dzwoni. Dzieje się
 „to bez przestanku, i w mieście gdzie jest czter-
 „dzieści cerkwi. Słyszeć, mówić nie można na
 „ulicy.... O ile gubernia jarosławska jest piękna,
 „o tyle ta, w której się znajduję, jest skąpo
 „uposażoną, i w ludność i położenia milsze. Do-
 „tąd nie widziałem tu innych drzew oprócz brzo-
 „z. Z nich tworzą ogrody i tak je obstrzygają, jak
 „u nas niegdyś szpalery. Oprócz kruków i wron
 „innych ptaków nie widziałem. Choć na wiosnę,
 „jak mówią, mają tu bywać żórawie i dzikie gęsi.
 „Wróble są rarytasy w klatkach trzymane. Kru-
 „ków, kawek i wron tyle tu bywa w zimie, iż
 „czasem gałęzi w całym ogrodzie nie widać, tak
 „wszystkie drzewa obciążone są niemi. Na wie-
 „czór do rzeki po wiele tysięcy razem przybywa,
 „siada na śniegu i szuka u brzegu wody. Handel,
 „przemysł, do wysokiego stopnia tu dochodzi.
 „Miasta, wsie, wszystko zatrudnione przemysłem
 „różnego gatunku. Niema chłopca, któryby prze-
 „stawał na dochodach z roli. Każdy pracuje dla
 „miasta, lub ciśnie się do niego po zarobek. Je-
 „dni z zarobku uzyskanego w zimie płacą poda-
 „tek skarbowi i panu; inni kupują dla siebie
 „i dzieci wolność. Co także przyczynia się do

„przemysłu, to jest że panowie każą wielu z swo-
 „ich chłopów uczyć rzemiosła, a to dla tego, że
 „sprzedając biegłego rzemieślnika, więcej zań
 „otrzymują.“

„Lubo handlarstwo i przemysłowość rosyjskiego
 ludu, lody i zawieruchy nie miały czém obudzić
 poetycznego zapału, jednakowoż opisuje raz je-
 dną chwilę w ciągu swego wygnańczego żywota.
 którąby można nazwać kwiatkiem z pod śniegu.

„..... Położyłem się wczoraj o godzinie 11ej
 „wieczorem. Księżyc świecił błado i smutnie.
 „Kilkadziesiąt sani chłopskich wracało z miasta
 „na wieś przez moją ulicę. Zaczęto śpiewać na
 „tych saniach smętne dumki; to jest jedną tylko
 „wszyscy śpiewali, każde sanie swoją strofę i tak
 „czasem ostatnie sanie odpowiadały pierwszym
 „sankom. Nieuwierzysz jak to było melancholi-
 „czne, smętne, uroczne, jak przypominające gondole
 „Wenecyi. Wrażenie to było tém silniejsze, że
 „odpowiadało i smętności nocy i stanowi obecne-
 „mu duszy. Otworzyłem okno mimo mrozu i ści-
 „gałem te głosy niknące w dali i w zawiejach
 „burzy. Lud tutejszy bardzo jest śpiewający.
 „Przedmiotem wszystkich prawie pieśni jest mi-
 „łość, melodyą smętność. Żal mi że rozumieć nie

„mogę. Chciałem użyć tego czasu na rozpoznanie się w literaturze krajowej, ale mimo wszelkich usilności, nie znalazłem nikogo coby mógł i chciał uczyć mnie po rosyjsku.“

Czytaniem dzieł rozmaitych, najwięcej francuskich, czas sobie skracał, ale o tém czytaniu powiada, że mu nie szło na korzyść; głowa znękana myślami nie przyjmowała tego pokarmu, wreszcie i książek się przebrało.

„Niemając co do czytania, pisze on, coraz się bardziej zagłębiał w nauce Astronomii. Bez globusa, narzędzi, pomocy nauczyciela, sam się biedzę. Imaginacya będąc w samotności najsroższym darem, staram się ją zabijać twardemi naukami, suchością rachunku. Lekkich płodów czytanie nie przemoże czarnych marzeń i tych długich myśli które tak dręczą okropnie, siły trzeba aby siłę wykorzenić i złamać, ztąd też do głębszej wzięłem się nauki. Skończyłem tak, że Geologię. Znalazłem gramatykę angielską i téj się też uczę. Mam nadzieję dostania starożytnéj historii Goldsmitha, która jest bardzo cenioną. Na zimę sprowadzę sobie botanikę, chemię i książki agronomiczne. Ale co mówię o zimie bliskiej, kiedy już nadeszła. Przed kilku

„dniami *) mieliśmy tu już i śnieg i lody. Nigdzie wyjść nie można było dla zimna; wszyscy krzyczymy tu na reumatyzmy, których trudno uniknąć; ten się na oczy, ten na nogę, ten na rękę skarży, a wszyscy na serce....“

Można sobie wyobrazić jaką rozkoszą napałała go każda wiadomość o kraju:

„Z biciem serca odbieram wasze pisma. „Ledwie list otworzę, już was czuję przy mojem sercu i całe widzę Piotrowice, każdy kątek, tych co są tam i co niegdyś byli, a teraz w grobie spoczywają. Po rodzinnej wiosce Piotrowice najsilniej do mojej duszy przemawiają.

„Każde tam echo musi głos mój pamiętać. „Wystawiam sobie, że nieraz mówicie: przy tém drzewie mówiliśmy z nim o jego żonie; tam w owej alei szarpał się o Szyllera; tam z matką waszą „nielitościwie rąbał drzewa dla odkrycia stawu; „a tu przy kominku kłócił się z kapitanem o sławę Alwinzego! Jednych groby porwały, drugich „dalekość schłoniła, wszystko rozprószone. *Deus afflavit et dissipati sunt.*“

Piszącemu zdawało się jednak, że listy jego

*) List ten z daty 24go września 1832 r.

muszą być suche i ciche kiedy z takiego miejsca pisane, gdzie nikogo nie znał, nic nie widział, gdzie nic się nie działo, co by interesować mogło. „Nie obwiniaj o tę suchość serca mojego; wiecie co czuję dla was, i łatwo pojmiecie jego cierpienia, choć wam o nich nie mówi.... Trochę nawet boleści zrzucić z serca, już jest szczęściem w moim położeniu..... Tym razem jednak nie mogę wam przesłać na dziei, i Bóg wie czy kiedy jaka będzie. Może tu przyjdzie kości złożyć! i nigdy już was nie widzieć, nie widzieć dzieci!.....“

Niejaką rozrywkę w jego smutkach przyniosła mu ballada którą Kajetan Koźmian napisał na niektóre figury grające niepoczesną rolę w ciągu rewolucyi. Występowała tam cała Honoratka z przeklętej pamięci sprawcami nocy 15go sierpnia. Wygnaniec Wołogdy tak się rozpisuje nad tym utworem:

„Odebrałem twój list z tą srogą, piękną, świetną, czarną balladą ojcowską, która do wszystkich uczuć budzi, łez, śmiechu, litości, indygnacji, rozpacz i wzdargy. Co za cudowna myśl wsadzenia Grz..... tego potworu na rumaka „X. P. Obraz K.* z bocianią szyją, doskonały..... Trzebaby cały list zapelnąć cytacyami na po-

„chwałę godną téj ballady. Chaos brudu Honoratki, i ten Bóg morskich bałwanów, co budzi i cięży burze, żyją pod pendzlem poety. Ale sądzę, że poema nieskończone; trzebaby jakiś śmieszny koniec wymyślić dla Grz... któryby go podał i wzgardzie i szyderstwu wiecznych czasów.... Takie potworki piętnować trzeba, dla przestrogi następnych pokoleń, które daj Boże, aby nauczyły się poznawać i cenić politycznych warcholów, podług ich rzetelnej wartości!..... Wracając do twego ojca, proszę cię, nie daj mu próżnować; podstaw pod moje*) krzesło jaką machinę parową, aby mu ognia i werwy dodawała. Niech napisze powrót na wieś; do której z Horacym przez tyle lat wzdychał. Széroke pole! i sercu jego przedmiot odpowiadający. Niech czasem jaką wiejską scenę skreśli, jakiś widok, zdarzenie, rozmowę z wieśniakiem, zachód słońca, liście jesienne, dumanie przed kominkiem, i tym podobne; kiedyś będzie to galeria wiejskich obrazków niepotrzebujących związku między sobą, ani długiej pracy. Widzisz że chciałbym go przerobić

*) Morawski ulubiony swój fotel, który został w Lublinie, ofiarował Koźmianowi, żeby w nim wygodnie oddawał się poetycznemu natchnieniu.

„na lakistę*), na człowieka téj nowéj szkoły „poetów angielskich, o którój z tobą nieraz mówiłem. Twój ojciec porwie się za głowę, że „znowu coś nowego się zjawilo, i bojąc się należeć do tego, nie będzie chciał wiać pióra w „rękę; lecz każdy ma swój sposób pisania, każdy „swoje przekonanie, swój własny kolor i charakter, i źle byłoby, gdyby się zmuszał do innego, „który nie jest w jego naturze. Wreszcie, każdy „przez inne przechodził koleje, marzenia, boleści; „na innych kształcił się wzorach, w inném żył „życiu.“

Rzadko jednak w tych listach z wygnania zajmują go przedmioty literackie, ani jeden dowcip nie wrywa się z pod pióra z tą niespodzianością, z jaką ptak zrywa się z pod nóg myśliwca; najwięcej jeżeli potrąci o przeczytaną książkę. Znać że dusza boleścią w nim struta, że umysł przygnieciony niepewnością losu, tęsknotą za dziećmi, za rodzinną ziemią. W odbieranych wiadomościach od Koźmiana zapewne pocieszano go nadzieją rychłego uwolnienia, ale on w nią nie

*) Wordsworth był reprezentantem téj szkoły poetów natury, dla tego zwanych lakistami, że nad jeziorem wiejskie zamieszkiwali ustronia.

wierzy: „Dziękuję ci za tę nadzieję, pisze w jednym z ostatnich listów, którą mi przesyłasz; „dziękuję ci szczerze; choć prawdę mówiąc, i nadzieja już nie chce chwycić się serca, i myśl już „jój widzieć nie umie.“ Same nawet wspomnienia lepszych czasów stają się dla niego męczarnią: „Nie lubię wspomnień, bo i szczęśliwe i nieszczęśliwe smucą, w każdym jest ła. Odbierz człowiekowi nieszczęśliwemu pamięć, a przestanie „być nieszczęśliwym. Tak to nadzieja zwodzi, pamięć smuci, obecność ciśnie, nie wiedząc gdzie „się schronić!“

Tym razem jednak wieść dobrej nadziei przesłana od przyjaciół, była zapowiednią kończącego się wygnania. Niema już listów z Wołogdy, najbliższy nosi datę wsi polskiej.

IX.

W drugiej połowie r. 1833 wrócony został Morawski rodzinie i przyjaciołom.

List pisany do Jędrzeja Koźmiana pod d. 19. sierpnia 1833 r. z Guzowa, w lubelskim, jak widać odmienny tonem od listów wygnança, jak wenny szczęściem powrotu.

„Zastałem tu mego brata z całą rodziną i no-

„wém małżeństwem; w ogóle siedmdziesiąt sześć członków rodziny, a jeszcze dwudziestu trzech brakuje. Bawimy się więc dość dobrze, ale nie tak mile i nie tyle dogodności jak w Piotrowicach, nie tyle wolności, bo jakże uważać trzeba, aby 76ciu osobom dobrydziem powiedzieć każdej, z kądą się witać, żegnać, opowiadać ostatnie zdarzenia i t. d. Ileż to razy nie odkłonię się, z roz-targnienia tyłem siadę do kogo, i tysiąc podobnych uchybień zrobię, a przytém już od 8mej rano trzeba być i na nogach i porządnie ubranym na śniadaniu ogólném. Nie takie więc życie dla mnie. Mam przecież i tu kompensacye: widzenia brata i jego całej rodziny, rozmowa z nimi, i te tysiączne dowody ich przywiązania do mnie, oprócz tego objeżdżam fabryki, których tu jest cztery, i tak blisko będąc Warszawy, więcćj wiedzieć mogę z nowin światowych..... Przebac, że tak krótko piszę, bo piętnaście Moraszcząt siedzi mi na karku, ramionach, ręku, nogach i głowie i wszystko woła „Stryjaszku! do gry Baru!“

Z liczego towarzystwa zatęsknił Morawski do szczuplejszego kółka Piotrowickich przyjaciół. List ze stycznia 1834 r. datowany, już z tamtąd

opisuje Jędrzejowi przebywającemu przy swojej narzeczonej w Galicyi, jak w całej swobodzie lubego lenistwa lulkę pali, czasem ziewa, czasem się téż i podąsa kiedy zanadto trucizny doleją do serca; czasem się téż pokłóci z ojcem Kajetanem, aby się tém czulęj przepraszać. Zdawało się, że teraz powinien był odetchnąć i otrząść się z kłopotów; gdzietam! przeciwności uderzały za przeciwnościami. Jenerał byłęj armii polskiej, pozbawiony miejsca i płacy, musiał myśleć o zapewnieniu sobie egzystencyi, i zostać rolnikiem na kawałku dziedzicznej ziemi, którą miał w W. ks. Poznańskim; co więcćj, sprowadzić dzieci przebywające na Wołyniu przy ojcu swęj nieboszczki matki. Odwykłemu przez tyle lat od zatrudnień gospodarskich, nie uśmiechał się ten mozolny zawód, połączony jeszcze z trudnościami otrzymania emigracyjnego paszportu dla siebie, a szczególnie dla syna, który mógł być mu odebrany z rozkazu cara, aby się wychowywał w jakim petersburgskim zakładzie. Były to chwile przykrego przejścia, pełne obaw i niepokojów, o których często wspomina w listach. Między innemi, dzieci jego od trzech lat niewidziane, puściły się z ciotką w tę, na owe czasy ogromną podróż

z Polesia, w zimowej porze — ale przyjechawszy na komorę do Uściługa, nie puszczono je dla braku jakiegś paszportowej formalności.... Wypadek ten pociągnął za sobą znowu kilkomiesięczną zwłokę.

„Wtenczas, kiedy każdą chwilę chciałbym opłacić złotem, krwią — znowu tak straszliwa zwłoka! Serce wreszcie nie wystarczy na tyle przykrości, zawodów, boleści! czegoż ja już w tém głupiém życiu nie zniósłem? Najdrobniejszego nawet życzenia już nie śmiem rościć. Ledwie po myślę jaką pociechę, już wędnie. Niechże mi, teraz Flaccus przychodzi z swoim *aequam mentem*. Łatwo się tak prawi przy Massyku, pośród róż Tyburu, ale zajrzawszy w rzeczywistość życia, w głębie serc, w źródła tylu boleści, nie tak się do człowieka przemawia. Nie mówi mu się zapewne: becz! ale też nie rzuca się tak srogiego lodu na sam ogień uczucia. Ten człowiek nigdy nie musiał lzy widzieć; kiedy dernął z placu bitwy, gdzie podział *aequam mentem*? Nie cierpię go, czy dla tego że jest bez serca, czy dla tego że mi go przez wszystkie otwory, i pory wtłaczano, i aż do niesmaku nim przesyciono. Zdanie moje przecież nic w téj mierze

„nie znaczy; mówię tylko o mojem uczuciu, nie „szydę z innych, że się w nim rozmiłowali; nie „chcę oziębiać ich rokoszy.“

Zapewne w tém rozdrażnieniu jakiego doświadczał od przeciwności, musiał go Kajetan Koźmian uspakajać i nieraz cytować jaki stoiczny morał z ulubionego sobie rzymskiego poety, co spowodowało ową wycieczkę, prawdę powiedziawszy, dość słuszną.... Pięknie brzmiąca wymuskana saficka strofka, nietęgi to balsam na sercowe rany.

Na wygnaniu kiedy był pozbawiony wolności, ustępował przed niepodobieństwem; lecz teraz wolny, czując się w każdym kroku skrępowanym — niedziw, że się gryzł i szamotał....

Jędrzej K. zgadując ten jego niepokój, ciągle go nakłaniał do pisania.

„Nudzisz mię zawsze tém wołaniem: Pisz! „Chyba nie wiesz co się w mojej duszy dzieje. „Kontent jestem, że przynajmniej rozumieć mogę „co czytam, a ty chcesz żebym tworzył! Do obudzenia poezyi w duszy trzeba zapewne pewnej „dozy nieszczęścia; ale kiedy się téj trucizny codzień więcej dolewa, kiedy się chodzi po cieraniach, śpi na cierniach, kiedy wszystkie wielkie „i cała szarańcza małych przykrości oblegnie czło-

„wieka, kiedy chwili nawet odetchnąć nie dadzą,
 „rójże tam rymy, rokoszuj po polu marzenia! Je-
 „żeli potrafisz — winszuję; ja nie umiem. Pozwo-
 „liłem sobie dzisiaj wziąć Byrona z twojej księ-
 „garni, i czytałem cały ranek Manfreda. Gdybyś
 „tu był, tłumaczylibyśmy go razem, choćby prozą
 „lub białym wierszem, więcejby język poetyczny
 „zyskał na tém, jak na całym Owidyuszu Ki-
 „cińskiego.... Kiedyż się już ożenisz? Potém, co
 „piszesz o swojej narzeczonej aż milój spojrzeć
 „na ziemię i niebo..... Czemuż nie mam lat dwa-
 „dzieścia? poszedłbym za twoim przykładem, te-
 „raz mówię sobie:

„Zacóż gonić za szczęściem po tej łez dolinie,
 Gdy zaledwie schwycone już na zawsze ginie;
 I kiedy nic w tém życiu tak ciężko nie boli
 Jak gdy się znikłe szczęście przypomni w niedoli.
 „Za cóż gonić za szczęściem, które gdy się straci
 Już go żadne późniejsze sercu nie odpłaci;
 Zawsze to, co już grobów pokryło się mrokiem
 Milszym przez mgłę przeszłości nęci nas urokiem.
 „Za cóż gonić za szczęściem, gdy już życie mija;
 Tylko się w serca wiośnie, kwiat szczęścia rozwija;
 Pod słońcem on młodości zakwita jedynie,
 Raz on tylko wystrzela, i na zawsze ginie.“

W tym wewnętrznym rozstroju, w bijących

na niego z różnych stron przykrościami, urodzi-
 ły się te prześliczne trzy strofki — a mimo tego
 w listach swoich ciągle utrzymywał, że nie pisze.
 I prawda; nie pisał długo obmyślanego, na sze-
 roki warsztat nałożonego dzieła — ale od czasu
 do czasu wydobywał się z jego duszy jęk, kwi-
 łące ptasze, w złotych piórkach poezyi.... Innym
 razem, posyła wiersze, jak powiada: „jeszcze cie-
 „płe, przed trzema godzinami w drodze do Lubli-
 „na zrobione“ — był to ów fragment chara-
 kteru*), w którym odmalował siebie i stan swój
 wewnętrzny.

Jest czas, który przywodzą niedole lub lata,
 Gdzie człowiek nie już w siebie nie naciąga z świata,
 Tém żyje, co ma w duszy: już do swego łona
 Nie przyjmie żadnej kropli czara przepełniona.
 Syty ludzi i życia, zamknął dni swych dzieje;
 Sława mu bez uśmiechu, bez wdzięku nadzieje;
 Wszystkie, wszystkie pogrzebał w wielkim serca grobie,
 I żądzę nawet szczęścia już wygasił w sobie.
 Jak ów robak, co w własnej sklepi się osnowie,
 Tak i on nie tę ciągnie, co się życiem zowie....
Nie wyszydza on obcych zdań, uczuć lub marzeń.
 Lecz inną wiarę, czucia, z własnych powziął zdarzeń.

*) Patrz pisma Franc. Morawskiego we Wrocławiu 1841. Tom I.

Pod barwą on innego żeglował okrętu,
 Inną prawdę wyczerpnął z ludzkich działań metu:
 Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
 Taki został, skamieniał, sama śmierć go skruszy.
 Rycerz to jest, co ziemskie już zamknawszy boje
 Bronzowym chwały płaszczem okrył postać swoją;
 Stanął niemy posągiem pośród świata wrzawy.
 Niczym on już przybranej nie zmieni postawy,
 Jeden tylko i jeden zawsze wyraz twarzy,
 Jaką myśl dano czołu, taką stale marzy;
 A gdzie raz zwróconemi wpatrzył się oczyma,
 Tam je ciągle, niezmiennie, wiecznie wryte trzyma.“

„Ale cóż to za dziwak! powiesz. Może być;
 „lecz ten dziwak zrozumiał siebie bardzo dobrze
 „i ciebie kocha czule. Żal mi teraz, że te
 „wiersze tu skreślił, bo dla frankomanów niedość
 „wylizane; a dla tych, co sądzą o literaturze
 „podług czasów ś. p. Augusta trzeciego, będą
 „głupie. Mniejsza o to, może są głupie istotnie.“

To co w wyznaniach jego listowych tu i
 owdzie spotykamy, znalazło się w tém drobném
 ognisku poezji. Nie jest to zatem byroniczne
 drapowanie się w czarny płaszcz mizantropa; nie
 jest to urojona liberya przesyty, i pysznego nie-
 szczęścia, nawdziękowana dobrowolnie przez bajro-
 nizujących młodych marzycieli, ale szczerą spo-

wieźdź duszy, stan jego rzeczywisty. Nie wiem
 okoliczności, lecz mógłbym się domyślać, że był
 jakiś nacisk na niego, żeby z pod chorągwi pod
 którą od lat najmłodszych tak zaszczytnie służył,
 przeszedł do innego obozu. Może były jakieś
 uśmiechające się widoki karyery; może paradoxami
 politycznemi usiłowano zachwiać z mlekiem wys-
 saną wiarę, doświadczeniem nabyte przekonanie?
 Ostatnich pięć wierszy powyższego fragmentu wy-
 raźną ma cechę wyznania, które byłoby tylko
 próżną przechwałką z patryotycznych senty-
 mętów, gdyby nie było odpowiedzią na coś, co
 zaszło.....

Otóż i nadeszła upragniona chwila oglądania
 dzieci! w kwietniu (1834) przyjechały z Wołynia.

„Dzieci są tu od tygodnia. Za trzy dni
 „rozjeżdżamy się. Panna Kamilla (siostra żony)
 „z Marynią na Wołyń, ja z Tadzkiem do Luboni.
 „Nowe życie, obowiązki, zatrudnienia, powołanie,
 „związki, towarzystwo, czekają mię. Trzeba się
 „całkiem przetworzyć. Przykra ta nagła prze-
 „miana w wieku, gdzie już wszystko zastarzało
 „w człowieku; ale cóż począć! Dobra chęć to-
 „rować będzie drogę, a Bóg pomoże.“

Jenerał z synem wyjechał w Poznańskie i osiadł w dziedzicznej Luboni.

X.

Tak więc w pięćdziesiątym pierwszym roku życia wstępował w nowy zawód: został rolnikiem.

Gospodarstwo ziemskie w W. K. Poznańskim nosiło już wtedy odmienny całkiem charakter od sposobu gospodarowania w Galicyi, Królestwie, Litwie, Wołyniu, gdzie w najlepsze utrzymywał się pańszczyzniany stosunek, a z nim tradycyjny tryb uprawy. W Poznańskim rolnictwo wymagało obrotowych kapitałów, wkładów, dużo nauki i praktyki agronomicznej, a nadewszystko ciągłej pilności. Gospodarz nie mógł się spuszczać ani na rosę niebieską, ani na ręce nic nie kosztujące, ani się tém pocieszać: jeden rok chybi, drugi nagrodzi — tylko sam musiał dokładać trudu, nauki i kosztu, żeby nietylko wyżyć, lecz utrzymać się przy majątku;... bankructwo bowiem wywłaszczało odrazu — kiedy w innych częściach Polski, osobliwie w Galicyi, na obdłużonej własności można było, jak z defektem, żyć długie lata....

W takich okolicznościach, nic dziwnego, że nowemu gospodarzowi wieś nie uśmiechała się

sielanką. Opowiada też swoje mozoły, kłopoty i liczne niepowodzenia spotykające go na samym wstępie.

„Gospodaruję od ś. Jana; zmuszam się do „zasmakowania w tém rolnictwie, któreś tak pięknie opiewał, przecież nie mogę doorać się téj „roskoszy, którą lutnia twoja przyrzekała. „Pracuję, bo tak potrzeba i obowiązek względem „dzieci każe. Najstarsi ludzie wyobrażenia takiej „posuchy nie mieli, na jaką teraz patrzymy. Siana „ledwie czwarta część; jarzyny niedojrzały, lecz „uschły; koniczyny, której bywało po 200 fur, „ani jednej w tym roku; wszystko wypalone, „stuletnie drzewa schną; o milę bydło do wody „pędzą i to jeszcze brudnej; słowem, bięda chuda, „żółta, martwe inne żywioły i sam ogień działa....“

W późniejszym liście znowu się skarży: „Pracuję jak wół, a nic nie przybywa. I wam „zapełnione gospodarstwo nie łatwo idzie; lecz gdybyśmy „mieli wasze przestrzenie, gorzelnie, lasy i „pańszczyznę, mnielibyśmy się bardzo bogatymi.

„Muszę orać i orać, i całe życie wstecz „naturalnemu działać. Czuję, że powinnością „być żołnierzem, i byłem nim; czuję, że trzeba prze-

„dzierzgnąć się na kmięcia, i znowu nim jestem;
„lecz żadnego z tych zawodów nie lubiłem.“

Nie lubił, a jednak w każdym z nich wyrósł nad pospolitość, tak wielkie było u niego uczucie obowiązku, tak silną wola w przełamaniu swoich skłonności.... Iść za popędem wrodzonych pociągów mniej zasługi, niż się odznaczyć w tém, co dla nas nie ma uroku; pierwsze jest własnością talentów, drugie charakterów.

W kilku listach kreśli on niektóre wybitniejsze różnice prowincyi Wielkopolskiej:

„Zupełnie tu inny charakter towarzystw wiejskich. Gospodarstwem wszyscy zajęci, rzadko się widują, a widząc się, o gospodarstwie tylko mówią. Czytają, lecz nie wspominają nawet o tém. „Wystawności więcej jak u was, lecz może mniej „czułości, mniej węzłów przyjaźni, mniej pierwotnej prostoty w obcowaniu i we wszystkiém. „Nie ma już i jednego kontusza, nie znajdziesz „go nawet na tandecie. Miasto Poznań nie leży „w środku cywilizowańszej części Księstwa polskiego, z tąd mało uczęszczane. Nie należy „przecież obwiniać téj prowincyi, że tak wyłącznie „zagonowi się oddała; taki bowiem jest tu stan „rzeczy, że bez tych wysiłen wszyscy by zbankru-

„towali. Szkoda tylko, że te nadzwyczajne wysilenia, skutki potrzeby, do nadzwyczajnej téż „kalkulacyi i spekulacyi wszystkich zmuszają, „i z tąd dawna prostota ucieka od pługa okrześanego. Jest jeszcze wiele i zalet i błędów właściwych téj prowincyi, ale nie chcę tu o nich mówić; przecież dodać winieniem, że szlachetność „i wyobrażenie honoru do wysokiego posunięte „stopnia; a więcej może nawet religii niż w innych stronach.

....„Okropnej klęski doznają tu moje uszy, „słuchając polskiego języka tutejszych mieszkańców. Odwykły od 28 lat od tego grubego dźwięku, oswoić się z nim nie mogę. Mówią bardzo „gramatycznie, jak to już Kopeczyński uważał, ale „wymawianie, intonacye, przekształcanie wyrazów i gęste germanizmy są niecznościami dla świeżo przybyłego. Szczególna rzecz, że gdy chłopstwo i między szlachtą starzy ojcowie tak mówią, „młodzież, która na niemieckich kształciła się „uniwersytetach, czysto i dźwięcznie mówi, zapewne dla tego, że przez oddalenie się na lat kilka „od wiossek, odwykła także od téj grubej, rubasznej i najgminniejszej mowy. W tym zupełnie „sposobie Niemcy psują niemieczyznę w okolicach

„Wiednia. W zimie mam zamiar zasiąść do dykcjonarza poznańsko-polskiego. Jakżeby się szla-
„chta gniewała na mnie, gdybym tego dokonał.“

W Tygodniku literackim poznańskim, podobnoś z r. 1841, były trzy listy: jeden z Paryża przesiąkły zwrotami francuskimi, drugi z Wołynia zaprawny urzędową moskiewszczyzną, trzeci z Poznańskiego z wszystkimi lokucjami i germanizmami tam używanymi. Koncept w nich wyborny, a rzecz tak ułożona, że wszystkie osobliwości zepsutego języka produkują się jak na parady. Być może, że pomysł wyszedł od Morawskiego, a nawet że on sam do niego rękę przyłożył. Czy tak jest lub nie, zawsze rzecz dowcipna, nie mogła wyjść tylko z dowcipnej głowy. *On ne prête qu'aux riches.*

Zostawiwszy pióro Morawskiemu, żeby sam skreślił moralną dyagnozę prowincyi Wielkopolskiej, winienem dać pejzaż okolicy, w której leżała Lubonia, w czém daję się wyręczyć pióru Stanisława Koźmiana, znanego współwydawcę Przeglądu poznańskiego*), autora wybornego dzieła o Anglii i tłumacza Szekspira,

*) Redagował go przez lat 20 wspólnie z bratem swoim księdzem Janem Koźmianem.

który, jako niedaleki sąsiad Luboni, i zażyły z Jenerałem tak (w udzielonych mi notatkach o ostatnich dziesięciu latach jego życia) kreśli ten wielkopolski zakątek: „Lubonia leży w płaskiej, nie-
„uroczej, ale żyznej i ludnej okolicy. Pełno tu domów
„zamożnych i miłego sąsiedztwa. W długim dniu majowym, lub czerwcowym, można było z łatwością
„dziesięć domów objechać i w każdym godzinę zabawić.... Z noclegu w Goli u Gustawa Potworowskiego jadąc na nocleg do Xięstwa Sułkowskich
„w Rydzynie, można było wstąpić do Józefa Łubieńskiego w Pudliszkach, Józefa Mycielskiego
„w Rokosowie, Marcelego Żółtowskiego w Drzewcach, Referendarza Morawskiego w Oporowie,
„Wojciecha Morawskiego w Oporówku, Jenerała Morawskiego w Luboni, Stanisława Mycielskiego w Punicu, Leona Mielżyńskiego w Pawłowicach. Z tych Rydzyna, Rokosowo i Pawłowice
„były najwystawniejszemi; ale Oporowo i Lubonia, najprzyjemniejszymi domami. Mały i niepoczesny
„dworek w Oporowie bywał najczęściej punktem zebrania całej rodziny. Gdzie się to i jak wszystko mieściło, wytłumaczy chyba właściwość domów polskich rozszerzania się do nieskończoności. Zastawałeś więc zawsze ciasne a niskie po-

„koiki pełne córek, zięciów, wnucząt, krewnych i sąsiadów, ale w nich jak wymiótł, jeżeli w pobliskim kościółku było nabożeństwo. Towarzystwo zwykle grupowało się około Referendarza*) albo jego żony. Nierzadko znalazłeś w niem gości z najrozmaitszych i najoddalniejszych dzielnic Polski. Wiadomo jak liczną jest rodzina Łubieńskich. Pod koniec życia pan minister liczył niemal sto osób wprost od siebie pochodzących, a do każdej przynajmniej raz w rok pisywał. Ta to pochopność do korespondencji, która cała tę rodzinę odznacza, sprawiała, żeś w Oporowie zawsze zastawał najświeższe i najobfitsze wiadomości ze wszystkich stron świata. Ztąd też wstępna pogadanka przechodziła natychmiast w poważną rozmowę, to o polityce, to o literaturze, w której starsi i młodszy równie gorący udział brali. Kogokolwiek z nich zapytasz w jakim bądź przedmiocie, wszystko wie, wszystko umie, w każdej rzeczy ma dowcipne lub mądre zdanie, a przecież słucha cię uprzejmie, bada, pragnie się nauczyć, i najmniejszą zasługę podnosi i wychwala. Nadzwyczajną zdolność i dziwną ruchliwość

*) Józefa, starszego brata generała i żony, z domu Łubieński, córki byłego ministra.

„umysłu swych dzieci, umiała roztropna matka ująć w karby niezłomnych zasad i pokierować ku poważnym i pożytecznym, a bezpiecznym naukom. Ona sama jedna wszystkie wychowała i wyuczyła. Zmuszona często całe dni spędzać w łóżku z powodu puchliny w nogach, obracała godziny wolne od lekcji na pisanie wykładów dla młodych dzieci. Niektóre, jak n. p. historię, potoczny wierszem układała. Kajety te, przepisywane w mnogich exemplarzach, dotąd służą w wielu rodzinach wielkopolskich do pierwszych nauk dzieciom. Połączona ścisłą przyjaźnią z Jenerałową Chłapowską i Xiężną Antonią Sułkowską stanowiła z niemi jakby areopag, do którego zewsząd młode matki udawały się po radę i naukę. O pobożności i rozlicznych cnotach tej przeznaczonej pani, nie tu miejsce mówić. Chwała Bogu, wzory takie nie są rzadkie w Wielkopolsce, ale można śmiało powiedzieć, że i w tej prowincji rzadkością było tyle cnót pociągających niezrównaną pokorą i słodyczą. Rozszerzyłem się nad tym kółkiem oporowskiem dla tego, że tu Jenerał prawie codzień bywał, tu czerpał wiele wiadomości a może i natchnień, tu nieraz znajdował zbawienne karby dla swego dowcipu i ku

„poważniejszym myślom kierunek. Lubonia leży „tylko o kwadrans drogi od Oporowa. Droga jak „na strzał prościutka, zawsze doskonale utrzy- „mana, wysadzona topolami i tylko w jednym „miejscu przecięta wjazdem do Oporówka, sama „już pokazuje że łączy domy, albo dwóch braci, „albo dwóch serdecznych sąsiadów. Wszakże „postać Luboni nieco odmienna. Dom dawniej „mały z niskimi pokoikami wielce się rozszerzył „i upięknił rozmaitemi i ozdobnemi przybudowa- „niami. Z jednej strony obszerny pokój Jenerała, „z drugiej gustowna kaplica, w koło zgrabna we- „randa, wszędzie mnóstwo ślicznych ozdóbek, na- „dały mu nadobną powierzchowność. Ogród bar- „dzo miły i starannie utrzymany, pełno wody, „na stawach wysepki, na ślicznych trawnikach „odwieczne dęby. Sama natura miejsce i granicę „mu wskazała, tworząc jakby lekko zakłęśniętą „dolinkę na tych płaskich obszarach.“ —

Powyższy obrazek, mianowicie co do opisu Luboni, do późniejszej należy daty. Kiedy Jenerał objął gospodarstwo, niebyła ona jeszcze tak uroczą, jak to widzimy z niniejszego listu opisującego oddalonym przyjaciółom obraz trybu życia w Lubonii dającego wizerunek téj wsi wielkopolskiej:

„Mam domek dość schludny; ogród niezmiar- „nie wielki; mieszkam, poprostu mówiąc, w roz- „ległym lesie. Są i kilkowieczne dęby. Półtora „tysiąca drzew rodzących; łąki przedziwne w ogro- „dzie; kilka stawów, które w naszych płaszczy- „znach są bogactwem. Karcznię i stajnię wysta- „wiłem porządne pod dachówką. Drogi zaczy- „nam wysadzać owocowém drzewem, gdyż i to „jest rodzajem przemysłu w tych stronach. Po- „łożenie wioski dalekie co do piękności od Pio- „trowic, ale najładniejsze w Poznańskim. Wieś „przepełniona ludnością, co u was jest klęską „dla pana. Role mam żytne; najstarszy nawóz „pięcioletni. Dobytek w najlepszym stanie; las na „potrzebę miejscową dostateczny. Co rok dosa- „dzam pięćkroćstotysięcy w zagajeniach. Łąki „jedne z najlepszych w tym zakęcie. Byłoby więc „z czego żyć, ale wkłady niezbędne, landszafta, „i inne wydatki, wszystko to razem zebrane, wiel- „ką trudność zadaje....

„Wstaję z dzwonkiem, bo u mnie wszelka „praca w polach i na dziedzińcu, zaczyna się „i kończy z dzwonkiem. Wychodzę natychmiast „i patrzę, czy roboty wszystkie rozpoczęte, potem „wracam, budzę Tadzia; pijem śniadanie w ogród-

„ku jego, a potem trudnię się jego lekcjami. O je-
 „denastój wyjeżdżam konno przekonać się jak ro-
 „bota szła od rana. O drugiej jadam obiad. Po
 „obiedzie patrzę znowu czy roboty rozpoczęte;
 „potem lekcye przez dwie godziny; spacer, her-
 „bata, dyspozycye robót na dzień drugi, wieczerza,
 „długa rozmowa o znajomych, przyjaciółach w Pio-
 „trowicach, krewnych w Stydiniach; potem sen,
 „i tak codziennie cały czas spędzamy.... Gazet
 „mi tu nie braknie; ksiągby nie brakło, ale nie-
 „podobna ekspensować na nie, a więc nie wiem
 „co się dzieje w literaturze. Wreszcie przy tylu
 „trudach i kłopotach niepodobna zajmować się
 „tém, co sprawia przyjemność. Otóż masz cały
 „obraz Luboni i jej właściciela. Nudzi go okro-
 „pnie gospodarstwo, gospodaruje przecież gorli-
 „wie, bo tu opuścić się nie można na chwilę bez
 „straty niemaliej. Nie to przecież życie mi przy-
 „stoi; nie nawykłem do niego i nie stworzonym
 „do niego. Czuje to w każdej chwili i codzień bar-
 „dziej.“

.....„Czemuż nie jesteście tu blisko? Miałbym
 „przynajmniej ulgę w oglądaniu was, w pomówie-
 „niu z wami, gdy tu tylko o owcach, kartoflach
 „i zagonach wieczne dyskusye, do czego nawy-

„knąć nie mogę. Pojmuję, czemu ta prowincya
 „nigdy nie wydała poety wyższego. Dąb nawet
 „porządny jest tu rzadkiem zjawiskiem....“

Później jeszcze wymowniejsze robi wyznanie:

„Wiesz z mojej rozmowy w Karlsbadzie, jak
 „tu poecie duszno jest w Wielkopolsce, gdziebym
 „ledwie dwie osoby mógł znaleźć mające cokol-
 „wiek zmysłu poetycznego, lub prawego smaku,
 „rozsądnych uwag w tej mierze. Co nie czasowe,
 „nie ma ponęty. Sam Homer i Tasso mniejby tu
 „znaczył od dobrego piwowara.“

Później jeszcze, bo niemal po dwudziestu la-
 tach zamieszkania w Wielkopolsce, skarżył się
 Jenerał na brak uczucia dla twórców poetycznych,
 przed Stanisławem Koźmianem współredaktorem
 Przeglądu w tych słowach:

„Mógłbym lub Xenie, lub jaką bajkę po-
 „słać wam do Przeglądu, ale lękam się naresz-
 „cie, aby widząc zawsze moje wiersze, niesądził
 „czytelnicy Przeglądu żeście mi jednemu pra-
 „wie przyznali przywilej świecenia w piśmie wa-
 „szém. Chcecie, przeszłę, ale i nie bez obawy i nie
 „bez przekonania, że miernością was częstuję. Wam-
 „baras tyłkobył was wprowadził, bo niewiedzie-
 „libyście co robić ze starym Jenerałem, którego

„ramot przyjaćby nie wypadalo. Mamy w księ-
 „stwie poetów znakomitych, jakimi są: Stanisław
 „Koźmian, Konstanty Zakrzewski, Berwinski,
 „Zmorski, Lenartowicz, czemuż do nich niezastu-
 „kać, nieotworzyć im pola do popisu. Czytelnik
 „i pismo zyskałoby na rozmaitości talentów. Cze-
 „muż od stryja (Kajet. Koźmiana) czego nie za-
 „sięgnąć, od Wężyka, od znajomych, od Pola.
 „Nieprzytaczam tu B. bo takie nudne pocziwo-
 „ści bez talentu zająć nikogo niemoga. Niedziw,
 „że w księstwie coś podobnego drukują, gdzie
 „wiersz Goreckiego o zdrajcy ojczyzny podzi-
 „wiano, gdzie Jachowicza mają za bajkopisarza,
 „a wdzięków Zaleskiego poeziu nieczują, wyjąwszy
 „Przenajświętszej Rodziny dlatego, że to
 „nabożne. Piaszczystą to i głuchą Saharą co do
 „poeziu jest nasze księstwo; żadnego echa, za-
 „dnój woni, prócz kwiatu kartoflanego. Kobiety
 „nawet bardzo rzadko posiadają coś podobnego
 „do zmysłu poetycznego, zresztą żadnej znajo-
 „mości sztuki. Aby u nas poezya zajęła, trzebaby
 „czyjeś wady wytknąć, lub uszczypnąć Niemców,
 „lub jakiś ideał niepojęty wyrazić, któryby tem-
 „bardziej podziwiano, imby mniej go zrozumiano.
 „Księstwo jest prawdziwym czyścem dla poety,

„gdzie nie ogniem, lecz lodem dokuczają duszy
 „gorącej, lub wzniosłej. Czujesz to sam dobrze,
 „ale nieśmiesz tak śmiało powiedzieć, jak stary
 „gdéracz....“

Lubo jenerał narzekał na ten brak towarzy-
 stwa któreby nietylko harmoniowało z jego wy-
 kształceniem literackiem, ale i dawało podniecie,
 bez czego trudny zawód pisarza, a osobliwie po-
 ety skazanego przemawiać do martwych głazów,
 płacących mu obojętnością — to przecież w kole
 swoim rodzinném, bardzo liczném, znachodził
 młodych, wykształconych ludzi, pełnych entuzjaz-
 mu dla wszystkiego co piękne, co wzniosłe, któ-
 rych przedewszystkiém zajmował ojczysty język
 i literatura, ten jedyny wyraz ducha narodowego
 spędzonego z innych pól działania. Jednym z ta-
 kich był syn jego brata Józef, kilkakrotnie poseł
 na sejm berliński, a dzisiejszy Dyrektor landszaf-
 ty, z którym często korespondował w materyach
 literackich lub politycznych. Po ukazaniu się Gia-
 ura byrońskiego w przekładzie Mickiewicza o
 czém zapewne p. Józef donosił, Jenerał taki list
 pisał: „Giaura! na Boga Giaura przysyłaj, bo
 „uschnę z pragnienia. Wierzyłem jeniuszowi Mic-
 „kiewicza, wierzę twemu smakowi, że przekład

„musi być silny i gładki jak oryginał, i im bardziej wierzę, tém bardziej pragnę. Pytasz czym „czytał list twój do Oporowa*) pisany? A któżby „nieczytał i ust na dwie wersty nierostworzył?! „Grzmisz jak Etna, parzysz jak lawa; Bóg wie „komu się niedostało: narodowi całemu, literaturze, politykom, guwernerom, kupcom i ledwie „nie trawie rosnącej w tej biednej ziemi. Aby „dąb sprostować chcesz wszystkie soki zwrócić do „korzeni, potem go ściąć, aby rósł prosto. Szkoda „że dęby drugi raz nie puszczają z korzeni, i że „trudno, aby wszystkie drzewa oparły się ze „wnętrznemu wpływowi. Niema ludu, któryby był „zupełnie tém, czém być był powinien. Z resztą „ta chęć poprawy i spostrzeżenia tej potrzeby nie „zaczynają się wcale od księgi, którąś odczytał. „Stare są, niezmiernie stare. Maurycy je nawet „zmodyfikował.“

Domyślam się że generał uwagi te odnosi

*) W Oporowie, jak już nadmienilem, mieszkał starszy brat generała Józef, referendarz, mąż znakomity obywatelstwem i nauką. Gdy mu się dziwił, że żadnych dzieł nie pisał — powiadał że czyni to z obawy, aby przypadkiem jakie jego słówko nie podało komu złej myśli, nie wprowadziło w błąd, nie zgorszyło. —

do którego z dzieł wydanych w tym czasie przed emigracją, jak: Księgi pielgrzymstwa lub Historia Powstania Mochnackiego, lub nareszcie pan Tadeusz Mickiewicza. O tym ostatnim wielkim utworze poety wyraża się w dalszym ciągu listu z licznymi zastrzeżeniami i bynajmniej niepodziela entuzjazmu swego synowca. Morawski przywykł był uważać poezję jako ogólny wyraz narodowego ducha; tymczasem w panu Tadeuszu dostrzegł prowincjonalizm, powiatowszczyznę, i przeto raził go nieco odrębny charakter i koloryt od ogólnego charakteru i kolorytu narodowego. W pewnym względzie stał on w obozie tych, co bojąc się podobnych lokalnych wyróżnień, uderzyli na Mickiewicza za sam początek poematu: „Litwo, ojczy- „zno moja!“ — Witwicki pierwszy powstał przeciw tej nowej ojczyźnie odrywającej się od zbiorowej. Nie można brać za złe stawiającym opór tej nowości; przeczuwali oni przez mgłę poezyi, że w dalszém następstwie przyjść może do rozkładu na ludowość, na powiatowszczyznę; i jeżeli grzeszyli przeciw swobodzie poety, mającemu wybór śpiewać to, co go najsilniej porusza, co się w jego wyobrażenia i uczucia wprędko — to jako obrońcy myśli ogólnej i całości żyjącej w tradycjach słu-

szość mieli po swój stronie. Z téj właśnie zasady wychodził Morawski gdy następował szczególniej na pierwszy tom Pana Tadeusza i odmawiał interesu téj części opowiadania; drugi dostawał jego absolucyę, bo tam poeta wprowadza rok 1812, maluje rozbudzony patryotyzm Litwinów i przemawia tonem szczytniejszym epopei. — Jak widzimy Morawski nie mógł się pogodzić z tą potoczną dykcją pełną zaniedbania, prozaiczną jak życie codzienne, krotofilną jak wiersze Baki — i wziął ją za ubliżenie godności przedmiotu, zapominając że do odmalowania powszednich spraw zaściankowego życia pędzel Wirgila, a nawet Byrona, którego tak lubił, byłby tylko dostarczył konwencyonalnych, lub fantastycznych obrazów i figur, nieprzystających do serca ani Litwinom, ani nikomu. — Więcej uzasadnione są uwagi co do postaci Jenerała Dąbrowskiego, którą poeta pokazał w drugim tomie Pana Tadeusza; lubo nie można go winić, że się nad Dąbrowskim krótko zatrzymał, kiedy i on sam ukazał się na Litwie tylko przechodem. Posłuchajmy jednak, jak Morawski pojmował Dąbrowskiego, a raczej jak go malował: „Wreszcie jakież błądy ów kolos naszych dziejów: Dąbrowski! Wystaw sobie boha-

tera ojaśnionego słońcem Rzymu, zatracającego okropnie niemieczyzną, przybranego w kurtę sarmacką, któraby piwniczemu Batorego ledwie do kroju przypadła, i w téj kurcie mówiącego znowu językiem Petrarcki, rozumującego z wyższym smakiem o cudach sztuk Italii, w każdym kroku chcącego kopiować Czarnieckiego, w każdym czynnie patrzącego na historię, chciwego sławy, nie znaczenia zwykłego; najbieglejszego historyka i znawcę dziejów ojczystych, najtrafniejszego obserwatora charakteru narodowego, kobiet naszych; prawiącego ciągle tysiące śmiesznych dykteryjek o Polakach, wiecznie podciągającego stare pludry, zwinnego często lisa, zwłaszcza z cudzoziemcami; nakoniec kochającego Polskę szczerze, jako pole swojej sławy, jako drogę do wielkiego imienia. Oto go masz zrysowanego lecz dopiero w części. Jestże takim w Panu Tadeuszu? Gdyby nie było mowy o Legionach i imieniu Dąbrowskiego, możnaaby w tym samym obrazie umieścić Biegańskiego, Hebdowskiego, Kopcia. Nikt go może bliżej nie znał odemnie; nikomu się tyle nie zwierzał przez lat jedenaście, co mnie; przed nikim nie obnażył tak prawdziwego Dąbrowskiego jak przedemną, dla tego téż ja może najmniej będę zawsze za-

spokojony jego rysem. Autor (Mickiewicz) powinien był lepiej schwycić te rysy, gorliwiej o nie pytać; nie rojonego, lecz prawdziwego dać nam sławy naszej człowieka.“

Zdaje mi się, że Morawski zbyt wiele tu wymaga, więcej, niż poecie wypadało zrobić przez wzgląd na sam układ poematu, a głównie, że Dąbrowski tylko w przelocie ukazał się Litwinom. Jemu to raczej możnaby uformować zarzut, dla czego znając tak dobrze Dąbrowskiego, nic o nim nie powiedział w swoim Dworcu Dziadka, chociaż była potemu sposobność. Cała druga część tego poematu, byłaby przez to ożywiła się i nabrała rzeczywistości, a mianowicie pewnego charakteru, któryby po wszystkie czasy był krystalizacją tej pamiętnej epoki. Wódz legionów, wy-modelowany przez poetę co pod nim walczył, co go znał z bliska, co wtajemniczył się w jego sposób myślenia, co go wreszcie tak wysoko cenił — zyskałby „nieurojony“ posąg, którego nie-szczęściami skolatana ojczyzna dotąd nie mogła mu postawić.

Zarzuty robione Mickiewiczowi nie zawsze są trafne i słuszne, mianowicie pod względem poetyckiego kunsztu; co zdaje się być winą dawniej-

szych, warszawskich uprzedzeń, niewychodzących jednak po za obręb poufnej pogadanki lub korespondencji. Sam nie wiem więc, czy z tytułu, że do potomności należą, wolno mi uchylać tę zasłonę i wyjawiać to, co do jawności przeznaczonem nie było. Skrupułu tego jednak nie możnaby się spodziewać i w późniejszych czasach, jeźliby listy te wpadły w ręce jakiego autora ciekawie śledzącego ducha téj literatury i tych wyobrażeń, jakich przedstawicielem był Morawski i jego współcześni. Zajrzyjmyż teraz do innego listu, gdzie z powodu artykułu o Hoffmanie, niemieckim humoryście, napisanego przez znanego naszego romansopisarza, uderza na ducha objawiającego się w powieściach, a mianowicie na fałszywe doktryny tendencyjnie rozszerzane w téj najprzystępniejszej formie.

„Autor artykułu o Hoffmanie (pisze Morawski) utrzymuje, że chcąc poznać Hoffmana, trzeba go całego przeczytać. Nam się zdaje, że każdy autor ma prawo tego się domagać, jeżeli stanowczy wyrok chcemy o nim wydać; każe się wpoić w jego najtajemniejsze myśli, co ma zapewne znaczyć, że trzeba go dobrze zgłębić, i niepowierzchnie czytać. — Ale czyż o każdym tworze nie-

można tego samego powiedzieć? Każe się zniemczyć, aby zrozumieć Niemca — to zdaje nam się trochę za nadto. Umalujmy posąg Apolina z Belwederu, niech drugi Rafael tego dokona, w całą prawdę koloru przybierze, a płakać będziemy nad znizeniem boga, bo sztuka do pewnego tylko stopnia naśladować powinna, a nie służebnie kopiować, przerabiać, że tak rzekę, materyalnie. Przez to właśnie sztuka jest sztuką, że nie powtarza niewolniczo i wszystko bez braku, co tylko przedmiot natury w sobie niesie, lecz poetycznie tylko rysy jego zdejmuje i w całość przybiera. To jest właśnie jój tworzeniem, to całą jój wysokością, że idealizując nawet niemą naturę, wlewa w nią jakąś myśl tajemniczą, która oddźwięk swój w każdej znajduje duszy, że przybiera wszystko w pewne kształty, które taką są rozkoszą estetycznego uczucia, a przecież nie klóci się z prawdą przedmiotu..... Wiesz dla czego chwałą dzisiejszych powieściarzy? Oto dla tego, że zwracając literaturę do grubości gminnej, do najniższej powszechności i pomiatając gustem, sławą i społecznością, słowem wszystko detronizując i zniżając wszystko, niwellują i torują drogę do tego celu, który mają przed sobą i za którym tak gorąco

dążą. Nie o literaturę im chodzi. Jest ona tutaj tylko środkiem. Niech gadają co chcą, niech się klną na wszystkie bogi, że to łgarstwo — Credeat Judeus. Oto im idzie, aby wszystko zbłocić wprzód, i z błota tego dopiero nowy świat ich marzeń wywieść.

Zdaje mi się żem zajrzał w samo jądro ich myśli. Bóg wie, com nabazgrał. Dziś odbieram list i dziś odpisuję. Berwiński*) ma ci także coś z uwag swych dołączyć. Czekam na nie. Ale nad wszystko pisz do Wosia**), w którym powieściarz więcej może jeszcze indygnacyi wzbudził niż w nas, i któremu Zygmunt Krasiński powiedział iż na każde wspomnienie tych ramot flaki mu się przewracają.“

Jeszcze wtedy, kiedy Morawski pisał te uwagi, literatura powieści nie doszła była tych rozmiarów, do jakich doszła później, ani do tych nadużyć, w jakich się przesadzała zatruwając społeczność naszą wszystkimi jadami pożyczonemi, a raczej wyciągnionemi z śmietników literatury

*) Ryszard Berwiński dla talentu swego poetycznego był wielce przez Morawskiego ceniony.

**) Wojciech Morawski syn Józefa starszego brata Jenerała wstąpił po śmierci żony w stan duchowny.

francuskiej lub niemieckiej. Ucisk ciężący na prasie dziennikarskiej, kazał przyjąć tę na pozór niewinną formę romansu, aby w niej łatwiej było przemycić wszystkie teorie społeczeńskiego wywrotu. gnieźdzące się w głowach francuskich romansistów. Podżegać nienawiść jednych warstw społecznych przeciw drugim, emancypować kobietę, ubogiego uzbrajać przeciw bogatemu, usprawiedliwiać zbrodnię, zrzucając winę na społeczność źle urządzoną, ubóstwiać namiętności dla tego, że wywracały każdy organizm — oto w przecieciu były zasadnicze idee wszystkich prawie romansów potraconych nie wewnętrznym stanem naszych towarzyskich stosunków, lecz nowościami przychodzącymi z zagranicy.

Nowy romans Balzaka, Eugeniusza Sue, nawet Pawła Koka odfotografował się zaraz na tle pejzażu i kostiumu polskiego. Marawski, jak z powyższego listu widzimy, postrzegł się na groźcém niebezpieczeństwie, tak samo jak Michał Grabowski w swojej Literaturze i Krytyce gdy z całą siłą przekonań i zdrowych zasad, wystąpił był przeciw tak zwaną szaloną literaturze francuskiej. W wybornych argumentach tych rozpraw smakować mogli ludzie wykształceni, którzy je

czytali; atoli, niedostały się one do rąk podrzędniejszej masy czytelników, która zasypywana powieściami, coraz więcej smakowała w tym rodzaju, z czego cieszyli się optymiści, powiadając że przez to spopularyzowała się literatura, że smak do pism polskich jak z jednej strony rozszerzył się na dół, tak z drugiej w wyższych sferach czytających tylko po francusku, powytrącał z rąk książki zagraniczne. Prawda, pomnożyła się liczba czytających, lecz w zamian nabyliśmy tyle rozkładowych pierwiastków, że zamęt pojęć i obecne rozbicie ducha, możnaby bez wielkiego naciągania przypisać tej romansowej propagandzie, która, jak wszelki chwast wybujały głużyła nieraz najwonnejsze kwiaty uczuć i myśli.

Morawski w roku 1836 wybrał się z synem na Wołyń, obracając drogę na Kraków i Galicyę.

„Przebyłem wzdłuż całą Galicyę — pisze „on — śliczny kraj. Ziemia tak bujna, że mierzwiłby nią można. Bieda zaczyna pędzić do „przemysłu. Język czysty. Chłop pijak i nędzny. „Całą Wieliczkę to jest kopalnię obszedłem. Mo- „głem, jak to mówią: *faire les honneurs de Wie-* „liczka jako pierwszy jej zdobywca w r. 1809, „jako dowódzca tameczny, jako gospodarz nawet

„dawanych tam wówczas balów dla króla saskiego
 „i księcia Józefa. Anibyś się domyślił, że i ja
 „kiedyś skakał i skakał potężnie; ale zbiegła
 „przeszłość — oni zmarli, a ja podobno bliski
 „podagry....“

Pobył swój w Stydyniach na Wołyniu tak
 opisywał Jędrzejowi K.:

„Ciekawy może jesteś, co tu robię, lub ra-
 „czej jak nic nie robię? Tym razem robię. Pro-
 „stuję koszlawe gospodarstwo, wykoszlawione in-
 „teresa, daję gramatykę angielską Maryni, czuвам
 „nad nauką Tadzia. Czytam czasami gazety. Cóż,
 „gdy od Równego do Pińska tylko jest jedna —
 „jedna — jedna rzeczywiście na mil trzydzieści
 „Polesia! Byłem w Niewiorkowie, i tam znowu
 „upiłem się gazetami, tyle ich było.... W czasie
 „dwóchtygodniowych mrozów obrałem sobie szcze-
 „gólną pracę. Bez oryginału, z pamięci jedynie
 „przekładałem Paryżynę wierszem.... Później,
 „dostawszy oryginał, przełożyłem Więźnia Czył-
 „lonu. Wszystko to potrzebuje wiele popraw i
 „radbym się z tobą widział dla miejsc niepewnych
 „dla mnie, to jest, czy dostatecznie wydane.

....„Tadzio ćwiczy się w językach starożyt-
 „nych i wiele w nich postąpił. Ja głównie za

„starożytnymi obstarę, aby się wyuczył w sposób
 „przybierania wielkich myśli w proste barwy; co
 „tém potrzebniejsze, że żyjemy w wieku, gdzie
 „wielu (nie wszyscy) myśl małą w tysiąc farb
 „przyobleka, jakby w szatę Arlekina. Grecy więc
 „zwłaszcza bardzo mu będą przydatni. Nasi fran-
 „cuzko-polscy poeci nadto byli obdarli język z
 „wszelkiej poetycznej barwy, lub chude myśli
 „chudo wydawali; teraz zaś wielu, jak n. p. Sło-
 „wacki, tak smaruje farbami, że nietylko poza
 „niemi myśli, ale i sensu nie dojrzysz. Do Gre-
 „ków więc, do Greków literatury, wrócić nam
 „potrzeba.“

Zdanie to o Grekach czytał Kaj. Koźmian
 i zaprotestował przeciw niemu, ujmując się za
 Rzymianami i przyznając im wyższość, na co Mo-
 rawski w innym znowu liście tak odpowiedział:

„W ostatnim swoim liście powstawał na mnie
 „twój ojciec, że Grecyę nad Rzym wynoszę. Nie
 „zgodzim się nigdy w téj mierze. Wartość histo-
 „ryczna każdego ludu zawisła od dobra, które
 „uczynił dla świata. Oprócz prawodawstwa i kilku
 „nowych obrotów wojennych, nic nowego nie stwo-
 „rzyli Rzymianie; a cóż dopiero gdybym mówił o
 „dobrem dla innych. Co do nauk, jednego wa-

„żnego odkrycia nie zrobili w Astronomii, w naukach matematycznych, a literatura bładą tylko „kopia greckiej była. Szeroko się rozciągnęli i „dużo narobili hałasu — i cóż zostało? Chcąc „Rzymian wyższość okazać, niech ich z nowożytnymi równa, lecz nigdy z Grekami. Tam źródło „wszystkiego co tylko pięknem było i będzie.“

Mógł być jeszcze dolożyć, że metodę w umiejętnościach winni jesteśmy Grekom; jeniusz ich filozoficzny unosił się nad wszystkiem i ład wprowadzał; kiedy Rzymianin obrany z jeniusza, stanowiął tylko prawidła....

„Pisze mi twój ojciec, że tylko kartoflami „umysł zatrudniam; przecież w jednym roku przełożyłem trzy poemata Byrona. Teraz odpocznę „już na dobre. Nie zgadzam się przecież z tobą, „żeby wiek ten nie miał swojej poetycznej strony. „Zaszłe słońce Napoleona, wściekle na nieszczęście „i rozhukane namiętności, jakby czarne Oceanu „fale, burze za burzami, a za nimi jak wielka „dla ludów przestroga: widmo rewolucyi francuzkiej: jednych zdziczała radość, drugich jęk, jak „świat rozległy: hymny Byrona, Walter Skota, „Hugona, ekspedycye do północnego bieguna; od „zagona aż do gwiazd posunięta wielka masa

„wiadomości naukowych, i tyle, tyle innych przedmiotów w niepoślednią odrębną indywidualność „i barwę poetyczną, świat ten przyoblekły; a „jeżeli rachunkowość i przemysł naszych czasów „za antypoetyczne uważasz, na to ci odpowiem: „gdzież więcęć rachuby, jak w Anglii; a któryż „nowszy naród miał podobnych poetów i to właśnie w naszej epoce? W którymże to kraju 12 „tysięcy egzemplarzy dzieła poetycznego w jednym dniu rozkupiono, jak w Londynie?“

To pewna, że w każdym czasie, osobiwie w naszym, częste bywają utyskiwania na brak poezyi — skonała, już ją pogrzebiono. Atoli prawdziwa poezya nie umarła i umrzeć nie może, dopóki Bóg nie zmieni praw ustroju ludzkiego; poezya bowiem jest najwewnętrzniejszym żywiołem natury naszej. W dzieciństwie narodów jest ona uczuciową i fantazyjną — czuje a nie rozmyśla: później tracąc prostotę nieświadomości, zmienia swój sposób, wdziewa inne kształty, używa innego języka — ale swój treść nie zmienia. Kiedy w zeszłym wieku różami wonne pisano wierszyki na cześć pięknych oczek — dziś poeta usiłuje śpiewać głosem narodu, i jak gwiazda przewodnia prowadzić go ku ziemi obiecanej: wolności w

porządku, jedności w prawdzie. Ci co szyderstwem podkopują wiarę serca, co z sfery ideału ściągają w zmysłowe brudy, co jadę nienawiści trują duszę, szczepią przesyt i nudę — ci, choćby nałożyli na swoje wiersze jak na wschodnią księżniczkę wszystkie klejnoty wielkiego mongola — nie więcej zrobią je poetycznemi, jak wtedy, gdy palcami liczono zgłoski, a rymów szukano w słowniku.

Pomimo mozołów gospodarczych i czuwania nad naukami syna obudzała się w naszym poecie coraz więcej literacka czynność. W listach jego częściej się już spotykają kwestye estetyczne i literackie; bierze nawet taki udział w piśmie peryodycznym: Przyjaciół ludu, wychodzącym w Lesznie pod redakcją Prof. Poplińskiego, że nie tylko sam do niego pisze, lecz i obu Koźmianów skłania do umieszczania prac swoich.

...., „Z moich rzeczy — pisze w 1837 r. — „w tych tygodniach były drukowane bajki, Edward „staroszkocka ballada, Wizyta w sąsiedztwo, Gier- „mek śpiew historyczny, i scena z Julii i Romeo. „Teraz kończę balladę: Góra Poznańska. Pary- „zyny i Więźnia Czyllonu nie radbym drukował „przed widzeniem się z tobą. Piszę oprócz tego

„niekiedy prozą do innych czasopismów... Wszakże „niebawem przyjdzie mi zamknąć moją malutką „karyerę literacką, gdyż mając zamiar zamieszkać „we Wrocławiu, aż nadto wiele będę miał do „czynienia z Tadziem: ale wy możecie po zago- „nach marzyć i rymy łąpać.“

Przeniósłszy się do Wrocławia dla czuwania nad edukacją syna, tak się ze swoich usposobień spowiada:

„Już więc na dobre porzuciłem pióro, nie a „nic pisać nie będę. Ważniejszy cel mam przed „oczyma; edukacja Tadzia, pilnowanie lekcji „wszystek czas mi zabiera; a wreszcie proza ka- „szy, mąki, rachunków domowych do reszty wy- „susza imaginację. Mieszkam przytém w prze- „chodnięj tylko komnacie, a na takich kurytarzach „trudno coś zrodzić. Wreszcie nic nie zrobiwszy, „coby mi imię nadało przez tyle lat, na starość „bym téż nie potrafił lepiej; a więc na co się „męczyć. Przyjdzie co, przyjmę; lecz mozolić się „już nie myślę. Bierz diabli wiersze. Wiek ten „także innych barw i form żąda; a nam trudno „już wydobyć się z tych do których przywykliśmy“.

Wyznania tego o swoich własnych zasługach w piśmiennictwie, nie można brać za ową fałszy-

wą pokorę, udaną skromność, ażeby tém efektowniejszą ściągnąć pochwałę. Rzeczywiście tak było że generał choć pisał, mało dbał o swoje pisma. Często w listach powtarza: „Czytam dużo, „i widzę że z czytania najwięcej odbieram korzyści, więc jak z tego, cobym nabazgrał. Nigdy „nie byłem i nie chciałem być autorem ni poetą. „Pisałem, jak przyszła ochota. Ustała, więc i „ja ustałem. Gdyby znowu kiedy przyjść miała, „znoubym pisał, bez marzeń o laurach, sławie, „potomności. Pocóż więc sam siebie mam dusić? „czyż niedość duszą lata, troski i ktoś tam „jeszcze....“

Potwierdza to Kaj. Koźmian w swoich Pamiętnikach*), gdy mówi: „Morawski żadnej miłości ojca do swoich twórców, a zazdrości nawet cienia nigdy w całym życiu nie okazał. Wszystko odnosił do kraju, do dobra literatury, nie do siebie i dla siebie:

„Więcej się cudzą sławą, niż swoją weselił.“

Prawda jest, lecz z drugiej strony nie było nikogo, coby więc dbał o przystojne wypuszczenie twórców swych na widok publiczny jak on.

*) Tom III. wydany w Krakowie 1865.

Każdy wiersz przechodził cenzurę swego twórcy, wielokrotnie gładzony i poprawiany. W czém podobny był do troskliwego ojca, dającego najwyborniejszą edukację i ogładę swym dzieciom, a potem się już nietroszczącego co zrobia ze sobą. Tak i plody swe sumiennie wyrabiał, nietroszcząc się bardzo o ich powodzenie w czytającym świecie, jeżeli przyjaciele musieli je dopiero wyciągać z zapomnianych szpargałów.

Przez ciąg zamieszkania we Wrocławiu nie odmawiał jednak współudziału w wydawnictwie dzieł swojego przyjaciela Koźmiana, którego Ziemianstwo, zaczęte już w druku przed powstaniem, i temi wypadkami przerwane, teraz za staraniem Edwarda Raczyńskiego wydane być miało. Zdaje się że Koźmian chciał pewnych zmian w swoim poemacie, zapewne z obawy żeby nie ściągnął na siebie prześladowania władz rosyjskich jako obywatel Królestwa. Zmiany te zdawały się Morawskiemu ubliżające i szkodliwe dziełu, dla tego przesłał następujące uwagi:

„Zdaje się że będzie niepodobieństwo, po- „godzenia tylu względów jakich ojciec wymaga, „a nie zaszkodzenia dziełu. Ja tego nie pojmuję „jak się to da zrobić. Trzeba by dzielniejszej re-

„zolucyi, takiem lekkiwém oglądaniem się na wszystkie strony musi cała poezya pójść w ką, a jeżeli „poezyę odbierzem Ziemiaństwu, które właśnie „najwięcej jęj potrzebuje, cóż to będzie? — Wolę „wam się zawczasu mojej myśli zwierzyć, gdyż „jestem pewien, że i ze mnie nie możecie być „kontenci i pewno nie będziecie. Będą to *dis-* „*juncta membra*, których tym sposobem sam dja- „beł nie pozszywa. Wyrwij serce człowiekowi, „zostanie trup; tak też i z tém dziełem będzie. „Zostaną także piękne formy, barwy; lecz tego, „co wiodło do pisania, tego, co było duszą, i „najbardziej za duszę chwytało — nie będzie.... „Jakkolwiek bądź, będę wam usłusznym. Żal mi „tylko, że całe dzieło tak obszelmowane, poob- „dzierane — co musi być koniecznie, jeżeli, jak „ojciec chce, i na te i na tamte strony mamy „zważać.“

Przedstawienia Morawskiego musiały odnieść dobry skutek, bo Ziemiaństwo wyszło na widok publiczny w pierwotnej swojej postaci. Edycja była piękna, ale z powodu dość drobnego i ścisłego druku, ze spodziewanej grubej książki, zrobiła się mierniej objętości, o co autor miał do Morawskiego urazę, z której ten łatwo się wy-

tłómaczył, przedstawiając, że Raczyński będąc właścicielem rękopisu sam wybrał papier, format i czcionki, on zaś zajmował się korektą, i nieraz „nad jednym arkuszem całe godziny po nocach „śleczął.“ — „Choć mi twój ojciec tak zaciekle i „tysiącem ostrz raniący list napisał, nie mam do „niego żadnej urazy. Szlachetność uczucia pierw- „szą iskrą gniewu jego była, aby nie sądzono, że „zbyt wiele od prenumeratorów wymagał. Przez „szacunek dla tego uczucia przebaczam zbytek „cznemu uniesieniu się, i sądzę że wiele dowodów „przyjaźni daję, bo nie każdaby taką próbę wy- „trzymała.“

W parę lat po wydaniu Ziemiaństwa, zajął się wydaniem własnych pism, którym nadał nawet zwykle używanego tytułu: Poezyi, chociaż do niego więcejby mogły mieć prawa, niż tyle innych niedonoszonych płodów młodzieńczej muzy. Zbiór ten nakładem autora wyszedł we Wrocławiu w r. 1841 oznaczony jako tom pierwszy poezyi. Drugi który nigdy nie wyszedł miał zapewne zawierać pisma prozą.

Przedmowa do tej książki jest wymownym dowodem jego interesowania się dolą ludu; powiada bowiem: „Korzyść pieniężną jakaby z dru-

kowania pism moich okazać się mogła, przeznaczam na utworzenie funduszu, z któregoby coroczny zasiłek czerpać mogli ci wieśniacy mojej włości; którym los niedozwolił posiadania własności gruntowej.“

Poezya nie była u niego piękną abstrakcją, chciał on, żeby głód utulała i nie jedną łzę nędzy otarła. Prawdziwy Poeta-ziemianin z stariej rodziny Kochanowskich, Zimorowiczów, Waclawów Potokich, Karpińskich. W zbiorze tym zgromadził wiele lirycznych kawałków z dawniejszych lat, i nowsze tłómaczenia, niemniej kilkanaście legend z podań gminnych. Najwięcej oryginalności ma fragment: Wizyta w sąsiedztwo, w rodzaju domowych obrazów Pana Tadeusza. Najwięcej polotu śliczny liryczny kawałek: Żeglarz powietrzny, prócz misternie przeprowadzonej całości, nie brak tam strofek jak ta, co małuje natchnienie:

Są więc te stanowcze chwile,

Chwile życia, wieki chwały,

Gdzie dusza w całej swój sile

Rzuca się w zawód zuchwały:

Gdzie z głębi siebie przywoła

Wszystko, czém się podnieść umie,

I gdzie człowiek wszystko zdoła
Co być podobnem rozumie.

W legendach nie zawsze trafiał w prostotę i koloryt pieśni gminnej; za to w niektórych dziwnie się przejął humorystyką ludu. Dość gdy wymienię powiastkę z nad Warty: Chłop i djabeł, która bardzo może zająć miejsce obok Pani Twardowskiej. Najwięcej dowcipu i werwy mają epigramata; to jego rodzaj w którym nie dał się przewyższyć, jak np. w wierszu do Milczącego Jaksy:

Sowo Minerwy, perko Appola

Szczytna topoli w poetów klombie,

Ty, coś tak piękne grywał nam sola

Na Feba trąbie.

Sławny pijaku krynic parnaskich,

Coś Bielawskiego, coś Jacka przepił,

Któż ci na wieczny smutek Moraskich

Gębę zalepił?

Był ezas, gdy jeden Bóg nas prowadził,

I przyjacielskie godził nam lutnie,

A każdy z nas się na koncept sadił

Kto lepij utnie.

Wtenczas to jakby Etna wzburzona

Wiersześ nam miotał, wierszem grzmiał, ryczał,

Dziarski twój pegaz zadarł ogona

Wierzgał i kwiczał.

Każden ci wprawdzie łatki przypinał,
Lecz i tyś dowiódł, że umiesz kasać:
Poznał świat wówczas co za kryminał
Jaksą potrzasać.

I zkadże po tej bójce tak grackiej
Milczysz na wieczne dni mych zatrucie?
Zapiej, ach zapiej — grzedy sarmackiej
Sławny kogucie!

Nie brak u niego i w poważnym tonie głęboko pomyślanych, i z czuciem oddanych epigramatów, godnych owych dystychów antologii greckiej. W strofkach pod napisem: Trzy mogiły, zamknął obraz całych naszych dziejów, i położył na nich napis lapidarny; który późne pokolenia powtarzać będą:

Trzy góry znojem sypane narodu,
Lackiego Nilu piramidy wzniosłe;
Trzy groby, z grobu Ojczyzny wyrosłe,
Stoją w obliczu królewskiego grodu.
Stoją — jak Bardy, co w przyszłość daleką
Sędziwą sławę swojej głoszą ziemi,
Jak Alpy czasu, pomiędzy którymi
Przeszłość tak pełną przepłynęła rzeką.
Mieszczą się wśród nich całe lat tysiące,
I z pełnią chwały i zagubą bratnią;
Słońce, chrobremu ludowi świecące,
Weszło nad pierwszą, zgasło nad ostatnią, —

W ostatnim wierszu słyhać płacz milionów....

W ogóle o jego sposobie pisania osobliwie dawniejszym można powiedzieć, że każdy wiersz wypolerowany, polyskliwy, płynny, zaokrąglony. — Jest tam za wiele tej okągłości i wyglady, zacierającej pierwsze rzuty pędzla, ostre ale śmiałe, jak je zapal duszy wyrzucał. Maniera kropkowania była wadą tej szkoły, do której długo należał: pilowanie, szlifowanie wierszy wchodziło do reguł jej poetycznego kodeksu, co sprawiało że się stawaly tak wykwintnemi, jak cedzona mowa przez zęby, zawsze należąca do nienaturalnego sposobu mówienia. Zbytek sztuki, szkodził poezyi; odejmował jej ciepło, rysy charakterystyczne zacierał. Nałożone na język kajdany, wielu słowom i lokuciom odmawiały prawa obywatelstwa; a ubieganie się za jasnością, pociągało za sobą ogólnikową wodnistość, bez małowniczności i energii. Czytelnikowi nic nie zostawiono do domysłu. Morawski który miał w sobie ducha poetyckiego, osłabiał go tą manierą. Muza jego z płomiennemi oczyma Gułnary, rzewna jak słowik przyśpiewujący miłosnej schadzce Julii i Romea, chodziła w sznurówce i sukni z czasów konsulatu lub cesarstwa. Sam to czuł, gdy mó-

wił: „Wiek ten także innych barw i form żąda, a nam trudno już wydobyć się z tych, do których przywykliśmy.“ — W wielu jego poezjach podziwiasz rozmyśl, całość doskonale ujętą, rysunek poprawny, drgnięcia prawdziwe serca — ale sposób w jaki je wygłasza, zostawia cię zimnym.

Tłómaczy to dla czego z wyjściem na świat nie zrobiły tego wrażenia do jakiego miały prawo; co jeszcze nie przeszkadza żeby w innych czasach nie miały być stawiane za wzór czystości mowy, harmonii i wdzięku. Zdawałoby się że on sam kreślił charakter swoich lirycznych utworów w tej strofice wiersza; Do śpiwającej Z*.

Żaden kwiat się nie rozwinie,
Żadne szczęście nie wypłynie
Z bujnych, dzikich uczuć wzbicia,
Z pięknej tylko miary, zgody,
Płynie błogość, dźwięk swobody,
Piękność śpiewu, piękność życia!

XI.

Nieumiem powiedzieć z jakich powodów, lecz w zbiorze listów służących mi do niniejszej monografii, Znalazłem tylko kilka i to niewiele znaczących listów od r. 1839 do 1845. Niedostatek

ten, lubo pozbawia nas wielu rysów charakteru, i umysłowych wyznań, człowieka pracującego myślą — jednakże o ile wiem, w ciągu tym zaszedł jeden tylko ważniejszy wypadek w jego świecie domowym: córkę wydał za mąż — dobrze dla ludzi — szczęśliwie dla ojcowskiego serca. Marya została żoną hr. Karola Jezierskiego i zamieszkała w Krolestwie, w Mińsku. Zresztą życie szło zwykłą koleją: skończył edukację syna, gospodarował, odwiedzał przyjaciół, jeździł do córki i zięcia, ci odwiedzali go nawzajem, a kiedy wena przyszła, w długich zimowych wieczorach złożył się jaki poemacik lub bajeczka... Dopiero styczeń 1845 r. przyniósł zdarzenie sąsiedzkie, które miało rozgłos w kraju, a Morawskiego tak z prywatnych jak obywatelskich obchodziło względów. Tém zdarzeniem był zgon Edwarda hr. Raczyńskiego, męża wysokiego zasługi, i wielkiego miłośnika rzeczy ojczystych.

W kilku listach do Jędrzeja Koźmiana tak opowiada Morawski szczegóły tego zgonu, nie obojętnego, choćby tylko pod względem psychologicznym:

„W tej chwili wróciwszy z Rogalina, piszę „natychmiast do ciebie, aby ci opisać ten zgon

„straszliwy, którym najzaciewniejszy z ludzi umarł.
 „Pokazało się teraz że już od dwóch lat miewał
 „Raczyński napady czarnej melancholii, które prze-
 „cież krótkie i przelotne bywały. Żonie tylko i
 „niektórym domownikom stan ten był znany, lecz
 „go tajono ile możności. W ostatnich ośmiu mie-
 „siącach przyłączyło się jeszcze i najboleśniesz-
 „ściśnięcie serca, a w ostatnich dwóch miesiącach
 „zaród choroby, która go zgładziła, tak się rozwi-
 „nęła, że już i doktor wahał się czyby go nie zo-
 „stawić pod strażą. Przeniesiono podróż do Włoch,
 „jako mniej gwałtowny środek. Przysłał na to
 „lecz śmierć prędzej nastąpiła, nim przygotować
 „zdołano wszystkie paszporty. Od roku przyzna-
 „wał się spowiednikowi, żonie, że myśli samo-
 „bójstwa odeprzeć nie może; codziennie pacierz
 „oddzielny mówili razem ku odwróceniu tej myśli;
 „pilnowano go i w domu i w drodze; goręcej niż
 „zwykle modlił się i wszelkich przepisów kościoła
 „się trzymał — nic nie pomogło; moralna cho-
 „roba, i boleści serca tak gwałtownie się wzmo-
 „gły, że nakoniec obłąkaniu uleść musiał. Obłą-
 „kanie to i śmierć z obłąkania, tak były pewne,
 „że nie tylko lekarze zaświadczyli to najsumien-
 „niejsi, ale nawet władza kościelna kazała go na

„świętej ziemi pochować. Gdzie czyn ostatni w
 „tak nadnaturalnej jest sprzeczności z całym ży-
 „ciem człowieka — tam niezawodnie było obłą-
 „kanie umysłu. Widziałem go u siebie w lecie,
 „przed miesiącem byłem u niego, i choć nikomu
 „tego nie mówiłem zauważałem obłąkanie oczy-
 „wiste, i przewidywałem coś okropnego.

„Cóż to za dramat straszliwy odgrywał się
 „w jego duszy, jaka walka! pasował się bowiem
 „z obowiązkami względem kraju, z tak silnie
 „ugruntowaną w sobie religią, i z tém przywią-
 „zaniem do żony i syna, które tak gorącemi te-
 „raz się okazały. Wiedział że czyn haniebny
 „spełnia — spełnił go przecie! Aby pojąć czyn
 „podobny w takim człowieku, trzebaby pojąć
 „wprzód ten stan duszy nadnaturalny, gdzie sa-
 „mo życie jest chorobą; istnienie ciężarem nie-
 „znośnym; śmierć potrzebą. Choroba tak mo-
 „ralna jak fizyczna, gdy do najwyższego dojdą
 „stopnia, zarówno śmiercią kończyć się muszą
 „obiedwie, i żadna nie jest samowolności skutkiem.
 „Ludzie potępiają podobne zgony, i słusznie czy-
 „nią; ale Bóg lepszy i litościwszy od nich, czę-
 „ściej niż myślą, przebaczy.

„Z największym namysłem przygotowywał

„wszystko do téj śmierci. Dziwna rzecz, że za-
 „wsze podobne przygotowywania noszą cechę nie-
 „szczęsną najzimniejszego rozsądku i rzadkiej prze-
 „zorności i ogłędności na wszystko. Urządził
 „majątek, porobił legaty znaczne dla dobra pro-
 „wincyi naszég; żonę, syna, o stanie wszystkiego
 „zawiadomił. Zakończył sprawę Pomników*) przez
 „wymazanie napisu. Mówią bowiem iż późniéj
 „oświadczył, że się przekonał o swoim błędzie,
 „nie dobrze wszystkie dokumenty odczytawszy
 „wprzód. W wilié śmierci był na wielkiém na-
 „bożeństwie w tumie poznańskim; zrobił testa-
 „mentowe ostateczne odmiany i wrócił 20 stycznia
 „do Rogalina z synem, z którym był jak najle-
 „piéj. 21 rano wyjechał wpół do 8még na wyspę
 „Zaniemyśła, gdzie to kiedyś tak uroczyście mnie
 „przyjmował i illuminacyą i wodną walką i wy-
 „borem licznych gości. Wstąpił do Mechlina, wsi
 „swojég, dla zakończenia rachunków, co najprzy-

*) Miał zatargi o położenie swego nazwiska na pomnikach Mieczysława i Krobrego, króre zrobione były ze składek. Aczkolwiek summa, którą on z własnéj kieszeni wyłożył, o wiele przachodziła te składki — jednakowoż przyznał sam, że mu nie służył tytuł fundatora.

„tomniéj odprawił. Prosił tylko komisarzowég o
 „świecę woskową i z przyniesionych najdłuższą
 „wybrał i pojechał do Zaniemyśła. Tam przy-
 „bywszy i obejrzawszy kościół świeżo przez siebie
 „zrestaurowany i upiękniony, wszedł do proboszcza,
 „zamknął rachunki dotyczące się rzeczonég restau-
 „racyi; zjadł doskonale obiad, wypił kawę i we-
 „zwał kapłana aby z nim szedł na wyspę. Przed
 „odejściem jednakże oddał mu do przechowania
 „szkatuleczkę z kluczykami. Poszli wreszcie, lecz
 „gdy przybyli na jezioro, zatrzymał się, mówiąc
 „że po śliskim lodzie mógłby się proboszcz oba-
 „lić, i kazał wprzód ścieżkę wysypać piaskiem.
 „Przyszedłszy na wyspę prawdziwie uroczą, za-
 „czął opowiadać o przyjemności tego miejsca. Na-
 „koniec pyta się proboszcza czy prochu dostanie
 „w mieście a dowiedziawszy się że dostanie, po-
 „słał kupić — gdy go przyniesiono, zaczął (jak
 „to zwykle czynił) z będącég tam armatki strzelać.
 „Pożegnał nakoniec księdza który odszedł, niechcąc
 „panu hrabiemu, zapewne mającemu jakie zatru-
 „dnienie przeszkadzać. Został stróż i dziewczyn-
 „ka. Stróża wyprawił do rąbania lodu; mała
 „tylko dziecina została. Dał jég tę świecę do
 „zapalenia w kuchence; a tymczasem nabił kulą

„22 funtową dość długą armatę. Dziewczynka „przynosi świecę — gaśnie; przynosi powtórę „gaśnie; po trzecie — gaśnie. Wówczas niecier- „pliwi się i każe ję otulone przynieść światło; „co też uczyniła. Odebrawszy je, posłał dzie- „wczynkę z listem do proboszcza, przepraszając „go za bezecny postępek, którym plami ziemię „jego parafii. Ostatnie wyrazy listu były „Przepuść „mi Boże!“

„Dziewczynka poszła, a on do długiej laski „przywiązał świecę zapaloną; klęknął przed dzia- „łem, twarz do wylotu kuli obróciwszy, proch „zapalił przedłużoną świecą -- działo strzeliło — „i roztrzaskało mu zupełnie głowę, tak że i śla- „du ję nie zostało. — Ksiądz słyszy strzał — „leci z ludźmi... już po wszystkim!

„Chciał z nim Rogier (syn) koniecznie i ko- „niecznie jechać na wyspę; ale że wtenczas miał „katar, więc mu i ustnie i karteczką zostawioną za- „kazał. Dodano mu raz na zawsze sekretarza „który go nigdy nie odstępował; lecz i tego zmu- „sił do pozostania we wsi, gdzie wziął świecę, i „dał mu do kopiowania papiery. Mimo surowego „zakazu przyjechał za nim sekretarz na wyspę,

„lecz oddalony został; a gdy trzeci raz wrócił, „już było zapóźno.

„Dano znać do Rogalina — czego ci już opi- „sywać nie trzeba, i nie umiałbym.

„W szkatulce złożonej u proboszcza, były „listy zostawione do żony, do syna.... Żonie „dziękuje za dwudziestokilkoletnie szczęście, i do- „daje że nie chcąc ję unieprzyjemnić żadnego „zakąta ulubionego, wybrał o dwie mile wyspę, „do której, choć tak pięknej, zawsze jakiś wstręt „czuła.

„Synowi pisze, że nie tak nie ukochał, jak „jego, religię i ojczyznę — lecz widzieć (mówi), że „źle kochał, kiedy tak haniebnego dopuszcza się „czynu. O drogi synu! nie bierz ze mnie przy- „kładu; mnie coś zadławia, dusi, zmusza... Nie „mam prawa dawać ci teraz rady; nie mam pra- „wa błogosławić ci! Czytaj Bossueta, Atanazego, „Augustyna — oni powiedzą ci wszystko lepiej, „oświecą dokładnie. Przepraszam, że cię ostro „trochę chował i zmuszał do przeciwnej ci nauki „prawa. Moje wychowanie skłaniało mię do tego. „O wierz! proś! ja koniecznie potrzebuję do eks- „piacyi modlitwy wierzącego!...

„Miał on wprawdzie nieprzyjemności różne,

„do których lub sam przez dziwactwo dawał po-
 „wody, lub téż zwykła zazdrość ludzka były przy-
 „czyną. Nie te przecież nieprzyjemności były po-
 „wodem obłąkania, choć czasem cierpiał, był prze-
 „cież zawsze wyższy nad nie. Obłąkanie jego
 „pochodziło z organizacji wewnętrznej.

....„Przy końcu mawiał, iż poznaje, że świat
 „się jakąś wielką siłą odradza, i że wszystko no-
 „wą przybrać musi postać.... Wychodził przed
 „dom w Rogalinie, zdało mu się, że Warta go
 „zalewa, że mu ręce, nogi ucinają, że krew go
 „otacza, zalewa. Dziesięć dni przed śmiercią
 „biedna wdowa w Poznaniu przyszła go prosić o
 „pomoc dla siebie i dzieci mnogich. Dał jój kar-
 „teczkę do kasy swojej. Wdowa zeszedłszy ze
 „schodów, czyta i widzi asygnację na 200 tala-
 „rów z dodatkiem: do zapłacenia po mojej
 „śmierci. Wraca więc i mówi biedaczka, że
 „umrze z głodu nim co na tę kartkę dostanie;
 „wreszcie że i ona i tyle biednych prosi o jego
 „życie, że żyć będzie i żyć musi. Raczyński
 „opiera się, mówiąc, że wkrótce ją dojdzie ten
 „fundusz, bo już wnet umrze; w końcu zmięk-
 „czony łzami biednej, dał rozkaz zaraz wypłacić.

„Co rok na ubogich, jak się pokazało, dawał 50
 „tysięcy złoytch.

„W Poznaniu, jakiegokolwiek kto koloru,
 „wszyscy jeden żal czują i wyrażają. Żałoba
 „powszechna. Ja się tém pocieszam, żem się na
 „miejscu przekonał, iż co zrobił, zrobił z obłą-
 „kania zbyt mocnego. Inni, którzyby zmalić go
 „chcieli, będą ten czyn przypisywać pewnym za-
 „targom, które miał w Poznańskim.... Gdybyś
 „do Zygmunta (Kraśińskiego) pisał, powiedz, że
 „dowiodłbym mu, iż śmierć ta była śmiercią hra-
 „biego Nieboskiej komedyi.“

Do Kajet. Koźmiana pisał w téjże materji:

„List twój pełen żalości po Raczyńskim ode-
 „brałem. Pewien byłem, że w najdalszej głębi
 „serca zabojejesz nad tą stratą, bo jest niepo-
 „wetowana. Istotnego stanu jego duszy, téj stra-
 „szliwej prawdy, niedoczytamy się, chyba w
 „otchłani wieczności, czas jój nie wytłumaczy.
 „Pojmuję zgony samowolne Katonów, Brutusów;
 „ten zaś, choć nie znaczeniem, ale tajemniczością
 „swoją jest daleko od nich wyższy i ztąd dla nas
 „niepojęty; bo jakże tyle cnót zgodzić ze zbro-
 „dnią, tyle nadziei z rozpaczą; tyle wiary z jój
 „podeptaniem; tyle mocy nakoniec duszy, z taką

„jój słabością! Ale ty mój drogi przyjacielu za-
 „śpiewałeś przytém *Requiem* i dawną twoją piosnkę
 „na wiek obecny. Wiek starą stodołę obala, ale
 „nie tęgiej wiary i duszy człowieka. Nie poni-
 „żajcie go przebóg tak dalece, aby dla uszczy-
 „pnienia czasem jego miłości własnej miał się
 „zabijać. Zresztą daj Boże każdemu tak powsze-
 „chnym szacunkiem i rozległą, europejską cieszyć
 „się sławą. Miał dość nagrody najszlachetniejszej,
 „czémże przy niej było kilka lichych frazesów
 „liczego pisma peryodycznego Tygodnika, które
 „w niedostatku wartości literackiej uciekło się do
 „potwarzy. Gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie,
 „na każdej twarzy widział wyraz szacunku, nawet
 „u nieprzyjaciół; gdziekolwiek zaczytał się, czy
 „w gazetach, czy w literackich pismach o postę-
 „pach naszego zakąta, wszędzie widział swe imię
 „podniesione. Piszę ci to wszystko, aby żal nasz
 „po tak zacnym mężu nie wziął złego kierunku.
 „Oskarżanie drugich nie tylko byłoby niesłuszném,
 „ale i jegoby tam bolało zapewne... Biedny to
 „ten wiek! co się tylko złego robi, jużci jego
 „w łeb. Ile pamiętam, zawsze na kogoś zwalano
 „wszystkie winy. To na Jezuitów, to na rewo-
 „lucję francuską, to na filozofów, to na farma-

„zonów, to na arystokrację! to na Hegla. Cie-
 „kawy jestem komu dostanie się po tym biednym
 „wieku!... Żegnam cię mój drogi przyjacielu,
 „i choć się w tym wieku zrodziłeś, w tym wieku
 „wstawiłeś, i w tym wieku wydałeś nam syna i
 „wnuki, przecież cię kocham i do zawarcia po-
 „wiek kochać będę. Bądź zdrow, a nieważ się
 „chorować na kamień, lepiej już na wiek choruj
 „i na niezgrabne pismaki.“

W każdym niemal liście, to do ojca, to do
 syna, Koźmianów, jest jakaś uwaga o wielkim
 poemacie bohaterskim: Czarniecki, nad którym
 pracował Kaj. Koźmian. Podobnie jak dawniej,
 gdy pisał *Ziemiaństwo*, Morawski podsuwał
 mu obrazy pełne poezji, które radził wpleść w
 dzieło — tak teraz znowu o Czarnieckim radzi,
 podbija ducha, dodaje zapału. Oto jeden z takich
 ustępów.

„Puszczenie okrwawionego białego konia dla
 „omylenia Szwedów, bardzo szczęśliwe, bo widzę
 „jak na widok tego konia, Szwedzi upędzają się
 „za nim, jakby w nim cała była potęga wojska
 „i narodu; jak się prześcigają po tę zdobycz ula-
 „tującą w koło, i żołnierze i wodze i krwi kró-
 „lewskiej książęta, i jak trudno im schwytąć tego

„rumaka, na którego zjawisko płoszą się Szwedów bieguny. Mówisz, że ci już nie dostaje treści na epizody — pocóż zawsze epizody? „Jeśli ci brakuje treści na chwilę, lub lękać się „zaczynasz monotonności ciągłych bitew, wstrzymaj „się nagle, zwróć oko w tył za Czarnieckiego, i „maluj, co się dzieje w ziemiach już przez oręż „jego oswobodzonych, po dworcach, chatach, łanach, świątyniach, grodach; jak wszystko budzić „się i zrastać zaczyna w społeczności naszej; jak „krew przelana bujności łanom dodaje, jak miliony prośb i modłów popycha go naprzód, jak „wszystkie twarze, serca i samo niebo się rozjaśnia nad krajem już wyswobodzonym, jak jeńce „nad zamkami naszymi pracują; dodaj co się w „sumieniu ospalców i zdrajców pozostałych dzieje; „co w ponurém sercu Rakoczego; ile przyjaznych „oświadczeń dworów zagranicznych; ile w magnatach żądzы korzystania dla siebie z nowych zwycięstw; dodaj wreszcie — i na cóż te wszystkie „boje były — po co tyle krwi i łez wylanych — „po co te napady i zniszczenia? Otóż co po nich „zostało! Przekleństwo więc najeźdźnikowi! grom, „grom twoim orężem Czarniecki! i tak nagle „znowu przerzucisz się do niego. Oto masz epi-

„zod godny poety i filozofa. Nie trudno ci wystawić sobie, jak wszystkie dworce i zamki przoyzdabiają się wyobrażeniem Czarnieckiego, jak „imieniem jego brzmi cała Rzeczpospolita; jak „działki w zabawach swoich udają po wsiach i „miastach jego boje i zwycięstwa. Ileż to obrazów, ile barw, jaka różnaitość w podobnym epizodzie związanym z całością i z całości wypływającym. Możesz i córę jego gdzieś wystawić, „otoczoną hołdem narodu, niosącą ulgę i wsparcie wdowom i sierotom wojowników, jeńcom i „Szwedkom zabranym. Szczerze cię do tego namawiam, pół pieśni, nie więcej, temu poświęcić. „Zawsze to będą Czarnieckiego zwycięstwa czyny; „zawsze to on będzie działał.... Dodasz nowego „życia poematowi i nie zawsze samego Czarnieckiego będziesz malował, lecz i lud, dla którego te cuda działa, a który z tego powodu „godzien jest oddzielnego obrazu. Jeśli ci to nie „przypada do smaku, coby mię dziwiło, napisz, „a co innego wymarzę.“

Morawski, jak widzimy, umiał być przyjacielem; nawet wyobraźnię poetycką oddawał przyjacielowi na usługi. Pomysły jego były bardzo trafne; czując, że epopeja, która nie miała ży-

jących w narodzie tradycji, tylko musiała być opartą na erudycji książkowej i dokumentach historycznych, nie prędko ogół cały zajmie i poruszy, chciał ją zrobić epopeją narodowych uczuć, polityki, wiary, dążeń, i przez to nadać jej wiecznie żywy interes. Nic innego nie zrobił Wirgiliusz w swojej Eneidzie. Koźmian poszedł za jego radą i radami Zyg. Krasińskiego, i nie aparatem historycznym, ale uczuciami polskimi uratował swego Czarnieckiego, że nie można go nazwać wierszowaną historią, tak jak nazywamy Twardowskiego, Wojnę kozacką, Władysława IV. i inne tegoż rodzaju poemata.

Jeżeli sobie przypomnimy, rok 1845 objawił się ruchem kwestyi religijnych w Niemczech. Morawski zwraca na to uwagę i pisze postrzeżenia swoje K. Koźmianowi:

„U nas tu w Księstwie cicho i spokojnie; „po niemieckich prowincjach pełno marzeń, żądań „i krzyków. Gazety niemieckie, bez głębokiej „trafności i dowcipu francuskich, wyrównywiają im „śmiałością, często zuchwalstwem, a przechodzą „je w złym smaku i kłamstwie. Lecz co najgo- „rzej, że rozdmuchują żary dawnych wojen reli- „gijnych, czego nie robią francuskie. Szerząca

„się sekta tak nazwanych przyjaciół światła, ni- „czém inném nie jest, tylko maskowanym komu- „nizmem.“

Później w tej myśli donosi o dalszym przebiegu ruchu:

„Upadają nieco swary religijne w skutek mą- „drych rozporządzeń rządu, aby nowatorowie*) „czyli twórcy, redaktorowie nowych religii, które „przez gazety apostołują, siedzieli u siebie i bez „pozwolenia nie wyjeżdżali, co u nas jest bardzo „silnym krokiem.“

W Poznańskim zaczął wychodzić Przegląd, pismo miesięczne wydawane przez Jana Koźmiana, mające dążność katolicką. Morawski oddaje słuszną pochwałę pismu, które na najtrwalszym fundamencie chciało oprzeć rozwijanie się kultury narodowej, i zapowiada mu powodzenie. Atoli jednocześnie zakłopotany jest polemiką, toczącą się po pismach o Jezuitów i nie chcąc wyrokować o nich bez znajomości rzeczy, udaje się do Kaj. Koźmiana, aby jako dawnych czasów pamiętny, oświecał go w tym przedmiocie.

„Od niejakiego czasu — pisze on — nie wiem

*) Ronge i Czerski.

„dla czego wszczęła się u nas polemika o Jezuitach. Jedni utrzymują, iż przyczynili się do upadku kraju, drudzy im ocalenie jego przypisują przez odparcie reformacyi. Radbym wiedział twoje zdanie w téj mierze. Podług mego mniemania, obie strony nie znają dość historyi i ztąd obie przesadzają. Prawdą jest, że historia 18 wieku skrzywiła wiele faktów dotyczących się ich zakonu, ale teraz znowu ich wielbiciele na drugą stronę krzywią ich dzieje. Już w tém jest postęp nie mały, że kwestya ta w naszych czasach zaczyna być na seryo traktowaną, choć nie bez obustronnej namiętności jeszcze, tak trudnej do wykorzenienia. Tyle o nich piszą, że nie łatwo jest ukształcić sobie ostateczne zdanie. Sądzę więc, że dopóki rzecz rozjaśnioną nie będzie dostatecznie, aż do czystej prawdy, póty człowiek roztropny może i ma prawo pozostać przy powszechnie przyjętej opinii, która Jezuitów potępiała dotąd. Aby dojść do prawdy, trzeba odpowiedź przygotować na cztery pytania:

„1sze czy idea główna ich instytucyi nie jest antysocyjalna? 2gie jaka była rzeczywiście historia ich zakonu? 3cie jakie powody do ich skasowania? 4te jaka potrzeba ich przywrócenia?

„Po takiem więc wyjaśnieniu można wyrokować śmiało. Niezapomnij więc w pierwszym liście przesłać mi twój sposób widzenia, który może mi się tu przydać przy nadanej okoliczności.“

Niewiem jaką autor Czarnieckiego dał na te pytania odpowiedź; to jednak pewna, że sąd bezstronny o Jezuitach tylko wtedy będzie możebny, gdy zakon ten całkiem zniknie, dotąd bowiem namiętności w grę wchodzące niepozwalają wydać bezstronnego sądu. Zresztą zakon ten był tak z życiem katolickiego kościoła związany, że trudno wymagać od tych, co i téj instytucyi radziby podrzędne nadać miejsce w historyi, aby o synach Loyoli mogli nie namiętne zdanie otworzyć.

XII.

Nie ma prawie jednego listu w zbiorze wzmiankowanych korespondencyi, aby Morawski nie wyrzekł jakiego słowa o książkach, które czytał, czy to w obcym, czy ojczystym języku. Zdania jego acz ogólne, bo w szczegółowe nie wdaje się rozbiory, pisząc pobieżnie — mają przecież wiele trafności; w kilku słowach streszczona jest wartość dzieła i pokazuje wytrawnego znawcę. Z li-

stów jego możnaby ułożyć kronikę krytyczną dzieł wychodzących przez ciąg lat trzydziestu; jednak w tej korespondencji jaka mi służy do niniejszej monografii nie spotkałem się z ocenieniem tak wysokich utworów jak: *Marya Malczewskiego*, *Nieboska komedia*, *Irydyon*, poezye *Bohdana Zaleskiego*, *Słowackiego Beniowski*, i wiele innych. Zdaje się, że pisząc do przyjaciół będących mieszkańcami Królestwa, unikał mówienia o dziełach srodze zakazanych, zostawiając sobie wolność pomówienia o nich za widzeniem się. Wszakże w listach do osób mieszkających w Poznańskim, osobliwie do krewnych swoich, rozpisywał się szeroko o niektórych dziełach przychodzących z emigracji. I tak w r. 1845 pisał do jednego z nich o prelekcyach *Mickiewicza*, list następującej treści:

„Odsyłam ci czwartoletni kurs *Mickiewicza*. „Szkoda, że przy takiej jeniałości tyle dziwołagów. Nie myśli, ale jakieś nawały z hukiem „i gromem przepędził mi przez głowę. Nie jestem „zdania powszechnie głoszonego, że autor cierpi „pomieszanie. Jest pewien związek w wywodach „jego, często trafność, głębokość i wyższość sięgania, choć jądro fałszu wśród złotych nici osnu-

„cia, widoczne. Tułają się, płaczą pomysły, a taki „nieporządek w szykowaniu, taka pycha, żądza „twórczości i lekkość wyrokowania, najświętsze zabijająca rzeczy, że niewiedzieć jak to nazwać, „z czém porównać i co z tego wyciągnąć. Wyrażnie nie chciał pomnieć, co kościół przez 1800 „lat zdziałał; nie chciał wiedzieć, że kościół ten „jest na ziemi i ludzie w nim rządzą; żąda od „niego niepodobnych rzeczy, intuicji, cudów „ciągłych, które tylko Bóg sam przez ten kościół czynić może i kiedy mu się podoba. Nie „umiał dojrzeć, że istnienie tego kościoła nigdy „w dogmatach niezmiennego i wszystko w końcu „zwalczającego, ciągłym jest cudem. Chciałby on „wlać w kościół tę dumę, która jego samego rozżarza, a gdy to niepodobna, chciałby w skutku „tej dumy sam zostać twórcą tego kościoła. Mógł „on słabszą jego stronę w ziemskiej części z pokorą, chęcią podwyższenia, ugodnienia kościoła, na „jaw wystawić; ducha członków jego wzbić wyżej; letniość wiary kapłanom wyrzucić. Czyniono „to już przed nim; lecz właśnie że czyniono, nie „chciał cudzej sławy powtarzać, chciał być twórcą swą własną. Kościół nazywa urzędowym „i niby na śmiech i wzgardę wystawia go, a prze-

„cież ten sam Chrystus, którego on nauki broni
 „tak gorąco, powiedział kościołowi: że Duch jego
 „zawsze z nim będzie! Jakże to zgodzić tę nie-
 „omylnność słów boskich z kościołem, co tylko jest
 „urzędowym?

„Ze smutkiem, rozdarcie duszy, czytałem
 „tę aberrację tak potężnego umysłu; zapłakałem
 „sercem, że takie obelgi z ust polskich wyszły;
 „ale położywszy wreszcie książkę odczytaną, po-
 „znałem po krótkim namyśle wątpliwość tej budowy
 „nowo-babelskiej; poznałem, że to nie bramy pie-
 „kielnie wzruszyły się z swych posad, ale gwoź-
 „dzik tylko jeden z nich wypadł i tocząc się po
 „brukach szatańskich, tyle hałasu narobił. Dla
 „tego tylko ta część jego prelekcyi została tak
 „głośną, że jest śmiałą aż do zuchwałości, poe-
 „tyczną w wyrażeniach i dziełem Mickiewicza.

„Powiedziałem z początku listu, że nie do-
 „stał pomieszczenia, ale podług mojej intuicji do-
 „stanie go niezawodnie. Wszedł do emigracyi, do
 „której nie miał prawa, bo się nie bił za ojczy-
 „znę, piosnki nawet jednej dla niej w czasach boju
 „nie zanucił — a teraz nietylko z kościoła, ale
 „z rzymsko-katolickiej Polski, z rozsądku nawet
 „wymigrował.“

Zabolało serce generała na to odstępstwo,
 w którym widział nowy dopust na nieszczęśliwą
 Polskę, i niezłorzeczając autorowi, wzniósł się do
 wyższego uczucia — i taką za nim napisał mo-
 dlitwę:

Boże przyjąć racz
 Całój Polski płacz.
 Wstrzymaj groźny sąd
 Na Adama błąd,
 Co w tak sporny bój,
 Wyzwał kościół twój,
 Podnieś nad nim krzyż,
 Dumę jego zniż;
 Zeszlij wiary dar,
 Zgaś nieczysty żar;
 Niech się wzniesie z win
 Śławny Polski syn!
 Boże przyjąć racz
 Całój Polski płacz!

Panie! brat to nasz,
 Serce jego znasz.
 Łatwo zbłąka szal
 Pychę wielkich chwiał.
 Lecz niech Twoja dłoń
 Grzeszną dotknie skroń;
 A tam przed tron Twój
 Taki tryśnie zdroj,

Takich żalów jęk,
 Takięj pieśni dźwięk,
 Że z podniebnych chmur
 Twych aniołów chór
 Święty słysząc rym,
 Hymn swój zleje z nim!
 Boże przyjąć racz
 Całej Polski płacz!

Zwróć go Panie, zwróć,
 Okiem ojca rzuć,
 Maż ten wzniosły dąb
 W taką runąć głąb?
 Maż ta gwiazda spaść
 Z takim wstydem zgaść?
 Boże, przez twój cud
 Pociesz biedny lud;
 Już on tyle mąk
 Z Twoich przyjął rąk;
 Starych zbrodni pył
 Krwią i łzami zmył;
 Codzień nowy jęk,
 Codzień kajdan brzęk,
 Codzień wyższy grób,
 Do twych sięga stóp!
 Boże przyjąć racz
 Całej Polski płacz!

Piękny ten wiersz był drukowany w Prze-

glądzie Poznańskim. Autor, jak tyle innych swoich, nieraz bardzo cennych utworów, rzucił go mimojazdem na końcu listu z zastrzeżeniem: te wierszydła tylko dla ciebie, i organisty i dla mnie.“ Odświeżając go czytelnikom, czynię to w intencji, żeby odsłonić nową stronę jego duszy, która w cichości zanosila modły za nawrócenie wieszcza, uważając to za skuteczniejszy środek, niż otwartą polemikę, któraby może zajątrzyła tylko, a nie naprawiła skrzywionęj dążności. Mąż gorącej wiary wołał ufać modlitwie niż argumentom, które choćby najgruntowniejsze, w pewnych chwilach zawrotu, nikogo przekonać nie zdołają.

Kiedy wyszedł Listopad, romans Henryka Rzewuskiego, tak opisał wrażenie swoje po przeczytaniu tego dzieła:

„Autor Listopada jest zapewne z piszących „prozą, najwięcej utalentowany, i dzieło całe zna „komite, warte co rok nowego odczytania. W trze „cim czyli ostatnim tomie upadła przecież wysoka „jego zdolność. Charaktery, oprócz jednego, do „końca utrzymane; tło czasu z prawdą wystawio „ne; interes żywszy niż w tomach poprzedających, „a przecież tom ten daleko niższy od poprzednich. „Každy poeta lub romansopisarz powinien sam

„kwiat swojej treści wybrać, czyli to, co ma naj-
 „więcej poezji, w obrazach dramatyzować,
 „uwydatnić w akcji. Tych scen najgłówniejszych,
 „najpoetyczniejszych, opuszczać mu niewolno; nie-
 „wolno ich do opowiadania zniżać, lecz ko-
 „niecznie w akcji wystawić je trzeba. Co ma naj-
 „więcej dramatycznego i poetycznego w
 „sobie treść jaka, to też najszersze miejsce
 „zabierać powinno w dziele. Wszystko to są wa-
 „runki sztuki, od których odstąpić nie można bez-
 „karnie, i żaden prawdziwy geniusz nie odstąpił
 „od nich. Zobaczmy co autor zrobił, czy histo-
 „rya sama nie jest poetyczniejszą od jego poe-
 „matu? Autor krótkiem opowiadaniem zbywa por-
 „wanie wśród Warszawy króla, a przecież był to
 „czyn nadzwyczajny, przewracający całego narodu
 „i wyobrażenia i porządek społeczny. W téj to
 „niesłychanej odwadze konfederatów, w tém prze-
 „ściu nagłym króla z szczytu godności najwyższej
 „do doli jeńca wleczonego przez pola i lasy —
 „mieści się właśnie najwyższa poezja. Wiemy z
 „historji o zasadzkach, o przechowywaniu się kon-
 „federatów tak długo śród stolicy; o śmierci sługi,
 „osłaniającego swego króla, o opuszczeniu tegoż
 „króla w niebezpieczeństwie przez innego Ponia-

„towskiego; o skutku wieści téj rozgłoszonej zaraz
 „po stolicy; o ruchu całego garnizonu moskiew-
 „skiego; przestrachu magnatów; wleczeniu króla
 „bez trzewika i kapelusza przez okopy. Wszystko
 „to wiemy, lecz z historyi tylko, bo autor Listo-
 „pada i w tym nawet względzie nie chciał intere-
 „sownym czynić króla elekcyjnego. Cała Warsza-
 „wa u niego po tém zdarzeniu jak trup nieczynna.
 „Dobry poeta byłby okazał, jak zdarzenie to od-
 „biło się w umysłach pałacowych, w uczuciu gminu,
 „w imaginacji wszystkich warstw społeczeństwa.
 „Autor Listopada ani o tém pomyślał. Cóż mi
 „po tém, że podrzędne treści swojej obrazy pięknie
 „rozwija, kiedy główne, najpoetyczniejsze, więcej
 „niż miernie wystawia. Wywleczenie króla za
 „miasto, zbłąkanie się konfederatów w lesie bie-
 „łańskim, ta niepewność, trwoga, nadzieja, rozpacz,
 „przelatując z serca króla do serca konfederatów
 „i znowu odwrotnie; te wszystkie rozrywania się
 „na części, nawoływania po lesie; szukanie dróg,
 „gubienie; odnajdywanie króla w ciemności leśnej;
 „wszystko to stokroć bardziej zajmujące i w tylu
 „rękopisach i w Ferrandzie, niż w romansie pol-
 „skim. W dniu nawet egzekucji Warszawa ta
 „zawsze trupem u autora. Dzień ten trzeba było

„wystawić z głębszém, niespokojniejszym życiem.
 „Dzień taki powinien coś zapowiadać niepewnego;
 „nurtowanym być przez skryte spiski do odbicia
 „konfederatów. Władza stanęła groźnie z wy-
 „niesioném w nocy rusztowaniem, lecz i gorączko-
 „wy stan stołecznego ludu, powinien także wyda-
 „wać się władzą. Zbrodnia ta tylko polityczną
 „była zbrodnią; a konfederacja tylu przychylnych,
 „jak sam autor mówi, miała w Warszawie. Jakże
 „to poetyczno-groźna postać musiała być téj sto-
 „licy! Autor ją niema, głuchą i zimną zostawia.
 „Czemu nakoniec króla nie wystawił mówiącego
 „za mniemanymi królobójcami? (bo istotnie nie
 „mogli myśleć o królobójstwie zgubném dla ich
 „sprawy). Król broniący winnych przed sądem!
 „Co za obraz! Autor go odrzucił, starał się na-
 „wet znizzyć, uśmieszyć; bo to król tylko elekcyjny,
 „a tu szło o ukazanie wyższości autokratów nad
 „stworzonego przez lud władzcę. Kilka tylko naj-
 „poetyczniejszych dotknąłem obrazów. Cóż autor
 „z nimi zrobił! Godziłoż się tyle poezyi pode-
 „ptać i zniszczyć?

„Będą autorowi zarzucać, że nic nie mówił
 „o jarzmie moskiewskiem, ciążącym wówczas nawet
 „zbrojną siłą na stolicy i kraju. Ten sam zarzut

„robiono autorowi Kirgisa, że na stepach nie
 „przypomniął sobie Polski. Zarzuty te są nie-
 „dorzeczne; bo w wolnych tylko krajach czynić
 „je można wolno piszącemu. Waryatem byćby
 „trzeba, aby dla wierszy lub romansu wystawiać
 „się na Sybir i knuty; zwłaszcza kiedy już raz
 „zakosztowano goryczy wygnania.

„Inny ja i gruntowniejszy uczynię zarzut au-
 „torowi. Tak on wysoko uidealizował Zosię Stra-
 „wińską, że już ją na tym szczycie koniecznie
 „utrzymać należało, aby wiarę naszą w taką do-
 „skonalszość umocnić. Ale cóż się stało? Dawny
 „jój kochanek, któremu była przewiniła, którego
 „wszystkie zabiła nadzieje, brat męża, wojownik
 „dzielny, najszlachetniejszy, najniezwyklejszy z
 „ludzi, haniebną ma umierać śmiercią. Zdaje się,
 „że ta Zosia która tyle mu winna, ta Zosia tak
 „tkliwa, szlachetna, religijna, doskonała, coś przy-
 „najmniej dla niego w téj okropnej sytuacji uczyni;
 „a tu nic a nic. Pieści się z mężem, kłopoty jego
 „chorobą; przyjmuje księcia moskiewskiego; ukła-
 „da podróż za granicę, a żadnego czynu, żadnego
 „nawet słowa nie ma dla Michała. Jakże mam
 „autorowi twórczość wielką przyznać, kiedy z ta-
 „kiej sytuacji, z takiej duszy nic wydobyć nie

„umiał? Poświęcenia się niewiast w rewolucyi „francuskiej powinny mu być wskazać wzór, uła- „twić naśladownictwo. Ale nie — autor nic stwo- „rzyć nie umie.

„W początku mego listu powiedziałem, że „tom ten jest bardziej jeszcze zajmującym, niż „poprzednie, co przecież przy tylu wykazanych „błędach zdaje się być sprzecznością. Nie jest nią „wszakże. Gdyby autor był gorzej jeszcze ułożył „tom ten trzeci, zawsze byłby zajmującym, zwa- „szcza dla nieświadomych historyi; bo katastrofa „sama przez siebie już tak jest zajmującą i tyle „ma dramatyczności w sobie, że zawsze żywo in- „teresować musi. Lecz zdolność autora nic nie „utworzyła ku podniesieniu treści, a poezję tylu „obrazów zniszczył bez litości.

„Z wyjątkiem błędów przytoczonych wszystko „znajduję piękném. Epilog tylko nudny, niepotrze- „bny, a za niektóre przypiski wart autor.....

„Pierwsze wrażenie wylałem w tym liście. „Zachowaj go, abym z zimniejszą kiedyś krwią „odczytał.“

Niepodobna trafniej namacać tendencji Rze- wuskiego w Listopadzie, jak to w powyższym li- ście zrobił Morawski. Rzeczywiście autor tego

zbyt podnoszonego romansu nie śmiał się zmie- rzyć z wielkimi figurami i zdarzeniami historyi, żeby nie czuć się zmuszonym do przedstawienia ich z fizjonomią poetycznej prawdy, co by- ło zwróciło z drogi, którą sobie iść zamierzył. Pani Staël powiada o książkach tego rodzaju: że nie tém grzeszą, co w nich jest, lecz tém, czego w nich nie ma.

Zobaczmyż jak znowu ocenia Pamiętniki, i co mówi o literaturze emigranckiej.

„Odsyłam ci książkę. Może być, że pamię- „tniki te są prawdziwe, może też skomponowane; „bo niektóre wyrazy, jak np. odznaczać się, „nie były wówczas znane. Jest takich wyrazów „więcej. Może szlachcić jaki bywalec to skreślił „i wydukował powoli; może też sam Gaszyński. „Zgoła pamiętniki te nic dramatycznego, nic no- „wego, nic charakteryzującego wyższe indywidu- „alności nie mają. Wielkie to ubóstwo i w ob- „serwacyi natury i ludzi i w zdarzeniach. Najmniej „szego nowego światła nie rzuca na samą kon- „federację; żadnej rozmowy nawet z Washing- „tonem, słowem nic, oprócz jednej anegdoty o „Kiepskim, dość dobrej lecz już dawno zna- „nej.

„Nie wiem jak inni sądzić będą; lecz moje zdanie jest takie. Co za różnica od Paska, a zwłaszcza nieoszacowanego Kopcia! Rogowski, jest to najbiedniejsza bieda między pamiętnikami. Cóż że mi o śmierci Puławskiego kilka głał „szczegółów, i kto zaręczy, że prawdziwych, kiedy ani rozkazu dziennego z powodu jego śmierci mi nie przytacza, ani o żadnej jego pozostałości w papierach i notatach nie mówi; ani o tym, co się z pozostałymi Polakami stało. Wszyscy Amerykanie, sam nawet Washington milczą, jak posągi; ani słowa żalu po nim, ani oddania „czci zwłokom cudzoziemca, ani pocieszającej lzy „dla pozostałych. Sama nawet śmierć tak opisała, że niepodobna pojąć, jak mieli czas zsiadać „z koni i unosić trupa. Jeden szczegół o szkaplerzu zgubionym ma coś uroczystego, tajemniczego. Ale najbardziej mię to indygnuje, że Puławski będąc nadzwyczaj poetyczną figurą, co „pierwszy podniósł, zbudził naród z snu podłości „i korupcyi, a tu wystawia go bez najmniejszego „go wdzięku; wszystko zmalone, obdarte z uroku. Gdyby przynajmniej przy braku wszelkiej „obrazowości prawda coś zyskała na tym, ale „nic, nic i jeszcze nic.

„Nowy to dowód, że byle co przyszło z emigracyi, tak już ślepo chwalimy. Toż samo było „z tylu poezjami szumnemi, a nędznemi. Szczerem już straciliśmy podobną ślepą wiarę w „ukraińskie i wołyńskie płody, którym także dość „wydziwić się kiedyś nie mogliśmy. Ja dla emigrantów jestem co do literatury surowszy, niż „dla innych; bo oni mają więcej czasu do rozjaśnienia rzeczy, więcej sposobności wśród wykształconego ludu do wytrawienia siebie; więcej wolności do wydania swych myśli i uczuć, słowem, „do wszechstronnego wykształcenia siebie. Jeżeli „więc są takie mierności, jak Rogowskiego pamiętniki, tak piszący dramata, jak Słowacki, „tak siejący fałsze i historyczne i religijne jak „Mickiewicz w swoich prelekcjach — nie mogę „bez oburzenia się mówić o nich, pomimo cześci „dla ich wyższości. Niech oni tylko wiedzą jak „ich sądzimy i sądzić umiemy, a pewno na lepsze się zmieniają.“

Na nieszczęście ta umiejętność sądzenia nie dochodziła do emigracyi, która w przekonaniu, że kraj przyjmuje jej pisma literackie i polityczne jakby święte, nietykalne orakula, nie oglądała się na sąd domowy. Kto sobie przypomni

te czasy, przyzna, że tam nawet, gdzie wolno było mówić o pismach emigranckich, nigdy się nie ważono zaczepiać o ich płaskości lub niedorzeczności. Lękano się opinii tych, co mieli interes propagowania wszystkiego, co przychodziło z zagranicy. Sam Morawski widać ulegał jój, kiedy swoich trafnych uwag nie powierzył żadnemu publicznemu pismu, tylko je składał poufnyim osobom. Śmiało, otwarte i gruntownie praktyczne głosy w kraju, byłyby może zapobiegły niejednej klęsce, i zdjęły mgłę uroczą, otaczającą każdy plód emigrancki. Co więcej, emigracya tracąc na nieomyślności, sama nie myliłaby się w swoich rachubach. Zawsze były u nas utyskiwania; energii przekonau — nigdy.

Nie mogę jeszcze pominąć listu generała o poemacie ks. Hołowińskiego: Dzieciatko Jezus.

„Czytałem téż owe tak teraz głośnie poema „X. Hołowińskiego, które tak uwielbił Kraszewski, że je najwyższą i najdoskonalszą nazwał „epopeją, z którą żadna poezya terazniejsza równać się nie może. Ja znalazłem te poema najnędzniejszym i najnudniejszym, mimo kilku miejsc „szczęśliwych. Wprawdzie z podań o ucieczce i

„powrocie świętej rodziny, zebranych w ziemi świętej, i przez ojców kościoła zachowanych w ich „pismach, piękne bardzo poema dałoby się ułożyć, choć trudniejsze od wszelkich innych poematów, z powodu obrazowania nieco orientalnego, prostoty ewangelicznój stylu, a przecieź „koniecznej poezyi. Lecz ksiądz Hołowiński wszystko wziął na warsztat co tylko znalazł w tych „księgach; nie umiał zrobić artystycznego wyboru, nie miał uczucia piękności estetycznej. Kto „chce święte dzieciatko wziąć za bohatera poematu, powinien wszystkie brudy przywiązane „do człowieczeństwa odrzucić, a wszędzie bóstwem „jego przebijać, i w przeczuciach i w skąpych „bardzo wyrazach i w drobnych jeszcze czynach. „Dzieciatku świętemu naiwność tylko ludzką, dziecięcą, zostawić należy z człowieczeństwa. Autor „zaś wystawia Matkę Najświętszą piorącą pieluchychy brudne i z tych brudnych kropel spadających na ziemię, wytryskujące rośliny balsamiczne. Nie ma przytém najmniejszej poezyi słowa, „jak w przekładzie Szekspira; gdzie nigdzie „szczęśliwy wiersz lub obraz, lecz w ogóle jest „to najrozwicklejsza gadanina w krocie przystrojona rymów. Jeden tylko obraz oryginalny i po-

„etyczny w całym poemacie znalazłem, to jest „gdy Dzieciątko Jezus ubiegając się za kwiatami, „weszło na grób Jeremiasza. Mógłbym dodać i „nieszczęścia Judei; cóż, gdy tak rozwlekł, że „aż kliwio się robi. Książdz H. pięknie opisał „życie swojej matki, pielgrzymkę do Jeruzalem — „lecz poetą nie był, nie jest i nie będzie *in se- „cula seculorum*. Lecz jakże mu to wyperswa- „dować, kiedy Kraszewski zawyrokował, że jest „nim i wyższym nad wszystkich!“

Przytoczyłem ten ustęp listu, żeby pokazać, jak delikatnym smakiem prawdziwego znawcy poznał się generał na niedostatku najważniejszej rzeczy w pomienionym poemacie. Kilkanaście lat zaledwie minęło, a już o utworze tym nikt ani wspomni. Mogło być w nim cokolwiek woni nowości — atoli ta dawno ulotniła się. Tylko jedna prawdziwa poezya jest tą zaprawą, która daje życie; nieraz lada piosenka, byle z tą niebiańską zaprawą, żyje dłużej, niż sążnista epopeja.

Z powyższych kilku zdań można powziąć wyobrażenie o doskonałym krytycznym zmyśle Morawskiego, i o zasadach, z których wychodził. Pojęcia jego o sztuce nigdy nie były ciasne, dą-

żność zawsze wzniosła, szlachetna, a chociaż wiele zważał na formę, robił to z przekonania, że co pięknem jest w sobie, pięknem być powinno i na zewnątrz. Zresztą o ile był surowym dla cudzych utworów, o tyle, a może i więcej dla swoich, bo je najczęściej lekko sobie cenił. Miał on to wieczne niezaspokojenie, będące wysokich artystów udziałem, że z niczego się nie cieszą co zrobią, w czém wręcz są niepodobni do płytkiej mierności zawsze zadowolonej z siebie. Tylko ten, kto nosi w duszy ideał, może chorować na wieczne niezaspokojenie; *les difficiles sont malheureux*, powiedział Lafontaine; zwykłych ludzi nie napastuje ta szczytna choroba.

XIII.

Jeżeli szczęście domowe, do którego tak wzdychał, kwitło w Luboni, jeżeli życzenia jego spełniały się w pomyślności dzieci — to nadeszły wypadki, które serce Polaka, obywatela, zatruty niezmiernym smutkiem. Było to coś tak strasznego, tak nieludzkiego, jak zamach bratobójczy.

Wypadki galicyjskie w r. 1846 w oczach jednych mogły być zasłużoną karą, w innych strasznym ostrzeżeniem. Do tych ostatnich nale-

zał Morawski, który zawsze brał stronę wieśniaka i zżymał się na ślepotę oświeconej warstwy, nieumiejącej czy niechcącej wyłamać się z nałogowego stosunku do ludu, aby wątpliwe korzyści teraźniejszości, dla przyszłości poświęcić. Ten brak inicjatywy w najważniejszej pracy, przypłacano teraz podwójną klęską na polu socyalnym i politycznym.

Szkoda wielka, że nie ma żadnego listu pisanego pod wpływem katastrofy — jest tylko późniejszy z d. 24 maja 1846:

„Zacząłem w tym przeciągu czasu i drugi list, ale go nie posłał, bo niewiedzieć co teraz pisać można. Serca przepełnione boleścią i oburzeniem na głupstwo ostatnie, czyli raczej zbrodnię, a mówić o tém tak gorzko, nieznośnie, i może nie ważyłoby się tak wyrazów jak na-leży; lepiej więc milczyć.... Okropności już prawie wiemy, niepodobna aby i o szlachetnych czynach i poświęceniach się coś do nas nie doszło, a te w burzach więcej mają blasku i wydatności, niż w czasach pogody i pokoju. Zbrodnia jest szaleństwem chwilowym ludzkości, naturą jej pocziwość. Inaczej żaden społeczny węzeł, żadne domowe szczęście istniećby nie mogło nigdy i

„nigdzie.... U nas tu wszystko spokojnie, lecz teraz za nic ręczyć nie można, kiedy febra głupstwa tak silnie trzęsie chorych. Może też Bóg zmiłuje się i położy tamę złemu, środkami sobie wiadomymi. Skutki przecie ostatnich zdarzeń zawsze najsmutniejsze będą na długo. Uważaj tylko, że to, co dotąd zwaliśmy rozbiorem, już aż do rozkładu chemicznego postąpiło. Jakże serce nie ma się krwawić, myśl nie zczernieć!

....„Z Galicyi smutne zawsze dochodzą nas wieści, które i wy macie i może pewniejsze i smutniejsze jeszcze. *Militia est vita humanis*, jak mówią; boć z ilu to sprzecznościami w czasach naszych walczyć trzeba. Byłyć wprawdzie i dawniej okropności. Czytam teraz wiek Leo-na X. przez Audin; obok wielkości i wzrostu chrześcijańskiej cywilizacji, ileżto szkarad, beceństw! Nasze szkarady są innego rodzaju; lecz kto nie da się powodować samym wrażeniami osobistym i miejscowym, wiele także wyższych rzeczy w czasach naszych postrzeże. Trzeba przeklinać, co jest wartem przekleństwa, lecz przedewszystkiém sprawiedliwym być trzeba.“

Po wypadkach w Galicyi zaczęto i w Królestwie myśleć nad reformą włościanich stosun-

ków. Jędrzej Koźmian, z którym generał w ciągłej zostawał korespondencji, był jednym z tych, co bardzo czynnie krzatali się około tego dzieła. Kilka ustępów z odpowiedzi generała, co do tej materii, dadzą poznać, jak ją pojmował:

„Wierzę bardzo temu, co mówisz, że dla „wielu obywateli trzeba było mordów galicyjskich, „aby im otworzyć oczy, że koniecznym jest wprowadzenie nowego porządku w stosunki włościańskie; że raz już trzeba, aby bardziej bratnie i „chrześcijańskie były. Długo wczoraj z J. Z... „gadałem o sposobie oczynszowania, ale niepodobna mi było przystać na jego zasady, choć z „wielu miar światłem rozumowaniem wspierane. „U nas w Księstwie nie od nas wyszła inicjatywa „oczynszowania, i to nie przynosi nam chluby; „ale skoro raz rząd oznajmił swoją wolę, jak „najwspaniałej szliśmy torem wskazanym, przekonani, że trzeba ile możliwości wynagrodzić błędy „poprzedników naszych, że wreszcie sprawiedliwość „sama każe przyznać im pewne prawa do tej ziemi, „którą tyłowiekowym potem przynajmniej w polowie kupili, przez którą z nami jedną rodzinę, „jedno plemię składają. Podług zaś zasad pana „J... Z..., zdaje się, że z łaski tylko, z litości,

„z rachuby, a może i z obawy na obecne czasy „uczynić to wypada. Ja w chłopie coś więcej „widzę niż machinę o dziesięciu palcach. Był on „przeciw własności, koniecznie za dzierżawcami, „dla tego chyba, że dzierżawy porobił, utrzymując, że dzierżawca lepiej się rzucić będzie, niż „dziedzic; a ja i tych i tych czasem durniami a „nawet potężnemi, widziałem. My u siebie widzimy, jaki jest skutek wdzięku własności, pewności, „że dla dzieci się robi; że nikt nigdy nie wyżenie „z chaty i niwy. Boi się słusznie J... Z... rozdrabiania; wprowadzie wszyscy się boim tego; „ale czyż temu zaradzić nie można? Jeżeli kiedyś były w Polsce prawa, żeby większej własności „nad posiadaną nie nabywać, to i najmniejszość „tej własności dałaby się oznaczyć ustawami. „Oburzył się najbardziej na mnie, gdym powiedział, że obowiązkiem religijnym jest pana, jak „żebrakowi nie mogącemu pracować dać jałmużnę, „tak wyrobnikowi swemu, pragnącemu pracować „dać zarobek koniecznie; inaczej za jego kradzieże, „łajdactwa, a może i zabójstwa przed Bogiem „będzie odpowiedzialność. Są chwile, lata tak „głodne, że choć wyrobnik zawsze ma pierwszeństwo „do zarobku, przecież i oczynszowanego chłopą po-

„życzką, zarobkiem, wspomagać jest koniecznością,
 „jeżeli chcemy rościć sobie prawo do nazwy chrze-
 „ścian. Zaprzeczał mi tego zupełnie, mówiąc, że
 „taka n. p. Ordynacya ma sto tysięcy chłopów,
 „a więc codziennie sto tysięcy złotych dawaćby mu-
 „siała. Jam mu na to odpowiedział, że kto ma
 „taki ogrom majątkowy, zawsze kapitału obroto-
 „wego przynajmniej dwa lub trzy miliony mieć
 „powinien, który w takich przypadkach uratować
 „jedynie zdolny. Powiedziałem dalej, że nie może
 „być wsi skończonej kiedykolwiek, a tém bardziej
 „ordynacyi, a więc melioracya zawsze jest do
 „przedsięwzięcia, i wracająca koszta z procentem,
 „byle rozsądnie wybraną i skuteczną była.
 „Dodałem wreszcie, że kto chrześcijańskim obo-
 „wiązkom pana we wsi swojej nie jest zdolny
 „odpowiedzieć, nie powinien przez sumienie wsi
 „posiadać. Kocham i szanuję bardzo J... Z...
 „i wiem, że nie jest z tych ludzi, *qui voudroit*
 „*faire une bonne affaire*, zyskać na oczynszowaniu
 „— ale nie widzę w nim tego przekonania, uczu-
 „cia obowiązku, że jeżeli bez ofiar nie da się
 „rzecz zrobić, ofiary te uczynić potrzeba. Prędkiej
 „on zrobi tę ofiarę, niż przyzna, że ją zrobić jest
 „obowiązkiem. Zawsze ta nieszczęśliwa łaska i

„rachuba! Jeżeli można bez ofiar, tém lepiej; u
 „nas w Poznańskim niepodobna było. Piątą część
 „majątków wszyscy stracili; lecz ją wkrótce le-
 „pszym porządkiem i oszczędnością i dokładniejszą
 „gospodarką odzyszczą. Starajcie się, aby wilk
 „był syty i koza cała. Mnie tylko o to idzie,
 „aby uczucie sprawiedliwości było pobudką, a nie
 „rachuba zimna, ani duma łaski, ani podłość
 „trwogi obecnej. Mówisz, że radzić się mnie za-
 „myślasz. Żlebyś bardzo trafił, bo ja nie znam
 „historyczności tego aktu w Księstwie; rzecz już
 „oddawna gotową zastałem, dopełniłem ją tylko
 „szerzej i zgodniej z życzeniami gminy. O taksach
 „więc, ustawach, nic nie wiem; bo już mi to po
 „skończonej rzeczy niepotrzebne. Z powyższej ro-
 „zмовy, jak łatwo zrozumiesz, nie mogłem być
 „kontent. Rachuba angielska — kiedy u nas na
 „co innego, na położenie i historię patrzećby
 „należało.“

W kilka miesięcy później, kiedy projektowane reformy włościańskie w Królestwie skończyły się prawie na niczym, tak pisał:

....„Tyle przykładów dobrych, groźnych do-
 „koła — a nic nie pomogą. Za cóż Bóg ma bło-
 „gosławić?! Serce moje radowało się u was przy

„naradzie o włościanach, nigdy milszego uczucia „nie uniósł w sercu — jakże więc boleśnie, okrop- „nie boleśnie, i tego jeszcze doznać zawodu! Sza- „nuję bardzo pana J. Z... ale w téj sprawie jest „to demon prawdziwy. Czemu nie da drugim „lepiej zrobić niż on? Zresztą nie trzeba było „wielkiej wymowy i silnych argumentów, aby na- „szych właścicieli przekabacić, na drogę łatwiej- „szych i starych zwrócić korzyści. Grubo i sze- „roko leży przekleństwo na nich. Jedna myśl, „jedno pocziwe uczucie, mogło je odrzucić na „zawsze. Nie wiem co już pomoże, kiedy odor „krwi nie pomógł. W takich umysłach i sercach „myśl odkupienia nigdy urodzić się nie może. Ze „wszystkich ciosów ten jest najsroższy, bo własną „zadany ręką. Nie wiem co uczynisz przez wzgląd „na okoliczności; ale wiem i to mocno, jasno i „głęboko wiem, że jeżeli tylko możność dozwoli, „dasz przykład wytrwałości w lepszym, zapracu- „jesz tak na dobre, jak drudzy na złe, na stratę, „jak drudzy na korzyść mniemaną. Mój ojciec „był tu pierwszy, który wszystkie w dawnych „czasach daremszczyzny i nadużycia skasował; pa- „miętam wróżby, groźby i szyderstwa. Nie dał „się niemi zatrzymać. Nie doczekał zupełnego

„uwolnienia włościan, ale pamięć pocziwą zоста- „wił na ziemi, a w niebo uniósł zasługę chrze- „ścianina. Nietylko na placu bitwy trzeba Czar- „nieckich!

...„Nic mi nie donosisz o kraju, z którego „wracasz (z Galicyi) a przecież to kraj Radklifów, „Dumasów. Dramat tameczny ledwie za dwa wieki „będzie cały wypowiedzianym. Zbliżamy się do „okropnej rocznicy tylu mordów. Daj Boże! aby „sroższe jeszcze zbrodnie nie zatarty ich pamięci. „Chciałbym głosem gromu zagrznieć w uszy „naszej szlachty; lecz ona ma oczy, a nie widzi; „uszy, a nie słyszy. Kiedy jedna ślepotą u ludu, „druga u młodzieży niedowarzonej, trzecia u wła- „ścicieli wiosek, nie ma słońca, któreby taką noc „rozjaśniło! Jak dobrze, że w takiej chwili nie „ma Jaksów, boby i niemi weselić się było zbro- „dnią. Szczęśliwe czasy! gdzie największą u nas „szkaradą był wiersz głupi.“

Jak przewidującemi były uwagi Morawskiego o uwłaszczeniu włościan, niepotrzebuję powiadać; sprawa ta w ówczas rozstrzygnięta, nie byłaby się rozstrzygła w sposób gwałcący prawo wła- „sności jak to dzisiaj widzimy.

XIV.

Po zmartwieniach publicznych znowu zabłyśnął promień błogosławieństwa nad domem wielko-polskiego wieszczu... Życie nasze przewija się jak różnobarwna wstęga, raz uśmiechem, raz łzami, nadzieją i smutkiem, pogodą i burzą, szczęściem i niedolą. I w życiu poety-żołnierza-rolnika, tak samo bywało. Po tęsknotach wygnania, po wstępnym trudach gospodarnego zawodu, błyska mu pociecha w postanowieniu córki; znowu po krwawej burzy co wybiła tyle nadziei na łanie Ojczyzny — zaświeciło mu szczęście syna.

O jakżeż on odmłodził, ile życia i ognia mu przybyło, kiedy pisał następujący list z Reinertz pod d. 28 lipca 1847 r.:

„Dziwne zdarzenia! Sztafeta zatrąbiła mi „przed oknem. Otwieram — Tadzio otrzymał „rękę panny Zofii Taczanowskiej. Zadrzałem pod „piorunem szczęścia; bo tylko z Ojczyzną mógł „być być szczęśliwszy! Wsiadam na pocztę i „jakby ów duch w Manfredzie pędzący na nawałnicy, „spadłem tu w Reinertz. Cóż to za nieoszaczane „dziecie. Może wybór syna tyle jej wdzięku „dodaje, ale gdyby i obcą mi była, raz ją ujrza-

„wszy, marzyłbym ją mimowolnie. Tak daleko „jak Pireneje od Himalaj, jak twój ojciec (Kaj. „Koźmian) od Słowackiego, jak pan Michał od „Hegla, tak daleką ona jest od waszych lwic „warszawskich. Raz ją ujrzawszy, nie podobna „nie uczuć pociągu do uważania jej niepospolitości, do wuczenia się w nią, jak mówią Niemcy. „Wzrok ma istotnie najpiękniejszych Madon. Do „bra dziecinną dobrocią, mało świata znająca, „zwłaszcza z czarnej jego strony. Naiwna, czuła, „jakaś smętność całą jej postać owiewa. W życiu „mojem nie widziałem tyle prostoty i prawdy. „Syn mój gorąco się kocha, a ja w oboju rozmiłowany. Co to za szczęście wszystkie dzieci „postanowić i dobrze.“

W kilka miesięcy, na niewiele dni przed ślubem syna, donosił o tém staremu przyjacielowi Kajetanowi Koźmianowi a zarazem do swego listu dołączył wierszyk, napisany na cześć przyszlęj swojej synowej. „Wierszyk z okazji — pisze on ze zwykłą sobie skromnością — może mieć trochę serca, lecz nie miewa zwykle poezyi“ — przytaczam te prześliczne strofki, wonne jak fiolek z rosą urwany:

Serca mego nowe dziecie,
Zosiu, oczom, duszy miła;
Tyś ostatnie życia kwiecie
Już nad grobem mi uwiła.

Mnóstwo strat się w życiu zniosło,
Mało serca ran zawarło,
I co bujnym kwiatem rośło,
Albo zwiędło, albo zmarło.

Lecz kto silnie z Bogiem trzyma,
Temu wiele odmłodnieje;
Tak i teraz moja zima
Waszém słońcem się ogrzeje.

Wami dzień się mój rozświeci,
I noc błogą zleje ciszę;
A pieśń szczęścia dobrych dzieci
W snach mię złotych ukołysze.

O spiesz w dom nasz, w tę podwoje,
Gdzie cię radość łąza powita,
Gdzie zgadując litość twoję
Już się nędzarcz o cię pyta.

Pójdź ukochać lud tej wioski,
Syny to są wspólnej ziemi;
Słuchaj głosów żalu, troski,
I niekiedy zapłacz z niemi.

O, z nich każdy w czas niedługi
Serce z sercem twém zaślubi;
Panią tylko widzą sługi,
Sam chłop Matką zwać ją lubi.

Wehodzi usłanym w kwiaty progiem,
Spiesz w dom nowęj ci Luboni,
Z młodem szczęściem, starym Bogiem,
Z dłonią w syna mego dłoni.

Tak, gdy pełny źródł łask tryśnie,
Które Ojcu Bóg objawi,
Daj mu rękę — niech ją ściśnie,
Czoło — niech je błogosławi. —

Pogoda domowego szczęścia, prędko sposepniła mu w burzach jakie przebiegały widokrag polityczny w roku 1848. O krwawych wypadkach w Poznańskim nie znajduję wzmianki w jego listach; są tylko późniejsze daty, odnoszące się i do tych wstrząśnień, co nawiedziły różne stolice i kraje.

„Co do wiadomości, tych nie żądajcie ode mnie. Mogłyby tam donoszone, być przeszkodą, abyście najmniejszej o nas nie mieli wieści. Cza sem niby się nieco rozjaśnia i znowu większa burza grozi następnie. Wiadomości więc jedne-

„go dnia pisane, już nazajutrz mogą być zatarte „nowemi. Onegdaj we Wrocławiu znowu się za- „burzyło potężnie, lecz bez złego skutku. Padło „pewnie znów coś ofiar, co i u nas, jak wszędzie „teraz się zdarzyło. Groźnie, i bardzo groźnie „na świecie. Bóg wie, co z nami tu będzie... „Znowu o milę z tą bójką chłopstwa z żołda- „kami, i to z niepotrzebnych drażnień. Cała na- „dzieja, że może rozkazy z Berlina od króla po- „łożą tamę niegodziwościom naszych prowincyo- „nalnych Niemców.“

W tej materii list z 23 lipca:

„...„Jędrzejowi ktoś powiadał, że demora- „lizowany zupełnie. Fałsz to. Gdybym nie znał „dziejów, niepomniał jak się każda prawda krwią „i łzami wyrabiała; gdybym nie był pewnym, że „Bóg wszystko prowadzi, i gdzie chce doprowadzi, „upadłbym na duszy niezawodnie; ale tak nie jest. „Nieznosny tylko dla serca szlachetnego smutek, „że ów światły, rozsądny i porządny lud germań- „ski, najniższym z wszystkich się pokazał. Cywi- „lizacya faktyczna dowiodła, czém jest w swych „owocach. Nie oparta na religii, w chwilach sta- „nowczych nie przemogła obrzydliwego egoizmu, „najbrudniejszej chciwości, najchytrzejszych pod-

„stępów. Niema siły moralnej, bo czyż widzisz „choć jedno wielkie poświęcenie się osobiste lub „majątkowe? niema światła politycznego, bo z ni- „czém do końca trafić nie mogą; nie ma chrze- „ściańskiej miłości, bo same niezgody i duma i „pogarda wszystkiego, co nie jest Niemcem; a „przyciem strach na obie strony Europy, strach „z trzydziestołkowymi uszami! Możnaż nową „budowę Niemiec wróżyć jakąkolwiek trwałość? „We Francji przynajmniej są, mimo wielu nie- „dorzeczności, wielkie poświęcenia się; poznano, „że jedności trzeba dodać rządowi; lała się wpra- „wdzie krew, ale też wiele kupiła, uderzono w sa- „mo jądro złego. Tu zaś w Niemczech zdają się „rozkoszować w rozrabianiu złego, w wikłaniu, „gmatwaniu. Taką iluzję stracić zupełnie o na- „rodzie tak niedawno wzorowym, i na którym „wiele budowano nadziei, na jego wrodzonym po- „rządku, spokojności i takim świetle — to dla „całej ludzkości musi być smutkiem granicznym „z rozpaczą. Wzięły wprawdzie na chwilę teraz „przewagę prawe strony tak w Berlinie jak i Frank- „furcie; tam przez odrzucenie wniosku Jakobiego, „tu przez wybranie Zawiadowcy Niemiec; ale nie „trzeba myśleć, że lewa zwalczoną; na moment

„ona tylko dała się wciągnąć, aby coś przecie
 „postanowić, lecz nie wyrzekła jeszcze swego osta-
 „tniego słowa. Ostatnie zwycięstwo w Paryżu ura-
 „towało całą społeczność, bo gdyby nie było tego
 „zwycięstwa, jużby się ta krwawa i brudna ra-
 „dykalizmu i komunizmu rzeka była dotąd po
 „świecie rozlała, a najsrożej po Niemczech, gdzie
 „tego szkaradnego żywiołu okazało się więcej
 „niż gdziekolwiek, a nawet w teorye scjentyficznie
 „uorganizowany po głowach, w najrojniesze uto-
 „pie wykształcony. Nikt ani pojmuje jaki stosunek
 „może się ułożyć między Reichsverwezerem i sej-
 „mem frankfurckim, między arcy-księciem i pa-
 „nującymi niemieckimi. Cóż oni uczynić mogą
 „dobrego swym ludom, jak potrafią rządzić, gdy
 „z dołu u siebie podkopywani, a z góry w takiój
 „podległości więzieni. Szczególna to Unia; dziwna
 „jak mara; fantazya gorączki i strachu, a mądra
 „jak talmud jaki!

„Bóg wie, jak długo w świecie trwać będzie
 „ten zamęt. Znikła dawniej feudalność, później
 „arystokracja i przywileje szlachty, weszła w na-
 „sze prawa przemysłowa burżuazja, a nie w obo-
 „wiązki. My, czy grad, ogień, nieurodzaj, zabu-
 „rzenia, zawsze zarobek dać musimy; zawsze my-

„śleć o drzewie, mieszkaniu, chorobach, nieszczę-
 „ściach naszego pracownika, i choć zbankrutuje-
 „my, nowy właściciel wsi przyjmuje znowu te obo-
 „wiązki. Przemysłowce zaś płacą dziennie za ro-
 „botę i o resztę nie pytają, czy robotnik ma rodzinę,
 „czy będzie miał czem żyć na starość, czy chory,
 „umierający. Wzrastała przy kapitałach mnożą-
 „cych się przez fabryki liczba robotników, i do
 „zastraszającej wzrosła masy. Legislacye nie zwa-
 „żały na to; przysłyły biedniejsze lata, pozamy-
 „kano fabryki, warsztaty, bo już tyle milionów
 „co dawniej nie przynosiły, i na kark rządów i
 „społeczeństwa zwalono krocie wyrobników. Tu
 „całe złe — i Bóg wie, jak temu zaradzą, bo
 „wszędzie i chłopstwo głowy podnosi. Ostatnia
 „ta warstwa społeczeństwa poruszyła się, a więc
 „i ostatnia powinna być rewolucja światowa; bo
 „po téj warstwie najniższej już chyba tylko pro-
 „sięta zostają. Może to potrwać ze czterdzieści
 „lat; ale zdaje się, że już koniec będzie tym
 „wstrząśnieniom socyalnym świat burzącym, i Bóg
 „wielkie amen wyrzecze.“

Oby spełniły się te przewidywania! Atoli
 kwestya proletaryatu zażegnwana stucznym śro-
 dkiem przebudowywania Paryża, nie może się

nazwać rozwiązana. Choćby wszystkie stolice poszły za tym przykładem, to tylko na pewien czas wstrzymają burzę. Niebezpieczeństwa proletaryatu są wynikiem sił życia i interesów skoncentrowanych w stolicach; jedna decentralizacya mogłaby przywrócić naturalny stan społeczeństwu. Za dawnych czasów królowie przenosili często rezydencję do miast prowincjonalnych, i to było jedną z przyczyn, dla czego ludność napływowa trzymała się w pewnej równowadze.

Zawierucha niemiecka w pamiętnym roku najbardziej ciężyla na sercu naszemu poecie — i niedziw, bo się o nią prawie ocierał. Znowu więc o nią pisze:

„Inaczéj jak Bóg stwarzać chcą Niemcy. Ten „stopniowo wszystkiemu rozwijać się kazał, ci z „ciemnéj i duszającéj głębi w najwyższą chcą „czyć eteryczność. Jak zaczęli od negacyi przez „protestantyzm, tak negowali w filozofii, tak ne- „gują i jedynie negują w polityce; a nie zbudo- „wać nie umieją. Obwiniali nas zawsze co do „ucisku chłopów, a przecież po regulacyi jeszcze „się objawiły u nich takie daniny i ciężary, jakich „nasi przed regulacyą nigdy nie znali. Kiedy od

„chłopów niemieckich krocie petycyi podano do „sejmu, od nas zaledwo dwie.“

Niepodobna mi pominąć listu pisanego do synowca *), posła w sejmie berlińskim. Wytrawność polityczna Morawskiego, jego trafny, ogarniający rozsądek, można powiedzieć, stanowczo rozciął kwestyę abstencyi, która później i na innych sejmach debatowaną była w kole polskiem i doprowadziła do mniej szczęśliwych postanowień.

„Pisałeś podobno, że przy rozpoczęciu dyskusyi o demarkacyę**) rzucicie sejm na zawsze. „Ja zupełnie przeciwnego jestem zdania, i zdaje „się dobrego. Protestować trzeba zawsze, wszędzie, „przed Bogiem, narodami, królami, dziejami — ale „dezertować z przykrego stanowiska nie należy. „Cóżbyś mówił o tym żołnierzu, który widząc że „batalia już z pewnością przegrana będzie, nie

*) Kajetana Morawskiego.

**) W r. 1848 zesłano w Poznańskie komisarzy, którzy robili demarkacyę między powiatami osiadłymi przez Niemców, a powiatami, gdzie ludność polska przeważała. Był to więc zakrój na nowy rozbiór.

pliwości i zręczności nawet, lecz czemuż i tych niedostawać by ci miało? Skorym zawsze byłeś do poświęcenia siebie, gorącym w sprawach kraju i religii; nie cofaj więc nogi, rzuć się w nowy zawód, przyjm, ruszaj do Berlina i uciesz starego stryja, który cię zawsze kochał i cenił i więcej w tobie widział, niż ty sam w sobie. Wczoraj z twoim teściem mówiłem; niewątpi, że przyjmiesz. Pozwól mi pewność jego podzielać.“

W liście o parę lat późniejszym znowu pisze do tegoż w téj materii, dołączając uwagi swoje z powodu wojny na wschodzie:

„Zdolności, wybór obywateli, potrzeba szerszego życia, powołały cię do Berlina, gdzie tak godnie z obowiązku twego się uiszczasz, a umiesz zarazem żyć sercem i duszą w kole domowém, gdzie, jak to mój Manfred powiada:

klóć się wzniosłe myśli z niskimi potrzeby.
boć do tyłu klęsk domowych dołożono ci w całej pełności i tegoroczną, a ty znosisz to, przyjmujesz z pokorą, nie opuszczasz rąk, działasz. Pamietasz na to, najbardziej chrześcijańskie przysłowie: *Aide-toi, le ciel t'aidera*, w którym jest zarazem i wiara i czyn. Niechże ci Bóg tak błogosławi, jak ja ośmielać się błogosławić, błogosławi

na żonie, dzieciach i wszystkiém. Niech doda wyższej siły!

„Radbym cię słyszał mówiącego o obecnym stanie świata. Dla mnie coś tajemniczego mają: ta niewidoma siła, która pcha naprzód Ludwika Napoleona, ta wiara w coś nieodgadnionego, i ten spokojny zgon Mikołaja, obarczonego tyłą krzywdami jego ofiar, łzami tylu sierót, brzękiem kajdan tylu milionów. Wielkie czasy, to prawda, lecz ludzie, jak w 1848 za mali na takie zdarzenia, zwłaszcza w wojennym zawodzie. Z obu stron same mierności. Nie tak wielki jestem strategik, a przecież w swoim czasie wskazałem Stasiowi*) na mapie wszystkie błędy, które w ówczas popełniono tak w bitwach jak i w oblężeniu. Odgadłem je, bo były zbyt widoczne. Canrobert, jest to nasz Skrzynecki; mężny, nie bez talentu, ale w ciśniejszym zakresie. Raglan stary niedołęga. Bosquet zda się mieć najwięcej życia, najzdolniejszy, błyskawicznego postanowienia. Czém więcej być może? niewiadomo. Omer Pasza jeńialnie prawdziwie odgadł ważność Kalafatu; w nnych wypadkach był zwyczajnym; w skórę od

*) Chłapowskiemu z Czerwonej Wsi.

Moskali dostanie, jeśli bez Francuzów na czystém polu bój wyda. Dziwna to wojna, niepodobna do żadnej. Pokryli się wszyscy w swoich dziurach, i za okopami siedzą. Obłężony Sebastopol; obłężeni oblegający; obłężona Eupatoria! Gdyby przynajmniej od Bałakławy korpus oddzielnie grożący raz odparto na dobre; ale i tego nie. W marcu jeszcze musi być coś ważnego, bo rzeczy nadto daleko zaszły. Nie pojmuję możliwości zgody na konferencyach. Pokój trudniejszy, niż za Mikołaja, bo koncesye przez nowego cara zrobione, położonoby na karb słabości jego charakteru, i sparaliżowałyby całe jego panowanie. Musi się jeszcze wprzód lać krew szeroko.....

„Śmiałem się tu z dyskusyi czy Oberhaus czy Herrenhaus przyjąć? przypomniało mi to nocnych stróży z Krasickiego bajki:

I o to się kłócili przez lat kilkanaście:

Jan wołał: gaście ogień! Jędrzej: ogień gaście!“

Polityka świata, do której przyczepialiśmy tyle nadziei, podaje mu wątek do wielu trafnych postrzeżeń i żalów z doznanych zawodów. O traktacie paryskim tak się wyraża:

„Odebrałem list twój i dziękuję z wdzięcznością za pamięć. W tym roku (1856) zabijającym

tyle drogich mi osób i tyle rojonych nadziei narodowych, niebardzo do serca przylegają życzenia. Wszystko zda się zwodniczym; sama boleść prawdą. Doznajesz i ty tego codziennie w Berlinie, i jak się chlubię tobą, tak i szczerze cię żałuję.

„Mamy więc pokój, dziecko ciężkiego położu. Niewiem, jaki los jego będzie, ale przewidzieć można, że będzie jakieś dziwaczysko, bo trudne do strawienia dla Rosyi to poniżenie, trudne i to przeistoczenie zupełne dla Turcyi, w której krwawą przewiduję rewolucję, równie jak dla Rosyi jeżeli inną drogą nie pójdzie. Znam ja dobrze Rosyę. Niema tam miłości ojczyzny, ale jest bardziej niż gdzieindziej wygórowana duma narodowa, są wreszcie dość liczni ludzie głęboko myślący. Zdaje się, że Cesarz panujący czuje potrzebę radykalnych zmian, ale jak sam na własne uszy słyszałem, i Aleksander I. i Mikołaj w części, czuli to i chcieli, a przecież wkrótce im ręce opadły i uznali niepodobieństwo. Wiara, obyczaje przywykłość do złego wiekowa, stoją na zawadzie, a zwłaszcza ciemnota i interesa osobiste panów.

„Słyszałeś zapewne o rozmowie Cesarza francuzkiego z Władysławem Zamojskim. Jest to jakieś ni to ni owo. Dziwił się że w Galicyi i Pru-

siech niewypełniany jest względem nas traktat wiedeński. Fałsz, komedia!”

W późniejszym liście tak się wyraża o cesarzu Ludwiku Napoleonie:

„Co do wniosków politycznych, które czynisz w liście, bardzo mi pochlebiły, bo moje są kubek w kubek takie same, z tą różnicą, że ty zdasz się mieć więcej sympaty niż ja do Napoleona. Nie przeczę ja mu wielkiego talentu i ogłędności, lecz jako człowieka niedość go znam, a więc nie ufam. Nic też i nic dla Polski, a przynajmniej dla Polaków nie uczynił dobrego, choć były chwile po temu.“

Zapewne trudno to ludziom głębszych przekonań i gruntownych zasad, do których Morawski należał, sympatyzować z monarchą, biorącym za podstawę swoich działań r. 1789 i robiącym go niejako regulatorem politycznych sumień. Taki punkt wyjścia, jeżeli komu to Polakom niewróżył żadnej nadziei; Polska rozbijająca się za niepodległością, za samoistnym bytem, nie mogła w przewrocie społecznego porządku znaleźć swego zbawienia. Jakoż dawny porządek przewrócił się do dna, a jej istnienie stało się tym więcej problematycznym. Czuł to Morawski, kiedy patrząc na

zamęt zrobiony w świecie, nazwał go chorobą w przesileniu. W tej myśli w jednym liście do Jędrzeja Koźmiana zrobił on następującą diagnozę stanu moralnego Europy:

„Najwięcej żyję życiem przeszłości. Radbym, „jak się myśląc należy istocie, żyć i ideą przyszłości, nie samolubnie zasklepiac się w obecności, nie jednostronnie w przeszłość tylko wlepiac „oczy. Ale cóż, gdy tej przyszłości nie ma, bo „nie ma idei, któraby na jej przewodniczkę wyrobić się mogła. Nikt nie wie, jak się ta przyszłość uorganizuje w czasie, jaka będzie jej barwa, „myśl, charakter, i co następnemu po sobie zapowie wiekowi. To, co teraz zdala przewidujem „— jest tylko błotem, nocą, szturmem wichru, „wściekłością i głupstwem z jednej strony, z drugiej niezgrabnością, przesadą w uporze, ślepotą „na dzieje; z obu stron zaś brakiem szczerości, „religii, i wymaganiem od świata tej perfekcyi „w każdym systemacie, do jakiej ludzkość najwyżej stojąca nigdyby zdolną nie była. Jest to „więc dopiero kryzys bolesna, choroba z maligną „i konwulsyami, złe w całym wyteżeniu, na które „z obawą tylko i przerażeniem patrzeć można, „lecz nic pewnego jeszcze dostrzedz niepodobna

„Bóg, co z zamętu świat wywiódł, sam jeden
 „tyle sprzeczności zharmoniować zdoła. My mu
 „tylko psujem wszystko, lecz on zawsze wywiedzie
 „z tego ład, jaki sobie zamierzył. Kiedy? jak?
 „to nie nasza rzecz wiedzieć. Były takie chwile
 „i w Rzymie i w średnich wiekach, a przecież
 „świat wylazł ze swego błota w sposób nieprze-
 „widziany w czasach chaosu.“

Tę spójność i ufność w ułożenie się zwichrzonych rewolucjami stosunków, dawała mu mocna wiara, głębokie przekonanie religijne. Horacyszowski *impavidus* obojętnie depcze po ruinach; chrześcijański poeta radby mieć lutnię Amfiona, żeby na dźwięk jój powstały głązy i nowe z nich życie wytrysło. Jedna myśl, jedna harmonia przenikająca różne strony i objawy życia, robi tak wdzięczną, tak sympatyczną postać wielkopolskiego wieszczą, że tylko potrzeba tak zawichrzonych pojęć i czasów jak nasze, aby bez wielkiego rozgłosu minęła. W części może i sam temu był winien, że go tak nie znano, jak znanym być zasługiwał; polubiwszy ciszę, w ciszy pracował, czynił bez rozgłosu, co nie przeszkadzało dobremu ziarnu, które sypał na bliską rolę, wschodzić i zdrowo i silnie na pożytek ojczyzny. Widzieliśmy

jak w poufnych listach zaczepiał o każdą bieżącą kwestyę, oceniał jój doniosłość, wskazywał z jakiej strony brać ją należy, w jakim kierunku rozwijać. Były to pomysły jednej, lub kilku osobom udzielone: te zaś uderzone ich gruntowną trafnością, często na téj powadze rozwijały swój wpływ na całą prowincyę lub okolice. Ten rodzaj publicystyki nie mający zwykłego gazetowego rozgłosu, nie zwracał téż uwagi oddalonych stron kraju. Opinia dzienna lubiąca się w bengalskich efektach, nie troszczy się o najszczytniejsze cnoty spełnione za kulisami. Opinia dzienna nie jest téż opinią potomności; wielkości jój rodzące się jak grzyby po deszczu, przechodzą jak grzyby.

XV.

W roku 1851 wydrukował Morawski w Lesznie poemat swój: Dworzec mojego dziadka.

Był to pierwszy utwór oryginalny większego rozmiaru.

Napisał go jeszcze w początku r. 1848, kiedy u córki swojej bawił w Mińsku pod Warszawą i doniósł o rozpoczętej swój pracy Kaj. Koźmianowi, że coś nowego pisze. W następnym

liście*) szczegółowiej się wyraża do Jędrz. Koźmiana.

„Ja dziś spróbowałem dalszego ciągu mojej „ramoty, i 50 wierszydeł nabazgrałem, to jest „cały romans Dziadunia, bo w takim obrazie „mnóstwo być powinno obrazków, podobrazków, „lecz krótkich, dla rozmaitości. Ztąd zdaje mi „się, że wesele jako 200 wierszy najmniej wy- „magające, byłoby najlepiej odrzucić. Jest coś „ostrzegającego w każdym pisarzu czego słuchać „trzeba, jakiś takt, instynkt w budowaniu treści, „które on tylko pojmuje. Najtrudniejszą rzeczą „w podobnych poematach, powiązać naturalnie „tyle szczegółów, i taki styl dobrać, któryby „wznosił się nieco nad poziom zwykłej pogadanki „domowej a przecież nie utracił wdzięku poczci- „wój rubasznosci. Jakaś pleśń starożytna powinna „powlekać pewne wyrażenia, i przyczyniać się przez „to do charakteryzowania czasu i poezyi słowa. „Miłość nawet owych czasów koniecznie z reli- „gijném uczuciem musi iść w parze, inaczej nie „byłaby to miłość ani panów Jakóbów, Rafałów, „ani panien Benigny i Pulcheryi. Tak ja pojmuję;

*) Z 4go lutego 1848 r.

„inaczej pojmować nie umiem, bo taką widziałem „rzeczywistość, a koszlawić ani łąać narodowości „nie umiem i nie chcę.“

Niewiadomo mi, jakie rady podawali mu jego literaccy korespondenci w obrobieniu tego poematu; lecz jeżeli postanowił przedstawić w obrazie czasy swojej młodości, po których przesunęło się więcej niż pół wieku; jeżeli chciał w nim oddać swoje wrażenia — musiał chwytac rysy charakterystyczne, malować ówczesnemi farbami, stawiać takich ludzi, jacy byli, nie zaś używać jakiegos konwencyonalnego sposobu pseudo-klasyków, co wszystkie epoki i narodowości jedną i tą samą sentencyonalną nawodzili bezbarwnością. Czuł to i dobrze pojmował autor. Już w swojej Wizycie w Sąsiedztwo dał próbkę szlacheckiej domowej epopei, w rodzaju pana Tadeusza — był to ustęp tylko, wskazujący wszakże swoją naturalnością i potocznością opowiadania, a mianowicie rysami branemi z życia lub z żyjącej tradycyi, nareście owym jówialnym humorem staropolskim — że zrobił już rozbrat ze zwietrzałą szkołą, która czuła sercem i obrazowała imaginacją jak każda inna, lecz tym czuciom i obrazom nie umiała dać ciała i życia.

Podług wszelkiego podobieństwa myśl napisania tego poematu urodziła się jednocześnie z radą, jaką Morawski dawał Kaj. Koźmianowi, aby spisał swoje pamiętniki; jak zaś to zadanie pojmował, będzie razem wskazówką jak pojmował ów świat, który miał rozświecić magicznym ogniem poezji.

„Nic mi nie piszesz o postępie twoich pamiętników. Baw jak nadłużej nad wiekiem twym, studenckim; najdawniejsze to będą obrazy i wrażenia; a więc najciekawsze. Każdy szczegół, który ci może słabym się wydaje, nietylko będzie dla czytelników uroczy, ale wiele do malowniczości epoki się przyczyni. Wreszcie zawsze miło słyszeć 80letniego starca opowiadającego, tak daleką już dzieciństwo swoją, rozdmuchującego jeszcze popioły od tak dawna już zgasłe i, uśmiechającego się jeszcze na pustoty swe studenckie, tém bardziej zajmujące, im mniej do dzisiejszych podobne. Zyska pismo przeto i na różnaitości stylu i obrazów, co każde pamiętniki, najbardziej powabnymi czyni.... Przypominam sobie opowiadanie twoje o sejmikach lubelskich, a zawsze ów nieprzepomny półmisek flaków gorących, wysypyany w kaptur szlacheckiej opończy, z którego żarłoczne wąsala widelcami po plecach

„nieboraka chwyтали mięsiwo. Co za obraz prze-dziwny! A w wyższym rodzaju, starego księcia „Adama Czartoryskiego, obraz dawnych wojewodów, lub téj mieszaniny nowego poloru z azyatyckim przepychem i grubym jeszcze sarmatyzmem; co to uroku w takich wystawach!.... „Zaczynij tylko na dobre a rzecz pójdzie sporzej „niż mniemasz, bo wiązanie jest łatwem, stokroć „łatwiejszém niż w poezji; a wreszcie po jednej „godzinie pracy tak się zaczniesz w głowie mnożyć „materiału że pisać nie nastarczysz. Przeplataj „komicznością sceny dla dodania im różnaitości, „byle nie wyszydzenie przeszłości stało się głównym obrazem, lecz raczej wyświecenie dawniej „prostoty, gościnności, poczciwości, wiary i nieco „rubaszności, która przecież nie była bez wdzięku.“

Morawski z poematem swoim prędko się uwinął; w wielu miejscach znać jednolitość odlewu; gorączkę zapалу, która go nie opuszczała. Zapewne jednak nieobeszło się bez piłowań, gładzeń, może uwag pociągających za sobą pewne złagodzenia, odmiany, wykreślenia... Oparł się temu autor, mianowicie gdy mu radzono omijać katastrofę rozbioru:

„Co do nierozdrapywania rany, którą już inni

„rozdrapywali — radzisz mi na samą rzeźbę —
 „ści poprzestać — lecz na to zupełnie zgodzić
 „się nie mogę. Cóżbyś powiedział, gdyby pięćdzie-
 „sięciu wzięto na męki, a ktośby łajał pięćdzie-
 „siatego, że krzyczy i że krzyczeć nie powinien,
 „bo już 49ciu krzychało.“

Szczęście wielkie, że jeszcze dużo rysów
 pierwszego rzutu ocalało w poemacie; z podobne-
 mi radami mielibyśmy coś bladego, ogólnikowego,
 bez rzeźby, bez precyzji, z retoryką a nie poe-
 zją słowa.

Wyszedł nareszcie Dworzec Dziadunia
 w Lesznie przypisany zrazu Kajetanowi Koźmia-
 nowi, w czém autor składał hołd serca najstarsze-
 mu i najlepszemu przyjacielowi. Ten wyraz wdzię-
 cznej pamięci położony na wstępie utworu uwitego
 z najdawniejszych pamiątek serca, z najżywszych
 miłości dla ojczyzny, był tak ściśle związany w
 jego wyobrażeniu; osoba żyjąca tak się łączyła
 z konającą tradycją — że ani przypuszczał, aby
 w tej mierze mogła zajść jakakolwiek trudność.
 Tymczasem взгляд na okoliczności miejscowe wy-
 wował protestacją poufną Jędrzeja Koźmiana,
 który z obawy, aby ojciec jego, mieszkający w
 Królestwie, nie był za tę dedykację przesłado-

wany, błagał jenerała o wypuszczenie nazwiska.
 Zastósował się do tego autor i tak mu opisał
 swój kłopot i zawód:

„Miałeś cały czas w Luboni przed sobą de-
 „dykację, miałeś ją w drodze, w Dobrzechowie,
 „a teraz, kiedy już książka wydrukowana, zeszyta
 „i oprawna, wołasz o zmianę. Powlekło się więc
 „stare jeneralisko po mrozie i grudzie parę mil,
 „aby zadość woli twój uczynić; zrobiłem co chcia-
 „łeś; są tylko inicjalne litery (K. K.); wypuściłem
 „wszystko, prócz wdzięczności za przyjaźń; wy-
 „mazałem i znakomitość dzieł i zacność chara-
 „kteru; zrobiłem to z prawdziwym bólem serca;
 „słowem, całą szatę, całą purpurę królewską zdar-
 „łem z najdroższej mi postaci, i nikt jej nie po-
 „zna; zostały tylko K. K. to jest: Kilijan Ka-
 „czorkiewicz. Była to dla mnie najprzykrejsza
 „z ofiar w życiu, — i drugi raz nie żądam po-
 „dobnej! Niepojmuję wreszcie, co by to mogło
 „szkodzić, gdyby ktoś we Florencji piszący, mnie
 „swoją biedotę lub niedorzeczność przypisał. Ale
 „chciałeś — i stało się.“

Ukazanie się Dworca mego Dziadka
 wdzięcznie było przez publiczność przyjęte. Roz-
 chwytywano egzemplarze, powtarzano piękniejsze

wiersze i miejsca; krytyka jednak prócz w jednym Poznańskim Przeglądzie nie wystąpiła nigdzie ze zdaniem, z téj przyczyny, że cenzura w Galicyi, a tém bardziej w Królestwie zakazała téj książki. Autor jednak obawiał się zjadliwości tych piór, co zdanie swoje pochwalne lub naganne regulują do tego, w jakiej estymie zostaje piszący, w obozie pewnej politycznej opinii trudniącój się sortowaniem indywiduów na arystokratów i demokratów, niepostępowych i postępowych, ultramontanów, papistów, i zapewne jako przeciwstawienie tym potworom, na radykałów i nihilistów. „Przed kilku dniami — pisze on — odbyłem spowiedź jubileuszową, aby być skłonniejszym do przebaczenia; gdyż niezawodnie znajdują się zjadliwe gadzinki, co gryść zaczął.“

Próżna była obawa; szanowny starzec nie wadzał nikomu, więc i gryść nie miał nikt interesu. Z krytyki zaś Przeglądu pomimo słuszności, jaką mu oddano w tém szacowném piśmie, nie dość był zadowolony, jak to widać z ustępu listu do J. Koźmiana:

„W téj chwili odebrałem recenzję Dziadka „nadto chwalejącą i nadto, bo często niesłusznie „ganiącą, ale zawsze godną i sumienną. Zbyt nia

„więc niekiedy ostrość złagodzona jest przyzwyczajenią. Nie dla druku, bom tego zakazał, lecz „dla poufnego porozumienia się, posłałem zacnemu krytykowi pięcioarkusową odpowiedź, z intencją dowiedzenia mu, że niekoniecznie miał „słuszność, zwłaszcza na inném wcale stanąwszy „stanowisku niż należało. I początek i koniec téj „odpowiedzi mają te słowa: Kłóćmy się, Kochajmy się — a więc charakter jój i dążenie odgadnąć możesz.“

Dla wyjaśnienia szczegółów dotyczących się téj recenzji, najlepszym źródłem są notatki pisemne udzielone mi z całą uprzejmością lat młodych przyjaciela, p. Stanisława Koźmiana, współredaktora Przeglądu Poznańskiego, który tak pisze:

„W końcu 1850 roku wyszedł Dworzec. Pierwszą część słyszałem już kilka razy wpiérw czytana. Na kilka miesięcy przed podaniem do druku, Jędrzej (Koźmian), Ropelewski i ja, byliśmy w Luboni. Jenerał nam czytał całość i prosił o uwagi. Jędrzej chwalił, Ropelewski milczał, ja tylko jeden acz nie śmiało i łagodnie, objawiłem pewne wątpliwości. Jenerał odpowiedział, że już teraz trudno zmienić. Gdy Dworzec wyszedł

z druku, napisałem recenzję do Przeglądu. Czekał na nią pierwszy poszyt r. 1851, więc pisałem bardzo szybko. Nie było czasu ostygnać, by każde zdanie spokojnej poddać rozwadze. Prócz tego ciągle zarzuty pism nam nieprzychylnych, że stanowimy koteryę, że jedni drugich chwalimy i uwielbiamy, a bezwzględnie potępiamy wszystkich i wszystko, co za jej ciasnym obrębem stoi — zarzuty najniesprawiedliwsze, gdyż jeśli niezawsze łagodnie względem przeciwników, to zawsze surowo względem przyjaciół postępowaliśmy — tak mię były zajątrzyły, że w mej recenzji Dworca bezbarwniej ustępy pochwalne, a jaskrawiej naganające wydał, niżbym to w innych okolicznościach był uczynił. Odczytując jednak dziś tę krytykę, widzę, że prócz kilku drobiazgowych zarzutów, kilku zbyt mocnych wyrażen, nie zawiera ona nic takiego, coby się sprzeciwiało obecnemu memu zdaniu o tym poemacie. Na Dworcu zawsze znać będzie, że nie z jednego wyszedł pomysł, że opisowa część miała być wszystkiem, że dopiero po jej ukończeniu, przypieczony później został dramacik, a do tego dramaciku naprzód jedna mała scena, potem druga mniejsza, a wreszcie najmniejsza. Na krytykę od-

powiedział mi Autor listem, na trzech wielkich arkuszach drobnego pisma skreślonym. Że żądał niezwłocznego zwrotu tej repliki, posiadam ją tylko w kopii. Cały ten list znajdzie pewnie kiedyś miejsce albo w całkowitem wydaniu pism Jenerała, albo w jakim dziele o tegoczesnej literaturze naszej. Tu podaję więc kilka tylko dowcipniejszych okresów z samego wstępu:

„„Krytyk — pisze Morawski — obsypuje mię z początku takimi pochwałami, że z całą szczerością serca mówiąc, pomimo największej miłości siebie, nie mogę uienazwać ich zbyt czemi, przesadzonemi. Lecz za to, po zdaniu sprawy o treści dziełka tak przez kilka stronic gro mi, jakby mu żal było, że mię tak skwapliwie pochwalił. Bez wytchnienia już odtąd siecze, i na koniec ledwie kilku obrazom i szczegółowym rysom przyznaje jakąś wartość i zasługę. Przepraszam za trochę niskie porównanie, ale krytyk przypomina mi owego pocziwego i zacnego komisarza obwodu, który cierpiąc na tēm, że przykrego musi dopełnić obowiązku, wchodzi do domu szlachcica z wszystkimi formami grzeczności, chwali jego gospodarke, koniki, dziecięcki, i obrazki po ścianach rozwieszone, aby mu później

oswadczyć, że ma rozkaz wiać go w dyby i zapakować do cytadeli.... Ale co recenzentowi do tego, że autor chciał zostać na poziomie? wiem, że krytyk mi powie: kiedy tak miało być, to trzeba było nie wspominać ani Kościuszki, ani Napoleona, bo tak widokrąg się rozszerzył, który przebież należało. A więc dla tego, że wystawiając jakiś pejśaż, kawałek morza w dali ukazałem, już mam dla tego, że się widokrąg oceanu zdala ukazał, koniecznie malować wszystkie ponim przepływające floty, boje morskie, burze i rozbicia? Mamyż prawo nastawać na malarza że z profilu tylko wystawił Napoleona, gdy miał tak blisko, bo zaraz za nosem, całą twarz tak jeniałną, podającą mu pole do rozwinienia wyższego talentu? Nie — Wernetowiby nawet wyrzucać nie można, że chciał się drobniejszym zabawić obrazem, kiedy tylko w téj drobnostce piętno swojej zdolności wycisnął..... Mickiewicz w Tadeuszu zwłaszcza w pierwszym tomie, tak często nieznośnie jest długi, że zdaje się, że nigdy wygadać się nie może, czyni to nawet bez przyczynienia obrazowości i wdzięku, słowem więcej niż *dormitat*. W poemacie miałby krytyk prawo błęd ten wytknąć; nikt przecież tego nie uczy-

nił. A dla czego? dla tego jedynie, że autor nie nazwał Tadeusza poematem, lecz kroniką szlachecką, przez co zyskał prawo do wybijania się *ad libitum*. Jeżeli więc nadto rozszerzać się wolno, wolno téż i ścieśniać się według upodobania. Może to przytem służyć za przestrożę, że na tytuł dzieła koniecznie spojrzeć potrzeba, bo on jest tym szyllem sklepu kupieckiego, który uprzedza, czego w tymże sklepie dostanie. Niezważając na ten szylł możnaby przez pomyłkę żądać butów od księgarza, a rubarbarum od galanterników.““ —

„List ten — pisze dalej Stanisław Koźmian w swoich notatkach — poczyną się i kończy temi samemi wyrazami: kłóćmy się, kochajmy się. Zajście téż 'to nieprzerwało ani oziębiło naszych stosunków. Co najwięcej, jeżeli zatrzymało je przez kilka miesięcy na tym samym punkcie, i przeszkodziło, ale tylko na krótką porę, coraz szybszemu i serdeczniejszemu rozwijaniu się onych. We dwa, czy trzy tygodnie, po liście Jenerała, ległem na jego imieniny, 2go Kwietnia, w Oporówku i zdrowie jego wnosilem. Jenerał wnet się udobruchał, i choć po wielu jeszcze latach robił czasem przytyki do owéj recenzji, zawsze w żart

to obracał i dobrym humorem dowodził, że urazy żadnej nie czuje. Wypadek ten jednak nader byłmi przykrym. Przekonał mię, że głośność, choćby najdoskonalszej i najślusniejszej recenzji, nie warta jest, nie nagrodi nigdy za jedną chwilkę zachmurzonej przyjaźni. Niesmak i wstręt, który zawsze miałem do krytykowania, odtąd się sto-kroć we mnie powiększył; atoli nie mogłem opuścić brata (księdza Jana), który prawie wyłącznie własnymi siłami dźwigał część polityczną, religijną i naukową *Przeglądu*. Wciąż więc i dalej obrabiałem część krytyczno-literacką. Trudny to wszędzie zawód; trudniejszy u nas, niż gdzieindziej. Wynurzone pochwały każdy poczytuje za tak przynależne sobie, że na nie bynajmniej niezwąży, a najdrobniejszą naganę bierze jak najgłębiej do serca. Osobliwie urząd ten najprzykrzejszym jest, gdy przychodzi sądzić przyjaciół, ludzi mniej więcej tych samych zasad i opinii. Gdy Whigowie ofiarowali O'Connellowi krzesło najwyższego sędziego w Irlandyi, odmówił je, dając za powód, że musiałby srożej sądzić swych rodaków niż zasługują, a to z obawy, aby go o stronność nie pomówiono. Moja stanowczość i surowość w tym razie nieprzekonała nawet przeciwników. Jeszcze

w kilka lat potem *Gazeta Warszawska* drukowała te wyrazy (notabene nigdyśmy nie rozbięrali żadnego z dzieł Kajetana Koźmiana): „Ma „Przegląd całe szeregi autorów, którym się nigdy słówko nagany niedostaje. Tymi wybranymi „śród poetów są: Kajetan Koźmian, a obok niego „Jenerał Franciszek Morawski.“ —

Z taką wiernością i szczerością skreślony powyższy obrazek kłopotów recenzenta, zdał mi się w sam raz przypadać do elementów składających tę monografię, będącą niejako pamiętnikiem literackim z epoki Morawskiego. Urazy krytykowanych, niechęć przyjaciół i zwolenników krytykowanego, zła wiara dzienników, mianowicie *Gazety Warszawskiej*, co nie mogąc walczyć na polu politycznym, walczyła na literackim z polityczno-socyalną dążnością — wszystko to napawało goryczą każdego, co śmiał wystąpić przeciw nadużyciom pióra, czy to gwałcącego zasady religijne i moralne, czy sączącego jad rozkładu w społeczność, czy obrażającego smak dobry, uczucia narodowe lub język. Tymczasem bez krytyki właściwa literatura ucierpiałaby w tém bezkrólewiu, sztuka przestałaby być sztuką, a niepowściągliwa płodność zajęłaby miejsce twórczości.

Jak w wielu przypadkach, tak i w tym, dowiódł Morawski wielkiego taktu, że nie wystąpił publicznie w obronie swego poematu. Bronić siebie szczególniej z powodu tworów poetycznych, nigdy się nie opłaci; bo jeżeli utwór ma istotną wartość i przymioty życia, to wszelkie nagany nie a nie mu nie zaszkodzą; jeżeli zaś ich nie ma — to najwymowniejsza obrona, z martwych go nie zbudzi. Tu zachodziło tylko nieporozumienie co do punktu widzenia. Recenzent chciał może, żeby artysta był mu rzucił olbrzymi karton wielkiego sejmku, konstytucyi 3 maja, wojny pod księciem Józefem, przystąpienia króla do Targowicy i sejmku grodzieńskiego, podpisującego haniebny rozbiór, a na tém tle, żeby pocziwą, szlachetną postać Dziadunia ukazał kuszoną i zdradzoną przez Mefistofelamachiawelizmu pruskiego; — zapewne piękny byłby to poemat w pomyśle, chociaż najprzepyszniejszy pomysł, kiedy jeszcze nie wcielony, niewart najdrobniejszego obrazka, który już wyszedł skończony z pod pędzla artysty. Skończony, powtarzam, niedokończoność bowiem, choćby jenialnym zastąpiona szkicem, zawsze niezadowolni znawcę, mianowicie jeżeli to, co by najwięcej zająć mogło, naznaczone jest tylko lekkimi dotknięcia-

mi pędzla. Ma więc krytyk prawo upominać się o rozwinięcie; w niem mieści się dopiero skończoność i całość. Brak rozwinięcia w drugiej połowie Dworca sprawia niezadowolnienie w czytelniku; poeta wziął kilka tylko akordów, któremi uczucie rozjątrzył, wzburzył; atoli całej nie wygrał sonaty.

Poeta trzymał się więcj opisowego, niż dramatycznego rodzaju. Chciał on, jak widać, zostawić nam fotografię owych drewnianych szlacheckich Dworców, tak jak ją znalazł w kartkach serca, młodocianém wspomnieniem odbitą. Ta opisowa część mistrzowsko zrobiona, a przytém tak pełna prawdy uprzytomniającej, że choćby na całej polskiej ziemi znikły te staroświeckie dworce, Dworzec Dziadunia nieśmiertelnie stać będzie na wzgórku pośród wsi, z wielkim dachem, wązkimi oknami, z wystawką z stuletnim rozłożystym kasztanem na dziedzińcu,

Gdzie się stary Jegomość chronił w upał letni,

Gdzie mawiał swój różaniec, dawne czasy marzył.

A i z tém co było wewnątrz: na drzwiach napisane święconą kredą „trzech królów imiona,” przy wnijsciu w drobnęj czarce woda poświęcona — wszystko to oznaczało mieszkanie pobożnego

pana, nieodrodneho od przodków. Sień ogromna, na kołkach zawieszono cietrzewie, kuropatwy, lisy, zające i wieniec żniwiarski:

Którym dziarski parobczak znojne strojąc skronie,
Zdaje się w starój Piasta pysznić się koronie.

Za sienią izba jadalna:

Sarmackiej gościnności państwo niezmierzone.

Z ogromnym kredensem, istnym drewnianym gmachem lśniącym pułami, z ogromniejszym piecem, który był meblem niepospolitego znaczenia i także mającym swoją historię:

Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały
Paszczą swoją połykał drzewa sążeń cały,
I w którym, jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradli złodzieje;
Stykał się z nim, rozległej równie jak on miary,
Komin, krewniak, towarzyszy i przyjaciel stary;
Gorząc wzajem tak w dziennój, jak i w nocnej dobie,
Ciągłym żarem afektu dogrzewali sobie.

Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Stróż nań ciągle szczyp smolnych całe kopy walił,
Huczał ogień i Dziaduś przy nim turka palił...

Na środku izby stół dębowy; ileż to przy nim odbyło się kompromisów sąsiedzkich, ile przedsejmikowych narad! a jakich biesiad był świadkiem!

Na ścianach portrety antenatów — ilustracya historyi domu:

Jeden w lśniącym kiryście i z podpartym bokiem
Wygolony rudowłosy groźnym ciskał wzrokiem,
Drugi z brodą kępiastą i czubem na głowie
Zdał się stare ojczyzny wyobrażać zdrowie...

Dziadunio w samotnych chwilach rozmawiał z nimi i nieraz gorzką łzą spłynęło oko... Ależ wszystkie te sprzęty, tak niepodobne do dzisiejszych —

Gasił potwór, przez cały pułap przeciągnięty,
Odwiecznych może borów pierwsza rodzicielka,
Niezmierzonego dębu jednorodna belka,
Potężna córka puszczy, król piastowych lasów,
Łom arki, co przepłynął cały potop czasów.
Zdało się, że nie ludzkie go tam ręce wzbijały,
Że trza było téj strasznej, téj wszechmocnej siły,
Która światy przerzuca i hamuje burze,
Aby wzniesić taki ogrom i utwierdzić w górze.
Belka ta liczne włości przeżywszy dziedzice,
Miała jedną z kart ważnych w domowej kronice,
Na jej boku wryty rok stawiania dworu,
Był rokiem strasznego w ojczyźnie pomoru;
A kiedy pierwszy Moskal wszedł w Dziadka podwoje,
Z strasznym hukła łoskotem, i pękła na dwoje.
Pod nią chłystki szlacheckie na kobiercach bito,
Pod nią duch się pokazał i Szweda zabito.
Nigdy też dobry Dziaduś, znany z ostrożności,

Ni sam pod nią siadywał, ni umieszczał gości;
 O szeląg on się nawet pod nią nie założył,
 Na niczém nie podpisał, listu nie otworzył,
 Zważał nawet, że gdy kto kłął się na Szatana,
 Zachłysnął przy kielichu, ograł w kasztelana,
 Lub się wyrwał niebacznie i głupstwo powiedział,
 Zawsze się pokazało, że pod belką siedział.

Dziwnie szczęśliwie schwycił poeta ten przesąd o belce jaki się zamienił dziś w przysłowie utrzymujące się dłużej niż belki, które ustąpiły miejsca sufitym. To wszystko, co włożyła w nią jego poetyczna fantazyja, zrobiło ją równiecnicką owego sławnego „serwisu“ Mićkiewicza, i „dęba gaduły“ Goszczyńskiego; a jeżeli jeszcze dalszej poszukamy parenteli, pokaże się że idzie w prostą linię od ową achillesową tarczę, którą Homer przyozdobił w takie cudowne barelify. Szkoda tylko że gruby tram nie był u nas okryty rzeźbą, za to prosta jego powierzchowność miała tajemnicze przymioty, jakich nie miała nawet tarcza Achillesa. Z tego porównania możnaby wysnuć całego ducha naszej rodzinnej poezyi; ubóstwo zewnętrznych form, piękność plastyczna nie wytrzymująca porównania z cudami Grecyi i Włoch — za to nieprzebrana kopalnia wewnę-

trnych skarbów; — wszystko tu, choćby martwy kamień, żyje sercem człowieka...

Lecz wróćmy do Dziadunia. Poznaliśmy Dworzec, poznajmyż gospodarza.

Dziadunio gościnny i zażyły z okolicznym sąsiedztwem, nagle zamknął dom swój, i w samotności zaczął gromadzić grosiwo. Wprawdzie na starość, kiedy się inne miłości wyczerpią, przychodzi miłość pieniędzy, lecz tu był inny przypadek: Dziadunio zbierał, żeby wyposażyć Ewunię, córkę nieboszczki Chorążyny w której się kochał za młodu, nim wyszła za Chorążego. Poeta opisuje te dawne amory, nadając im cechę głębokiego przywiązania, które nie kończyło się z życiem. Otóż Dziadunio afekt swój dla matki, przeniósł na jej córkę; a że Ewunia miała oddać rękę jakiemuś zacnemu młodzianowi, a zatem Dziadunio umyślił dla państwa młodych w dworcu swoim wyprawić sute wesele. Następuje narada o przygotowaniach do festynu z klucznicą, i Podstarościm. Obie te figury wybornie scharakteryzowane. Któż nie pozna klucznicy z tych dwóch wierszy?

Lata, łaje i gdyra po każdej ustroni.

Jak domowy grzechotnik pękiem kluczków dzwoni.

Któż powie, że to nie z natury zdjęty kon-
terfekt Podstarościęgo dawnych czasów?

Wchodzi w rękę z batogiem, kurtą na żupanie,
Pas z klamrą, wąs sumiasty, już siwy w połowie,
I czarep na golonęj bielący się głowie.
Sześćdziesiąta już wieku przyciska go zima,
Lecz służył w rajtaryi, i prosto się trzyma,
Ztąd to przy gęstej minie i wojackiej dumie
I słuchać i wypełniać i rozkazać umie...
„Drwi z książki, drwi z niemczyzny, na nowość się jeży,
I jak w duszne zbawienie, tak w kalendarz wierzy;
Nabożny, zna kantyczki, wie co wąż i Ewa,
Suszy piątki, na summach z organistą śpiewa;
A gdy ksiądz na spowiedzi burę mu wypali,
Słuchać w całym kościele, jak łbem w ziemię wali.

Z równie szczęśliwym humorem oddany wizeru-
nek pani Regentowej, sąsiadki i krewnej, której
Dziadunio nie chce zapraszać na wesele Ewuni,
bo to

....jakieś *quamquam*, baba samiec, jedza,
Niedość że w rok po trzykroć swą czeladź rozpędza;
Jeszcze w wiecznej z proboszczem i dworami zwadzie,
Wciąż się wdziera w granice, a wciąż pozwy kładzie;
Jak od dżumy, tak od niej palestra ucieka,
I z tą sama po sądach, trybunałach szczeka...

Charakterystyka staroświeckich oryginałów
najsilniejszą jest stroną w tym poemacie. Pióro

poety zamienia się w pędzel godny Rembrandta
lub Hogarta; każdy tu rys nosi cechę podo-
bieństwa i prawdy historycznej; nigdzie nie ma
przesady wpadającej w karykaturę — stąd po-
stacie te zawsze pozostaną przy życiu, choć da-
wno ustąpiły z rzeczywistości. Jak w średnio-
wiecznym manuskrypcie ozdobionym miniaturami
przez jakiego sławnego illuminatora, odkrywa ci
się fizyonomia wieku i społeczęńskich typów, z
którymi zabierasz taką znajomość, jakiej nigdy
nie nabyłbyś przez najszczegółowsze opisy — tak
samo w trzech powyższych miniaturach tego po-
ematu poeta unieśmiertelnił towarzyskie typy
konającej Polski.

Lecz wróćmy do toku powieści.

Dziadunio jedzie na imieniny Chorążego, któ-
remu Paweł, a że on nosi imię Piotra, a więc
podwójna solenizacya przypada na ten dzień; całe
więc okoliczne obywatelstwo zwali się tu na
festyn.

Opis karocy, w której dziadunio odprawia
kilkomilową drogę, jest także miniaturą godną
zachowania.

Nieco mniejszy od dworca, gmach ów znamienity,
Zewnątrz niegdyś szkarłatny, a wewnątrz wybity

Felpą żółto-gorącą, z mnóstwem taśm, kutasów,
Wznosi się w stariej pysze Batorowych czasów;
Gęsto się w gwóźdź mosiężny brzegi pudła stroją,
Groźne Gryfy na straży drzwięzek z kordem stoją,
A na tryumf tej wzniosłej i dziwnej struktury,
Sześć sfinksów wyłaczanych świeci się u góry.

Antykiem tym, tą ruchomą basztą wjeżdża
dziadunio na dziedziniec dworu Chorążego, i wysypało się co żyło, na jego powitanie,

Cisnie się całowany w ramię, ręce, wąsy,
Pcha przez tłum mężczyzn, kobiet i wśród dzieci mrowia,
Jeszcze progu nie przeszedł, już wypił trzy zdrowia...

Dziaduś staje od razu do poloneza z Podstoliną:

Rżnie od ucha nadworna Starosty muzyka;
Dziaduś w kord swój uderzy, pomuśnie wąsika,
Uśmiechnie się, dłoń poda, i z marsowym wzrokiem
Na czele par trzydziestu wolnym stąpa krokiem;
To zawraca, to kołem, to wężykiem krąży,
Gdy już w trzecim nawrocie wstrzyma go Chorąży;
Wiwat pan Piotr! zakrzyknie, wznosząc flacę sporą,
Damy solo puszczone nowych mężczyzn biorą:
Dwaj zaś starcy klękawszy dawnym obyczajem,
Piją swe zdrowia, płaczą, ściskają się wzajem,
A za każdym uściskiem zaczęj starców pary,
Z blizkiego wirydarza huczy móżdziej stary.

Ewunia to widzi i odwodzi dziadka do poczynnej komnaty, gdzie czeka na niego zastawiony

obiad, — goście bowiem dawno już po obiedzie.
Posiliwszy się i nasłuchawszy kłamstw pułkownika, który tak samo jak on późno przyjechał, wraca do sali tańców i usiadłszy w kąciu

Na każdy ruch Ewusi tklivem strzela oczkiem;
Nie może się jej wszystkim wydziwić ponętom,
Nasłuchać się jej głosu, napatrzeć oczętom.
Śliczna jakby obrazek, jak aniołek słodka,
Perła, kwiatek, brylancik, przylepka, pieszczotka,
Cóż dopiero, gdy nieco poprawi kołpaczka,
I stanie do mazura i upiecze raczka,
Utnie korkiem hołubca i koło zatoczy, —
Wówczas ledwie z starego dusza nie wyskoczy;
Tupa, klaszcze, podryga i chustką wywija,
I zdejmując trzewiczek i duszkiem wypija.

Prześliczny to obrazek tego starca upajającego się widokiem tańczącej dziewczeczki; odmłodził, i zdaje mu się że go młoda krew tak jak ją unosi.

Kiedy wesółą kompania w najlepsze hula, na dworze zrywa się okropna burza. Wicher wali drzewa, pioruny biją po piorunach, wszyscy padają na ziemię i wznoszą błagalne ręce do nieba.

Ale to nic, — sroższa burza nadchodzi — burza rozmiatająca ojczyznę, burza polityczna!

Posłaniec jakiś wpada na dziedziniec, szuka okiem dziadunia i oddaje mu list. Dziaduś otworzył, przeczytał —

i upadł jak długi.

Rwą ów papier — czytają — Polski rozbiór drugi.

Wprowadzenie owiej burzy z błyskawicami i piorunami, użycie tego tak już zużytego efektu, aby przejść do katastrofy, zwiastującej upadek narodu, — nie może się nazwać szczęśliwym pomysłem. Poeta trzymał się tu rutyny swoich warszawskich kolegów, którzy nader mało mieli daru wynalazczego. Tego posłańca złej wieści można było z mniejszym łoskotem wprowadzić, a wrażenie na czytelniku spotęgowałoby się o tyle, o ile przeniosło się na burzę poprzedzającą odebranie listu.

Dość ogólnymi rysami, szaro, bez kolorytu, maluje poeta wrażenie sprawione listem na bawiącej się szlachcie. Tak samo możnaby odmalować ból Francuzów na wiadomość o straceniu Ludwika XVIgo, Greków na wieść o zdobyciu Missolonghi:

Ten głową tłucze ściany, — ten ryknął z boleści,
Wrząca krew mu ustami lunęła potokiem,
Tu dwóch starców z zdziecziałym porywa się wzrokiem,
Stargane się ich myśli zmieszają z rozpaczą,
Drobne nawet dziecińy jak bobrzęta płaczą.

Poeta poświęcił element epiczny opisowości, i dla tego coraz bardziej słabnie.

Dziaduś widząc innych upadających pod brzemieniem nieszczęścia, zrywa się i powiada że trzeba strateg odrobić.

..... trzeba w pocie czoła;

Tym potem jest krew nasza, — pracą Sybir, boje

..... Dziś tłoczący duszę

Zrzucam ten kamień grzechu, jarzmo włością kruszę:

Rozjaśnia się niebiosa wolnych dusz widokiem.....

Piękne słowa, gdyby były w ustach i chęciach całego narodu; dziaduś reprezentował siebie, i nie wielu sobie podobnych.

Lecz cóż będzie z weselem Ewuni? Smutne to gody w publiczném nieszczęściu.

Ewunia szczytna Polka nie chce słyszeć o weselu, odkłada je na szczęśliwszą porę.

Źle jest mieszać i żenić z wesołością płacze;

Pluje na grób ojczyzny kto w jój smutku skacze.

Dwa te wiersze powinnyby zamienić się w przysłowie. Pisząc, je odezwało się zapewne w Morawskim przypomnienie tych bachanaliów, jakie Kraków wyprawiał w r. 1813, kiedy rząd i wojsko Księstwa Warszawskiego schroniło się tamże przed Moskalami i było w przededniu wyemigrowania z ojczyzny. Kajetan Koźmian i on skarcili

wówszas biczem satyry tę nieszczęsną wesołość, podobnie jak w ośmnaście lat później skarcił ktoś rymem Tańczące Polki w Warszawie.

Rozjechała się szlachta z imienin, i niebawem żarzyć się zaczął jakiś tajemniczy ogień po kraju. Po dworach ruch niezwykle, zjazdy i zmowy, nocami broń przewożą; w kuźniach kują młoty, młodzi ujeżdża konie — i jacyś nieznani wásale kręcą się po drogach. Między gminem nawet krążą jakieś wieszczby o trzech miesiącach, o krwawych słupach widzianych na niebie, o płaczącym cudownym obrazie. Cały ten ustęp o przepowiedniach zwiastujących wojnę wyborny; lubo podobna scena w Goszczyńskiego Zamku Kaniowskim, w której poeta wystawił żydów modlących się w bóżnicy, ma nie tylko wyższość jako bardzo oryginalne, pełne zgrozy malowidło, ale jeszcze wiąże się z przedmiotem tak ściśle, że kiedy ją pisał, pewnie nie pomyślał sobie: trzebaby konieczne wsadzić ustęp o wróżbach hajdamackiej rzezi. Najcenniejsze są te piękności, które same wysnuwają się z naturalnego toku przedmiotu: klasycy zaś miewali zazwyczaj z góry obmyślane ustępy, i tak: tu trzeba wsadzić burzę, tu pożar, tu sen, tu pieczarę, w której schodzą się kochankowie;

bo wszystko dawno obrobione, dawało gotowe patrony Morawski w takich ustępach zatrzymał tylko intencję, rysunek zaś i farby, są już jego niezaprzeczoną własnością.

Cóż robi Dziaduś? Dziaduś starym obyczajem wolnego obywatela Rzeczypospolitej siedzi po nocach I układa manifest, znów drze, maże, pisze, Z praw go świętych, praw ludzkich, bozkich wyprowadza, Gromi, — żółcią doprawia, łaciną dosadza

Ileż to historycznej prawdy w tym jednym szczególe! Manifesta najgęściej powtarzały się podczas Barskiej konfederacji, kiedy Moskwa napadała i łupiła dwory, bezceściła kościoły. W Bieczu wpadli Moskale do miasta, złupili i sprofanowali kolegiatę, wyrzucając na ziemię komunikanty, i popełniając najokropniejsze ekscesa rabunku i gwałtu, — zdawałoby się, że to powinno było poruszyć krew w starcu i w dziecku, a cóż dopiero w zdrowych i składnych do konia i oręża mężach — gdzie tam! Napisali manifest i oblatowali go w grodzie, spodziewając się zapewne, że Pan Bóg ujmie się ich krzywdy, i zesze im w pomoc legiony aniołów z ognistymi mieczami A jednak nie była to nieczułość na los Rzeczypospolitej, raczej nazwałbym to wiarą w moc prawa, w nietykalność szlach-

cica. Przywykli za poniesione krzywdy od swoich, wydawać manifesty i pozwy, mniemali że i na moskiewskie gwałty wystarczy trybunał lubelski. Sprawiedliwość trybunałów naszych nie musiała być tak wątlą, kiedy się na nią powoływano w przypadkach nie mogących nawet znaleźć zastosowania. Składać winę na znikczemnienie rycerskiego stanu, nie zdaje mi się dość słuszném, tém więcój, że w owej epoce miętkość i zbytki nie zawitały jeszcze do dworców szlacheckich. Wiara w wymiar sprawiedliwości pisała te manifesty, tam, gdzie je pisać należało ostrzem żelaza w krwi najeźdźcy maczaném. *Aide - toi, Dieu t'aidera*, to dopiero naszój epoki godło.

Gdy tedy Dziaduś pisał manifest, — jakiś Derdydas, szubrawiec z orłem, stawą przed nim i rzuca mu papier. Był to patent czyli uniwersał króla pruskiego, nakazujący składać homagiálną przysięgę. Dziaduś oburzył się, porwał gwintówkę; Prusak czmychnął krzycząc: bunt! bunt! Niebawem nadjechali siepacze, okuli starca i wtrącili do więzienia.

A więc się znalazł ktoś z Wielkopolan, co z poświęceniem swojej osoby zaprotestował przeciw zaborowi? Historia inaczej mówi; a lubo

historykiem tym jest ironiczny i żółciowy Kito-wicz, jednakowoż, jeżeli wyjątkiem z ogółu był Dziaduś poetyczny, nie można historyka winić, że go na liście wyjątków nie zacytował.

Domyślam się, że Morawski czytał w Kito-wiczu ów ustęp opowiadający co się działo w Wielkopolskich województwach przy drugim rozbiore, który tak brzmi:

„Z uniwersałami czyli patentami rozesłani po „powiatach komisarze pruscy, dwaj do każdego „powiatu, których odwoziły z miejsca na miejsce „konie chłopskie albo dworskie, do ich kolasek „i pół - karet zaprzężone

„Komisarze ci przybywszy do dworu, lub do „księdza, najprzód odezwali się do gospodarza nie- „mieckim językiem; a jeżeli im nie odpowiadał „tym samym, jeden z nich dobrany w każdej parze „z umiejętnością języka polskiego, dosyć że do „zrozumienia, zaczął opowiadać poselstwo swoje, „jako przybył z oznajmieniem, iż ten kraj odtąd „należeć będzie pod panowanie króla pruskiego pod „imieniem Prus Południowych. Po tym krótkim „komplementcie, oddał cztery egzemplarze paten- „tów panu miejsca, drugie cztery księdzu, aby „były w kościele publikowane i na drzwiach ko-

„ścielnych zawieszone; trzecie cztery przez sługę
 „swego posłali komisarze do karczmy, aby tam
 „u belki lub na ścianie zawieszone były. W mia-
 „stach zaś i miasteczkach oddawali takie egzem-
 „plarze burmistrzom, a drugie do kościoła, trzecie
 „przybijali do drzwi ratusznych; w każdym także
 „mieście na bramach, a gdzie tych niemasz, na
 „słupie w środku rynku wkopanym, przybijali orła
 „czarnego na blasze wymalowanego, i na to ze-
 „wsząd brali rewera. Gdzie ich przyjęto z ludz-
 „kością, wzięwszy posiłek w trunku lub potra-
 „wach skromnie, podziękowawszy grzecznie za
 „ochotę, niebawiac dalej pospieszali, tylko do tych
 „wsiów zajeżdżając, w których były kościoły pa-
 „rochialne, gdzie albo we dworze, albo u księdza
 „w plebanii tyle zostawiali egzemplarzy pomienio-
 „nych patentów, ile było w téj parochii szlache-
 „ckich dworów, a których każdy dwór z osobna
 „był obowiązany komisarzom do stacyi opowie-
 „dzianej, do której się przenieśli, przysłać rewera,
 „jako patent odebrał.

„Nie było ani jednego w całym kra-
 „ju, któryby albo patentów nie przyjął, albo re-
 „wersu nie przysłał; taką we wszystkich obywa-

„telach polskich król imci pruski znalazł podle-
 „głość i posłuszeństwo. *) “

„Nie było ani jednego w całym kraju któryby
 albo patentów nie przyjął, albo rewera nie przysłał“
 — wyrazy tak kategorycznie brzmiące, musiały
 przykro dotknąć poetę, gdy je czytał. Rehabili-
 tował więc swoją prowincję w szlachetnym obu-
 rzeniu się Dziadusia — i rzeczywiście nie była
 to fikcja; na dnie każdego serca leżało to obu-
 rzenie się, które niebawem na jaw wyszło podczas
 powstania Kościuszki, gdy Dąbrowski wszedłszy
 z niewielką siłą do Wielkopolski, znalazł umysły
 przygotowane do chwycenia za broń. Dywersya
 sprawiona na tyłach armii pruskiej, zmusiła króla
 Wilhelma, oblegającego Warszawę, do odstąpienia
 i nie mieszania się już do téj wojny. Owéj zaś
 obojętności, z jaką Wielkopolanie przyjmowali
 pruskie rządy za drugiego zaboru, nie inna przy-
 czyną, tylko pewne znużenie się wstrząśnieniami
 politycznemi; niedawno przeważnie rządziło stron-
 nictwo konstytucyjne; przychodzi reakcja targo-
 wicka i wywracając dzieło czteroletniego sejmu,
 ciężko daje się we znaki obywatelstwu, — ztąd

*) Pamiętniki księdza Jęd. Kitowicza, T. III. r. 1845.

przejście z anarchizmu i samowoli Targowiczan pod rząd regularny, choć obcy i wstrętny, wydało się pożądaną ulgą w zwykłym trybie życia. Tyrania fakcyi stokroć była przykrzejszą i cięższą, niż obca regularna władza, mająca rzeczywistą siłę. Wreszcie nowi panowie bardzo delikatnie i grzecznie brali się do dzieła; wystudywali dobrze wszystkie słabości nasze i umieli zręcznie je wyzyskiwać, jak owemi bankietami homagialnemi w pojezuickim kolegium w Poznaniu, gdzie hojnie częstowano napitkiem i jadłem, aż nieznacznie z Polaka każdy się, mówiąc słowami Trembeckiego: „w Południowca przemienił.“ Smutne te rysy historii zatarła poezya. Tu odsłania się wielkie jój posłannictwo: podnosić, uszlachetniać, wiązać wielką myślą, tworzyć idealną Ojczyznę, jakby miasto niebieskie, unoszące się w obłokach nad padołami ludzkich nędz, niedostatków, upadków i słabości.

Dziaduś wtrącony do turmy pokutuje, że chciał zostać Polakiem a nie Południowcem. Tymczasem wybija godzina powstania Kościuszki, zaczynająca się tryumfem Racławic, a kończąca się katastrofą Maciejowic i Pragi. Poeta poświęca kilka wzniosłych ustępów téj rozpaczliwej walce, która

położyła kamień grobowy bez napisu, kto pod nim spoczywa.

Dziaduś w więzieniu słyszy huk dział — domyśla, się że naród walczy o swoje prawa, — ale nikt nie przychodzi odemknąć więzienia, nikt rozkuć jego więzów! Raz tylko dochodzi go pod oknem wdzięczny śpiew niewieści; piosenka polska napawa go nadzieją, — gdy wtém strzelił szyldwach — pieśń się urwała i znowu cicho jak dawniej.

Nareszcie pewnego dnia wchodzi dozorca i mówi: Wolnyś!

— Ktoś ty jest? pyta Dziaduś.

— Polak, a od trzech dni dozorca więzienia — odpowiada zapytany.

— Cóż cię zmusiło do tak podłej służby?

— Głód dzieci; żonę zamordowano mi na Pradze, a po wojnie dano mi sprosny urząd.

— A więc była wojna? A więc odzyskaliśmy Litwę i Koronę? Wszystko odbite?

— Stracone!

Dziadunio usłyszawszy to okropne słowo

Ryknął z żalu, — przyklęknął, — wznosił oczy ku Bogu, Krew buchła, — serce pękło — i skonał na progu.

Któż śpiewał tę pieśń przerwana strzałem?

Spięwała ją Ewunia; lecz ugodzona kulą, połączyła się w niebie z starcem męczennikiem

Cała ta część wymagała większego rozwinięcia i dramatyczności. Poeta poprzestał na samém szkicowaniu. Pobyt starca w więzieniu mógł być dziwnie udratyzować, przypuszczając do jego kaźni odgłosy ze świata, które na rozdrażniony cierpieniem, a samotnością do wielkiej czułości doprowadzony system nerwowy, działają jak odurzające opium. Najmniejszy jakiś znak, dźwięk przyniesiony powietrzem, przecuciowy niepokój, sennie marzenie, wyraz twarzy dozorca, zgola wszystko, dla zwykłego obserwatora często obojętne, dla więźnia staje się znaczącą wskazówką, na której skombinowanie i wytlómaczenie wysila się jego wyobraźnia

Ci co przešli przez katusze więzień, mogą coś powiedzieć o tej męczącej fantasmagoryi. Poeta ledwie po wierchu dotknął jej, gdy Dziadusiowi pozwolił usłyszeć daleki huk armat, i na tém poprzestał, pomijając tyle innych perypecyi, przez jakie więzień przechodzi w chwili tak płodnej, w szal radości jednych, przestrach i pomieszanie drugich, jak powstanie narodu. Nie więcęć rozwinał tę sytuację, wprowadzając śpiew Ewuni pod oknem: który ma

coś balladycznego, jak śpiew trubadura Blondela pod więzieniem Ryszarda „Lwie Serce“, a śmierć jej od kuli sztyldwacha, tak coś romansowego, jak śmierć której heroiny Byrona. Wolałbym widzieć Ewunię w roli naszych matek i sióstr, wydeptujących wschody satrapów, znoszących upokorzenia i naigrwania się, niewyczerpanych w sposoby porozumiewania się z więźniem, ulżenia jego niedoli, a nawet wydobywania go z katowskich szponów. Strzał sztyldwacha — nic nie mówi; murzyn spełnił swoją powinność i nic więcęć.

Epilogiem do tego posępnego obrazu, kręślącego dzieje męczennika patriotyzmu, jest kilka ostatnich ustępów, poświęconych wspomnieniom epoki utworzenia Księstwa Warszawskiego. W tym dworze, gdzie niegdyś takie życie wrzało, a gdzie teraz osiadła cisza grobowa z jednym sługą dawnych panów, włóczącym się jak pokutująca dusza po zarosłych chwastami ścieżkach i kątach, pajęczyną zasnutych, — w tym dworze zjawia się po wielu latach młodzian. Któż on jest? Nie tenże to

co w dzieciennych latach

Igrał tutaj po cichych Dziadunia komnatach,
I marząc, że z swym wrogiem stacza bitwę wielką,
Z drewnianego konika wywijał szabelką.

To ten sam. Patrz jak ściska starego sługę, jak wypytuje o wszystko, a o sobie też rozповіда, że służył pod Dąbrowskim w legionach, a teraz przybywa z wojskami cesarza Napoleona, który przychodzi Polskę wskrzeszać:

Za Polskę teraz bój stoczemy,
Bo jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy!

Młodzian ten, tułacz po obcych ziemiach, zjawia się jak Orest - mściciel. Potrzebnym był ten epilog. Dusza czytelnika rozdarta niesprawiedliwością losu, jaki spotkał cnotliwego starca, czuje się, jakby przyniesioną widokiem tryumfującej zbrodni. Owa więc Nemezis historyczna ratuje od zwątpienia, ukrzepia wiarę w Opatrzność, która jeżeli dopuszcza ciężkie kary na naród, to i narzędzia tych kar, kiedy przekroczą granicę sprawiedliwości, upokarza i kruszy

Jeżeli opisowa część tego poematu pod każdym względem należy do klasycznych pereł polskiej poezji, to druga, lubo bogata w piękne wiersze i myśli, grzeszy deklamacyjnym liryzmem; ztąd podlega niedostatkom, które wyżej wytknąłem.

Pewny jestem, że sam Morawski czuł czego niedostawało jego poematowi. Obdarzony trafnym sądem, niechybnie widział brak rozwinięcia epicz-

nego i dramatycznego. W młodszych latach byłby zapewne całą drugą część przekreślił i napisał nową; w późniejszym wieku już mu się nie chciało wracać do tej pracy; a może też uwaga ta przyszła mu za późno, kiedy poemat był już wydrukowany. W liście do Kajetana Koźmiana tak o tém pisze:

„Nie kontent jestem ze Dworca, choć się „powszechnie podobał; a poprawiać się nie chce. „Wreszcie wygodniejsi sędziowie Wielkopolscy niż „Lubelscy. Tamtym trzeba coś smakowitszego za- „stawić; tutejsi i biędotą się kontentują, jako do „wasser - zupek przywykli.“

Dworzec mego Dziadka z zapalem był wszędzie przyjęty. Wielkopolska wiele ma do zawdzięczenia mu; on pierwszy, jeżeli nie ozłocił słońcem, jeżeli nie ubrał wonnemi mgłami poezji jej monotonnych płaszczyzn, — to u domowych ognisk zaklął opiekuńczego ducha, który podobnie jak duch Dziadka „staje w progu cały w śnieżnej bieli“ i wpatruje się w tę lub ową stronę nieba łyskającego nadzieją.....

XVI.

Niespełna w dwa lata po wydrukowaniu Dworca mego Dziadka, wydał Morawski swoim nakładem: Pięć poematów lorda Byrona *). Żeby się nie spotkać zapewne z innymi tłumaczami, którzy dokonali przekładów Giaura, Korsarza, Dziewicy z Abydos, wybrał Manfreda, Mazepe, Oblężenie Koryntu, Paryżynę, Więźnia Czyllonu.

Od dawna już, jak to sobie z jego listów przypominamy, ubóstwiał on albiońskiego wieszczą. Śmierć jego podana w ofercie powstającej Grecyi, zrobiła na nim w swoim czasie mocne wrażenie, tak że nawet na pamiątkę tego zgonu zasadził kilka drzewek w Piotrowicach, i zawsze wywiadywał się, czy się przyjęły, czy pięknie rosną? Atoli cicha ta cześć nie wystarczyła jego admiracyi; sądził więc, że kiedy ogół poezyi naszej ozdobi kilkoma poematami swego ulubieńca, wywdzięczy się ceniom wieszczą za doznane rozkosze w obcowaniu z jego utworami. Nastawał na niego Koźmian, żeby pisał oryginalnie, a w tłumaczenia się nie wdawał; lecz on został przy swoim zamiarze

*) W Lesznie, drukiem Ernesta Günthera, 1853 r.

i usprawiedliwiał go tём, że przez spolszczenie poematów Byrona, więcej poetycznego żywiołu spłynie w nas, niż z tylu miernych wierszydeł kleconych na tle niby narodowém. Nie mylił się w tём. Poznanie znamienitych wzorów kształci publiczność i robi ją wybredniejszą, że nie poprzestaje na lada niedowarzonem kąsku.

Podobnoś jeszcze w Stydyniach na Wołyniu, gdzie się śmiertelnie nudził, z pamięci, o ile ta była mu wierną, zaczął przekładać Paryżynę; następnie w Luboni, w długich zimowych wieczorach poświęcał tój pracy odpoczynek po dziennych trudach gospodarczych; i tak powstało Pięć poematów.

Niemcy, Francuzi, mają po kilka tłumaczeń zupełnych dzieł Byrona. U nas tłumaczono tylko poemata i to nie wszystkie; o lirykach i trajedyach ani słychu. Za to kiedy Niemcy i Francuzi dają wyrób tandetny, nasze przekłady odznaczają się taką doskonałością, że mogłyby wejść w poczet oryginalnej literatury. Giaur Mickiewicza stoi na czele, potём idą przekłady Morawskiego, Wiktora Baworowskiego Don Juan, Odyńca Korsarz. Z tych tłumaczeń możnaby zrobić wybór, dopełnić i dać Byrona w komplecie.

Nie zdarzyło mi się w licznej korespondencji, służącej za materyał do niniejszej monografii, trafić na ustęp, gdzieby Morawski dawał zimny sąd swój o Byronie. Uważałem tylko, że angielski poeta zachwycał go, i unosił w szczytne sfery swojej fantazyi; czy go w nich trzymał do końca? Niewiem. Nic dziwnego; bo któż nie uległ tej jego przemocy? Kogo on raz pochwycił za wszystkie włókna czucia i wyobraźni, czyż nie targał niemi dopóty, aż pękły w niemocy, albo wyjęczały wszystkie tony złożone w sercu człowieka? — Usunąwszy się z zaczarowanego koła byrońskiej poezyi, można zdać sobie sprawę z natury tych wrażeń, i zapytać siebie samego, dla czego tak jak po przepiciu się na nocnej hulance, tak po czytaniu Byrona, czujesz nazajutrz w sobie wielką czczość i smutek. Właśnie téż dwa te symptomata: czczości i smutku, zostają ci po fałszywych rozkoszach, po tej rozpuszceniu poezyi, po tém pijaństwie wyobraźni, po tych konwulsjach i spazmach sercowych.

Trafnie Lamartine powiedział, że poezjom Byrona niedostaje trzech rzeczy: rozumu, cnoty i Boga, a zatém trzech najważniejszych rozkoszy duchowych.

Wyobraźnia u niego wyteżona do ostatnich granic, szaleje jak u Russa; czułość ma w nim ostatni swój wyraz, ale to czułość chorobliwa, skłonna do samobójstwa jak u Werthera; cóż że wnika we wszystkie tajemnice nędz ludzkich, prawie jak Job biblijny — kiedy aż do bluźnierstwa posuwa to swoje współczucie dla nędzy i nieszczęścia, i zamiast człowieka podnieść do Boga, téj bezdni nadziei, ona go wtrąca w nicość, w bezdeń rozpacz, i cierpiącej ludzkości rzuca na pożegnanie śmiech szatański, zamiast łez miłości, gojących rany.

Są niektórzy co w tych bluźnierstwach, ironiach, szałach wyuzdanych, widzą znamiona wyższego ducha, śmiały i odważny pozew, rzucony w oczy losowi i Bogu. Właściwie jest to tylko rękawica rzucona rozumowi. Zdrowego sądu brakuje całej tej szkole, nazwanej w prostej linii od niego szkołą sataniczną. Bluźnierstwo nie jest odwagą; więcej ma odwagi kto umie cierpieć. Cóż łatwiejszego jak krzyczeć lub śmiać się udanym śmiechem w męczarniach zagadkowego bytu? a cóż szczytniejszego jak los wydzielony na ziemi przyjmować z pokorą, i błogosławić mu, mimo poszeptów zwątpienia, mimo wzdrygającej się na-

tury, mimo rozpaczy szukającej odwetu w bluznierstwie?

Co nie jest najwyższym rozumem, nie może być najwyższą poezią.

Ten świat nie jest paradoksem Twórcy, lecz prawdą.

Toż i paradoksalny poeta mimo całej potęgi wyobraźni i czucia, nie jest jeszcze prawdziwym poetą. Lot jego zwichniony; zamiast wzbijać się do słońca, pędzi w przepaść, i obłąkuje w mrokach zwątpienia i rozpaczy, tych, co mu się porwać dali.

Czegóż mu brakowało, żeby był największym jeniusem w dzisiejszości? Oto harmonii darów poetycznych. Ma on wyobraźnię, twórczość, czułość, wewnętrzną tęsknotę nigdy niezaspokojoną, ma wszystko, lecz w nierównym stosunku do innych przymiotów, tworzących tak wielkiego człowieka, jak wielkiego poetę.

Rozsądku i moralnych podstaw brakuje jego jeniuszowi, będącemu raczej jeniusem sofizmu, niż prawdy. Nie można też inaczej zdefiniować go, tylko że to był największy sofista poezji, grający na najszerszej skali paradoksów.

Dla czegóż wiek nasz podniósł go tak wy-

soko? Czy, że widział w Byronie uosobienie i popisywanie się niektórymi wadami, będącymi własnością wieku? Zdaje się że tak jest.

Ów wyraz cierpienia wśród wesołej zabawy; owa czynów szlachetność z której się potem sztywności zachciankach; stawianie wyjątku w miejsce reguły; malowanie występku uroczemi barwami; pociąg do gwałtownych sytuacji; heroizm rozbójników i złodziei; człowiek w zapasach nie z olbrzymami, lecz z losem, z własną namiętnością zbuntowaną przeciw powinności — oto ujemne strony naszego wieku uosobione w Byronie. Niemogąc cierpieć zimnego i sztywnego kalwinizmu, rzucił się w niewiarę gorszą niż pogańska. Z nieporównanym talentem, z nieograniczoną pychą smagał arystokrację purytańską i mieszczaństwo angielskie za ich hipokryzyę; a jednocześnie drwił z liberalów, opluwając i depcąc wszystkie zasady. Muzę jego była wzgarda. Dla tego też we wszystkich jego kreacjach nikogo nie studiował, tylko siebie. Korsarz, Lara, Manfred, Giaur, Don Juan, to zawsze Byron, tylko raz w tym, raz w innym kostiumie, stosownie do tego, jakim się widział, lub czuł w danej chwili.

Targany pychą upadłego anioła, poprzysiegający zemstę społeczeństwu, które mu nie biło czołem i odepchnęło od siebie, miotany niepokojem że nie miał pola dla swęj działalności, szukał miłości w wyuzdanęj rozpuście, chwały w sprzeczności z przyjętęmi wyobrażeniami, czasami napadał go heroizm wolności i praktykował go w awanturniczych wybrykach pod despotyzmem tureckim, zamiast go szukać w silnęj konstytucyi angielskięj.

Takim był Byron w życiu i pismach.

Jak życie, tak pisma, nie pozostały bez ogromnego wpływu na naszą epokę. Świat rozruszany wojnami napoleońskimi, marzył za jego przykładem, o dalekich awanturach między ludnością półdziką, o rozbójnikach, korsarzach, o wykwintnych występkach, o przesyconych rozpustnikach, i zaczęł zżymać się na ustrój i węzły społeczne, jakoby te przeszkadzały ruchliwości materyalnej. Jak każdy naśladowca wielkiego wzoru przyswaja sobie tylko najpośledniejszą jego stronę, tak stało się modą udawać znudzonego zwykłym biegiem codziennego życia, wmawiać w siebie pogardliwą wyższość i to wtedy, gdy cywilizacya równała nierówności społeczne; w literaturze znowu prze-

sadzać uczuciowością, właśnie kiedy uczucie w zwykłych stosunkach życia coraz więcj wątało. Ztąd to porodziły się owe dusze cierpiące, bolejące, niezrozumiane, a w gruncie słabe, bez woli, bez charakteru, niegodne mierzyć się z czerstwą duszą prostego wyrobnika, który wierzy, modli się i codzień pcha taczkę swoję. Umyślnie przybierano rolę ofiar, aby tym sposobem wystawić na wzgardę i potępienie zasady obowiązku i powinności na jakich stoi społeczność. Nie sumienie, lecz namiętność stała się regulatorem postępku człowieka; wielka namiętność, a przynajmniej podawana za takową, usprawiedliwiać miała największe brudy i zbrodnie. Francya, rywalka Anglii, zazdroszcząc jęj wielkiego poety, najsilniej poddała się jego wpływowi; i to wszystko, co ten wyjątkowy człowiek wyzionął w jeniałnych konwulsjach, w gorączce pychy i zemsty, która nie mogąc wyjść na wierzch, schowała się w nim — zaczęła rozwijać i popularyzować w literaturze. Szkoła ta nazwana szaloną, rozpostarła się najwięcj w dramacie i romansie, dwóch najprzystępniejszych rodzajach, szerząc ogromne spustoszenie w moralnych pojęciach, i zarażając zatrutym oddechem inne literatury europejskie.

Strony te ujemne muzy i żywota angielskiego lorda podniosłem dla tego, że one jedynie największy wpływ wywierały, większy nierównie niż strony dodatnie jego poetycznego jeniusza, co jest w zwykłym porządku rzeczy ludzkich. Znajdzie się ktoś niezawodnie, kto oceni szkodliwość jego wpływu na dzisiejszy stan piśmiennictwa. Zuchwały lord nie cofał się przed żadnym nadużyciem; była to własność jego tamerlańskiego jeniusza; — po nim, nadużycie stało się prawidłem dla najmierniejszych nawet talentów, mających do jeniusza pretensye.

Po wysnurowanych suchościach, i bezduśnych szablonach literatury pseudo-klasycznej — zjawienie się Byrona wywołało ogromną rewolucyę w świecie ducha; — lecz nim to wstrząśnienie wejdzie w zdrowe organiczne karby, wprzód napłodzi dużo potworów.

Entuzyazm, jakim pałał Morawski dla wielkiego poety, był ten sam, jaki się ma na widok majowej burzy, zajmującej szeroki horyzont, burzy, z błyskawicą rozdzierającą do dna niebios sklepienie, a sypiącej piorunami, jakby padał deszcz siarczysty..... Patrzysz na nią, i żal ci, że nie jesteś jednym z aktorów tego dramatu

natury, choćby małym piorunem, z jakąż rozkoszą biłbyś w głowy złoczyńców i tyranów, palił gniazda zbójckie, lub je zatapiał powodziami!...

Piękne to, okropnie piękne! z tém wszystkiem miło ci obudzić się nazajutrz i powitać szklanny błękit i pogodne słońce. Burza nie jest stanem powszednim natury. Szał gorączkowy i konwulsye namiętnej duszy, jak nie są stanem naturalnym człowieka, tak nie są głównym i jedynym przymiotem poezyi.

Morawski przepadał za Byronem, atoli nie napelniał się jego duchem. Tu możnaby słusznie zastosować do niego, te słowa, co mu Koźmian często powtarzał z wyrzutem, że obstawał za romantykami: „Chwalisz ich, bronisz — a czemuż nie piszesz jak oni?“

Morawski chciał i umiał pozostać samym sobą. Jeżeli przekładał Byrona, to dał go poznać publiczności naszej w utworach, gdzie jeniusz poety trzymał się w granicach swego przedmiotu, przezco nie miały one tego znaczenia i doniosłości, jakiej nabywają wszystkie jego utwory, zestawione z życiem, które więcej, jak u którego bądź poety od początku świata, wiąże się z jego płodami, i służy im za wymowny komentarz.

Byron mimo tego nic a nic nie wpłynął na jego sposób pisania. Mógł tu i owdzie w drobnych poezjach pożyczyć od niego formy, tonu, farb — ale ducha, nigdzie; dla którego to na bytku, musiałyby się wyzuć ze swoich silnych wierzeń, zasad moralnych i rozsądku.

Podziwiał poetę, lecz się jego poezją nie spijał, i nie tracił równowagi, jak ją potracili ci, którym zachciało się byronizować.

Cóż powiedzieć o samym przekładzie? Trzeba go czytać, żeby poznać jak tłumacz umiał pozostać wiernym angielskiemu wzorowi, a zarazem zachować tę ciągłość, jednolitość, niewymuszoność dykcji i stylu, będących raczej cechą oryginalnych utworów, niż tłumaczeń.

Gdyby dzieła Byrona zginęły, a zostało to tłumaczenie, kiedyś, po wielu wiekach, mógłby nieświadomy rzeczy, wziąć je za samorodny płód polskiej muzy. Giaur Mickiewicza ma te same własności, tylko jeszcze bardziej spotęgowane, mianowicie w tej płynnej, niczém nie hamowanej swobodzie dykcji i trafności rymowania. W Morawskiego przekładzie znać więcej wypracowania, co jeszcze nie mówi, żeby miał być wymęczony.

Z jaką starannością i sumiennością, lecz nie

niewolniczą, pracował nad przekładem angielskiego poety, mamy dowód w listach do Stanisława Koźmiana, wybornego znawcę angielszczyzny, a nadto poetę, którego niekiedy wzywa, aby mu pomógł w przełamaniu jakiejś trudności.

„Manfred — pisze Jenerał — jeszcze drugiego niedostarczył arkusza. Skończywszy jego poprawę, poprawiam ostatecznie Mazepę. A czy wiesz co u mnie ostateczną poprawą się zowie? Oto namęczywszy się w przekładzie samym nad wiernością, odjąć tłumaczeniu nakoniec ten przyrusek, który z chęci wierności pochodzi, a językowi polskiemu naturalny tok jego odbiera. To u mnie jest ostatnią ręką. Może mylę się, ale zawsze styl na lotności zyska, będzie prawdziwie polskim. Będę może mniej wiernym oryginałowi, ale wierniejszym mowie rodzinnej i pierwotwór na tém niestraci. Pozwól się spytać o radę. Kiedy Mazepa na wpół umarły przepływa rzekę, mówi w oryginale:

Czuje żem ożył, że silniejszy jestem

Zimnym wód rzecznych orzeźwiony chrzestem.

Otóż pytam, czy można powiedzieć: chrzestem, czy też chrztem? Słyszałem dawniej utrzymujących, że jak się mówi czci i cześci,

tak i tu, oba wyrażenia są dobre. Jakież twe zdanie? Jeżeli trzeba zmienić, to zmienię, ale ujmę może siły:

Czuje żem ożył i że zgasze siły

Zimnym wód rzecznych chrztem się orzeźwiły.

Po Mazeppie przyjdą zapytania o niektóre wyrażenia z *Oblężenia Koryntu*, na które zawczasu zamawiam sobie odpowiedź.“

W innym liście tak pisze w tej materii:

„Ostatni raz już nudzę cię prośbą o radę. Poprawiam ostatecznie *Paryzynę*, która, dla nadzwyczajnie delikatnych odcieni, więcej trudności mi zadawała, a przytém pierwszym moim przekładem była z *Byrona*. Kiedym więziony pod *Uralskimi Górami* nie mógł w pierwszym roku wymodlić sobie żadnej książki do czytania, ani jęj sprowadzić sobie, ratując się w tak nieznośném położeniu, z pamięci zacząłem przekładać *Paryzynę*, i jak mogłem przełożyłem, częściami dobrze, częściami mniej wiernie. Chcąc później, po otrzymanej już wolności, przekład ten do należnej przywrócić wierności, czynilem co mogłem, ale zawsze ślad widoczny pierwotnej niewierności został i nigdy zupełnie zatrzeć się nie dał. Niepodobna już prawie zaradzić temu zupełnie, a

szkoda byłoby tak uroczy kwiat *Byronowskięj* poezyi wyrzucać ze zbioru mego, zwłaszcza że są miejsca silnie bardzo oddane, przeto proszę zwrócić uwagę choć na kilka wierszy, które mnie najbardziej trapią.... Idzie mi o to, aby z małą obrazą wierności, jasno i gładko było po polsku. Wierność czasami niekoniecznie potrzebną będąc, w gimnastyczną tylko zmienia się walkę, kiedy na to przedewszystkiém zważaiby wypadało, że się dla Polaków ich językiem pisze. Aby tylko obrazowi nadać jego wybitność, i wyssać z niego tyle ile możliwości poezyi, i styl oryginału naśladować, dość jest podług mnie. Można coś dodać lub ująć, lecz zawsze w duchu oryginału; nie zważać na szczegóły drobniejsze, często tylko dla rymu położone, śmiało tłumaczyć jak poeta, a nie jak kopista, słuzalec niewolniczy; nie dagerotypować, lecz kunsztownie naśladować, to zawsze miałem na myśli w moich przekładach. Może nie słusznie, może téż słusznie, lecz zgodnie z naturą moich zdolności. Oto jest moje wyznanie wiary. Podług tego chcę być sądzonym.... Na dziś tyle, zostaje jeszcze kilkanaście wierszy mniej dobrych, lecz z temi sam się męczyć będę. Posyłam tylko te, których zwalczyć nie mogę.“

Teorię tłumaczenia jaką Jenerał wyklada w tych dwóch listach, i jakiej trzyma się w swoich przekładach — mógłbym nazwać teorią poety, jedynie dobrą między różnymi metodami tłumaczenia dzieł poetycznych. Wszelkie wierności posunięte aż do niewolniczego kopiowania zwrotów i własności obcego języka, a nieledwie jego brzmień, są podług mnie najgrubszym przezwierzeniem się dla własnej mowy, która uczuje się pogwałconą i ze swoich przymiotów obdartą. Przed laty tłumaczono u nas na sposób francuski lekko i powierzchownie, z czego rodziła się płynna bezbarwna niewierność; dziś weszło w modę tłumaczyć na sposób niemiecki z niewolniczą, pedantką wiernością i przekładów tych nikt strawić nie może, tak są przeciwne duchowi języka. Zwykle tak bywa, kiedy ludzie obrani z poetycznego daru, rwą się przelewać poetę. Niedziwiłbym się, gdyby dzisiejszy czytelnik, czytając tak przetłumaczone jakie arcydzieło starożytne, zawołał w rozczarowaniu: Dziwię się jak ludzie przez parę tysięcy lat mogli chwalić i podziwiać taką ramotę! Musi to być jakaś mistyfikacja!

Można sobie wyobrazić jak Morawskiemu krew psuły mniej udatne, a właściwie niedbałe

i mgliste *) tłumaczenia z Byrona tych samych poematów które on przepolszczył. W jednym liście do K. Koźmiana z r. 1845 tak mówi z tego powodu:

„Zastałem tu (w Mińsku) nowy przekład „Mazeppy, za który nie dość krytyki i chłosty. „Naszą zasadą w przekładach było, być wiernym „autorowi, a tam tylko odstępować od oryginału, „gdzie język oddzielny do tego zmuszał, lub gdzie- „śmy mogli być wierniejszymi naturze, którą au- „tor pierwotworu kopiował. On zaś Byrona prze-

*) Czytałem w Tygodniku Poznańskim (Ner 2. 1862 r.) przyganę zrobioną przekładowi Morawskiego, z powodu że pozwolił sobie odchodzić od oryginału w zamiarze sprostowania go; np. w rysach obrazu króla Jana Kazimierza, podobnież że nie wahał się opuszczać z oryginału po kilka i kilkanaście wierszy. Winić o to tłumacza, że sprostował przedmiot Polskę obchodzący, nie mam za bardzo słuszne. Morawski lubił, żeby to, co z pod jego pióra wychodzi, było doskonale piękne, dla tego nie mógłbym żądać od niego téj niewolniczej precyzji krawców chińskich, co szyjąc mundury dla francuzkiej okrętowej załogi, wszystkie poszyli podług danego wzoru — z łatką na kolanie!

„rabia na swoje kopyto, to jest baje i szkaradzi. „Łajałeś mię przed Karolem (hr. Jezierskim, jego „zięciem), że tłómaczę; cóż! gdy mam to głębo- „kie przekonanie, że i w dziesięciu moich orygi- „nalnych poematach nie przyniosłbym narodowej „literaturze takiej masy poezyi, jak w jednym „przekładzie z Byrona. Mała chwała — ale po- „żyteczniejsza dla ogółu.“

Skromne wyznanie! a jednak Dworzec me- go Dziadka więcej wspomnień poruszył, żywiej dla niego serca bily, niż dla byrońskich Manfre- dów, Alpów, Paryzyn, tych bohaterów i bohaterek zrobionych z „wyobraźnej pianki.“

Rzeczywistość poetyczna prawie zawsze ma górę nad poezją imaginacyi.

XVII.

Było zamiarem jenerała wydawać po kolei wszystkie swoje prace, które miał tomami przy- gotowane do druku.

Przed wydaniem Dworca pisał on do Ko- źmiana o tym swoim planie:

„Pytasz się o Dziadunia? Odpowiadam ci, „że dawno fertig, jak mówią w Wielkopolsce.

„Lecz na cóż się to wszystko zda? Mam mate- „ryału na cztery jeszcze tomy, nie mówiąc już „o wydrukowanym (poezycie we Wrocławiu. T. I. „1841). Drugi tom mógłby składać Dworzec Dzia- „dka, Bajki, Parchatka, i drobne poezycie. Trzeci „objąłby Manfreda, Paryzynę, Mazepę i Oblęże- „nie Koryntu *). Czwarty Andromakę; komedyc „przełożoną wierszem. Piąty Mowy, i com tylko „prozą nabazgrał lub jeszcze nabazgrzę. Któż to „drukować będzie?“

Plan ten nie przeszedł w wykonanie: Dwo- rzec wyszedł osobno; potem osobno pięć po- ematów Byrona — a każda z tych książek w innym formacie.

Po przyjęciu jakiego doznały te dwie publi- kacye, zamysłał drukować zbiór swoich Bajek. Z tego powodu pisał w r. 1851:

„Przybyło mi nieco bajek: Wstęp, Pan Mar- „cin, Zwada, Oś, Kundel, Stary Kalendarz, Rzeź- „biarz, Latarnia magiczna.... Nie wydám ich, póki „nie znajdę na nie kupca. W Lesznie bym dru- „kować mógł i dojrzeć korekty.“

*) Więzień Czyllonu był drukowany w pierwszym Tomie.

Pokazuje się, że nieprędko znalazł nakładcę i nabywcę, kiedy Bajki te wyszły dopiero na kilka miesięcy przed jego zgonem (w Poznaniu u Żupańskiego r. 1860). Rodzaj ten, jak popadł w niełaskę od czasu romantyzmu, tak zaczął być lekceważony i przez publiczność i przez nakładców.

Morawski w krótkim dopisku na końcu swych bajek czuł się zmuszonym stanąć w obronie tego rodzaju poezji, powiada też ze zwykłą swoją trafnością:

„Dziwnieź to czasy, w których przeciw oczywistym niedorzecznościom walczyć potrzeba. Któżby się spodziewał, że Thiers będzie musiał dowodzić istnienia własności, dowodzić wobec słońca, że słońce istnieje. Ktoby był przewidział w państwie poezji, że apolog, ta forma przez wszystkie wieki i narody przyjęta, przez nas tylko, i to aż w dziewiętnastym wieku z dziedziny jej wykluczony będzie? Wiemy w jakiej był cenie u Platona i Sokratesa, wiemy z Goetego jakie miał znaczenie za Lessinga. I niedziw. Zastanówmy się tylko głębiej, że on był lub pierwszym źródłem z którego wszystkie inne wysnuły się formy, lub też streszczeniem wszystkich in-

nych rodzajów poezji; w nim bowiem znajduje się dramatyczność, dyalogowanie, satyrę, opismość, dydaktyczność, epigramma, w nim niekiedy, jak w Starcu i trzech młodzieńcach Lafontaina, elegię. Bajka wiąże obok tego świat fizyczny z moralnym, idealizuje rzeczywistość, a więc jest poezją.“

Daliej na taką napada przyczynę tej wzgardliwej obojętności dla bajki:

„Możebym doszedł do źródła i powodu tej zapamiętałości, gdybym powiedział, że niejednym z naszych pisarzy chciałby, aby ten tylko rodzaj istniał, w którym sam pracuje, a sądzi, że jest w nim znakomity.“

Jest to przyczyna, lecz jeszcze nie źródłowa. Romantyzm inaugurując swoje panowanie, ogłosił uniwersałem, że tylko w uczuciu, w sercu, a nie w rozumie i głowie poezja powinna mieć swoje siedlisko. Krytycy i teoretycy przyjęli to za ewangelię, i zaraz wykluczyli bajkę z państwa poezji, dla tego, że wymagała dużo bystrości rozumu, obserwacyi natury ludzkiej, trafności w obrazowym zastosowaniu, a nadewszystko zwięzłości wykluczającej niepotrzebną gadaninę i bujne ozdoby. Kiedy ballada mogła być sobie łokciowym

salcesonem, czém bądź nadzianym (na to reguły nie było), bajce należało być treściwą i jak ze zgryzionego orzecha wyluszczać się zdrowém ziarnkiem prawdy moralnej lub praktycznej. Takie wymagania, u których na straży stał Krasicki i Trembecki, narażały na niebezpieczeństwo trudnej rywalizacyi, a ztąd ekskomunika Ezopowego rodzaju. Do tego wmówiono w publiczność, że bajki dobre są tylko dla dzieci, i Krasickiego zostawiono dzieciom, zapominając ile w nich głębokiej filozofii życia, ile wyższych poglądów na wypadki towarzyszące jego epoce. Czytałem w Bibliotece Warszawskiej glossy nad niektórymi bajkami Krasickiego znakomicie napisane przez Erenberga, który jeniałnie rozwinął pomysłowy zarodek poety, i zarazem wykazał wysokie znaczenie jego bajek potrącających o pytania niemogące postać w umyśle dziecięcym. Już to samo pokazuje, jak niesłusznie zepchnięto te małe arcydzieła do sfery, dającą im wprowadzić wielką popularność, lecz tego rodzaju, jakby kto bronzowe fantazy greckich i rzymskich rzeźbiarzy, znajdujące się w muzeum burbońskim w Neapolu, pomieścił w sklepie dziecinnych zabawek.

Wszystko to było robotą krytyki o ciasnych

pojęciach, i przesadą nowatorstwa. Twórczość mistrzów słowa nie pogardzała żadnym rodzajem, czego dowodem Mickiewicz. W poetycznych jego dziełach figuruje kilkanaście bajek pełnych werwy i humoru, które bynajmniej nie szpecą ani ballad, ani poematów, owszem stwierdzają uniwersalność geniuszu.

Przykrém to było dla Morawskiego, gdy widział ulubiony swój rodzaj w tak lekkiej cenie, rodzaj, w którym od samego początku autorskiego zawodu tak uderzającej wartości złożył próby. Bajki jego od lat pięćdziesięciu obiegały po Polsce, jako mające niezaprzeczoną wyższość nad bajkami Niemcewicza, noszącymi cechę satyry okolicznościowej i formę zbyt literacką; a lubo nie ma w nich téj nieźrównanej łatwości Krasickiego, mogącej równać się tylko z bezwiedną łatwością, z jaką tworzy się piosenka gminna, z tém wszystkiém zajmują one drugie po Stanisławoskim bajkopisie miejsce. Kto chce znaleźć krytykę, a mianowicie sąd zdrowy i trafne ocenienie rozmaitych prądów, porywających umysły w naszych czasach, niech czyta jego bajki, a będzie miał moralne zwierciadło wad, uroszczeń, szaleństw,

obłądów, śmieszności w komicznym i traicznym rodzaju.

W Wężu np. u którego ogon wypowiedział posłuszeństwo głowie, znalazł zastosowanie do gminu nieuznającego nad sobą władzy. Ogon zostawiony samemu sobie, rusza naprzód:

Lecz gdzież mógł zaleść przy swojej ślepcie?

To się o drzewo, to gałąź uderza,

To w strasznym grzęźnie błocie.

Nareszcie upada w przepaść:

I tak przez swoje ogonowe

Gubi i siebie i głowę.

To samo dzieje się z narodami, kiedy „brudny ogon“ opije się jadu zawiści.

Suknia pradziadka jest jakby wymierzona przeciw drugiej ostateczności.

W stolicy jakiegoś małego księstwa został się ubiór po zmarłym księciu, i tak przez syna jak wnuka starannie chowany był w skrzyni; dopiero gdy prawnuk nastał, przyszło mu coś do głowy, że podwoi swoją godność, nosząc suknię pradziadka. Ubrał się więc w sutą szatę, nałożył dynastyczną perukę, a na nią trójgraniasty kapelusz. Dworzanie krzyknęli:

Stary książę wykapany;

Kubek w kubek pan pradziadek!

Niedość mu było tego tryumfu, — wyszedł na ulicę, — aż tu tłum śmieje się, krzyczy, palcem wytyka:

Biada nam! książę ma bzika!

Rozgniewany potentat dobywa korda, bije i rąbie, aż w końcu kark łamie na bruku.

Cofać się ciągle w czasy przedwiekowe,

Odrzucać lepsze, dla tego, że nowe,

Rzecz to u książąt nie rzadka;

A przecież owe zabytki zbutwiały,

Dzikie przesady i formy zgrzybiałe,

Wszystko to suknia pradziadka.

Na dziśby nie zdała się może ta bajka, przynajmniej tam, gdzie w imię postępowych reform niosą rozbicie i zagładę społeczności ludzkiej. Nasz bajkopis, gdyby żył, ułożyłby pewnie na ten temat bajeczkę pod tytułem: Frygijska czapka na tronie.

W Królu Scytów nader szczęśliwie odkrył różnicę między opinią dzienną a historią. Król Scytów zdobywa jakieś miasto i widzi posąg z napisem: sławie i cnocie. Ciekawy, co to był za bohater, którego pamięć naród tak uczył, woła mędrca i każe sobie opowiadać o nim. Król ten, — powiada mędrzec, — był, jak mówi historia, okrutny i krwawy, niczém mu były boskie

i ludzkie prawa; a poddanych darł, o ile drząc się dało. — Zdumiał się Scyta na taką sprzeczność, trudną do zrozumienia; mędrzec mu ją wytłumaczył:

Posąg stawiano za życia,

Dzieje pisano po zgonie.

Nie tylko to stosuje się do królów, lecz i do dziennych wielkości, których sława i zasługi wynoszone za życia, schodzą po śmierci do — zera.

Lubo bajka: Pojazd i Mucha jest naśladowaniem znanego tematu, jednakże poeta dał jej zwrot, wybornie charakteryzujący te nierzadkie dziś indywidua, co przy bardzo szczupłych zasobach umysłowych, pożérani są nieograniczoną ambicją mieszania się we wszystkie najróżnorodniejsze sprawy publiczne, w tém przekonaniu, że bez nich nicby się nie zrobiło:

W każdą więc sprawę wmięsza się i wtraci,

Wszystkim chce dodawać ducha,

Zwija się, szasta, a bróździ i mąci:

Nasza to mucha.

W bliżkiem powinowactwie z tą Muchą, jest Dmuchaczka. Prysnął węgielek z kominka i potoczył się ku wiórom Leżąc tak, czuł że niebawem zgaśnie, gdy wtém blisko stojąca dmuchaczka oświadczyła się z usługą rozdmuchania go.

Ileż będzie i dziwu i sławy,

Ile blasku, ile wrzawy!

W tym tak szczytnym żarze, dymie,

Wielkie sobie zrobisz imię;

Będiesz wszędzie głośny, znany,

I w gazetach drukowany!

Dmuchaczka dmucha a dmucha, — węgielek coraz się rozpłomienia, wtém wióry się zajęły, od nich ściany, belki, aż cały dom spłonął, a z nim i dmuchaczka, co pokazuje, że nie miała czasu salwować się ucieczką.

Godne wzgard świata i złoczyńców taczki,

Największych może nieszczęść winowajce,

Krajowych niezgód pokątne dmuchaczki,

Was to skreśliłem w tej bajce.

W naszym wieku Spekulant należy do bardzo rozpowszechnionego rodzaju, — atoli nie jest on żadną nowością, nie mającą poprzedników. Spekulanci byli i dawniej, bo i łatwowierność ludzka stara jest jak świat; znano ich pod formą szarlatanów, wynalazców kamienia filozoficznego, taumaturgów i filozofów, sprzedających sekret uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego. Dziewiętnastego wieku spekulant kusi szczęściem z bogacenia się przez wciągnięcie do spółki urojonego przedsiębiorstwa. Taki to typ wystawił poeta w rozmowie z pajakiem, któremu przygania niecną za-

bawkę łowienia w siatkę głupich much i duszenia ich. Pająk odpowiada mu, że nic gorszego nie robi, jak on:

Muchy — są moi akcyoniści,

A siatka — moje programa.

W Kaczce i Piskorzu wybornie scharakteryzował los Polski, którą tu przedstawił w roli piskorza polykanego przez żarłoczną kaczkę i zawsze wychodzącego cało. Dziwi się temu kaczka i pojąć nie może; — patrzący na to bury kaczor taką jój daje radę:

Tak go strawić nie podobna,

Nigdy ci się nie poszczęści;

Lecz go przetnij na trzy części

I każdą połknij z osobna.

Odtąd bury kaczor uchodził między kaczkami za wielkiego — polityka.

Jakaż wyborna dla rządzących nauka w tych Wołach, co wciąż bite najgorzej zorały zagon, dając taką przestrogę poganiaczowi:

Gdybyś zręczniejsz kierować umiał wołki twemi

I zagon byłby lepszym i my mniej bitemi.

Okrojowane konstytucje znalazły swoją charakterystykę w Dzwonku. Ojciec dał mruczliwemu synkowi dzwonek do zabawy; chłopczyzna uradowany dzwonił i dzwonił po całym domu.

Uprzykrzyło się dzwonienie; ojciec wyrwał serce z dzwonka, a chłopca za drzwi wyrzucił.

Tak króle prawa dają i znów łamią,

Dają ów dzwonek, a dzwonięcia bronią.

Cóż się więc dzieje, gdy w górze tak kłamią?

Ludy na gwałt dzwonią.

Znajdzie wszystkiego w tym zbiorze; jak w latarni czarnoksiężkiej przesuwają się zarozumiali a ciemni Hegliści, autorowie szumnych poematów, przemądrzałe dzieci, bezwzględni postępowce, fabrykanci oszczerstw, zwolennicy ciemnoty, prudhoniści, i ci co samego Boga chcą w jego dziełach poprawiać. Jest tu w czém wybrać w tych złotych ziarnkach prawdy, które choćby odrzucała dzisiejsza pyszna zarozumiałość i pewność siebie, to potomność, mniej może miotana falami najsprzeczniejszych prądów, znajdzie pociechę widząc, jak te drobne bajeczki, podobne do alcyonów w burzy, zachowywały trzeźwość i równowagę wśród zamętu pojęć.

Jest w poczcie tym kilka z przedziwnym staropolskim humorem skreślonych dykteryjek, jak owo Zdarzenie z Nosem. Kilku jegomościów grało ówika; między grającymi była jedna pocieszna facyata

z rudym włosem
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Stojący przy stoliku synek Cześnika, *enfant terrible*, ni z tego ni z owego zawołał nagle: Co za ogromny nos! Groźnie popatrzył na niego Cześnik, chłopak się zmieszał, i poprawiając się rzekł: Jakież to nasek maleńki! Na tę nie-szczęsną poprawkę rozsierdził się ojciec, porwał za dyscyplinę i nuż okładać nieboraka, który krzy-
czał w niebogłosy: Ten pan nie ma nosa!

Tak i my, co to lubimy rozprawiać,
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy,
Chcemy się niby ratować, poprawiać.
A wciąż gorzej brniemy.

Morawski miał zwyczaj, skoro mu się zło-
żyła jaka bajeczka, przesyłać ją w liście ojcu
i synowi Koźmianom, zawsze z zastrzeżeniem uta-
jenia jego autorstwa i niepuszczania jój w obieg,
chyba tylko udzielania przyjaciom i prawdziwym
znawcom. Często też przy téj sposobności opo-
wiada co mu dało pochop, a raczej pomysł do
napisania bajki. I tak w jednym liście donosi:

„Powie ci co mi się zdarzyło, i to wczoraj:
„spotkałem chłopca pijanego w niedzielę, co u nas

„rzadkiem jest zjawiskiem, i taka z odpowiedzi
„jego złożyła się anegdota:“

Że pił w święto, pan chłopu wyrzucał pewnemu;
A ten na to: Mój Panie! czyż ja winien temu?
Człowiek chodzi za nosem. Stokroć więc szczęśliwy
Kto ten nos dostał prosty — mój, nieszczęściem krzywy;
Krzywo też ciągle chodząc codzień się zawodzę:
Chciałbym wnieść do kościoła, a do karczmy wchodzę.

„Przyznaj, że ekskuza dowcipna! lecz wątpię tro-
„chę, aby tam, w górze, tak przyjętą była jak
„przemennie.“

Wprawdzie ta odpowiedź wywołała fraszkę,
epigram, w rodzaju Kochanowskiego lub Wacła-
wa Potockiego, lecz zdarzało się często, że z po-
tocznój rozmowy lub drobnój okoliczności ułowił
bajeczkę, i to bardzo oryginalną, jak w tym przy-
padku o którym pisze:

„Był tu u mnie *un fameux gourmé*, utrzymu-
„jący, *que l'animal broute, l'homme mange, et qu'il*
„*n'y a que l'homme d'esprit, qui sache manger.*
„Krotofilny pan Michał zaraz na niego taką bajkę
„napisał: Jeż i chłopcy.

Leżąc pod krzaczkiem jeż w kłębek zwinięty
Wszystkie swe kolce nadstawił;

Staś go swojemi chciał ująć rączety
I strasznie biedak się skrwawił.

— Nie tak go chwytać należy —
Dowcipny Stefuś mu powie:
Jest inny sposób na jeży,
I zaraz twego tak złowię.

I zerwał kilka jabłek i położył:

Jeż się zrazu patrzył boczkiem,
Chciwem na nie strzelał oczkiem,
Ale się wahał i trwożył...
Kiedy w tém nagle zrywa się z pod krzaczka
Do smacznych bieży jabłuszek,
Stefuś mu rączkę wsuwa pod brzuszek,
I tak chwyta nieboraczka.

A teraz-że sens moralny:

Walcz jak chcesz z ludźmi pewnemi,
Zwycięstwem się nie poszczycisz;
Ale wszystko zrobisz z niemi,
Gdy ich za brzuszek pochwycisz.

Czy może być szczęśliwsza parafraza znanego przysłowia: Czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą! — Bajka niczém téż nie jest, tylko spoetyzowaniem, zobrazowaniem filozofii ludu; a ta podobność najlepsza co z artystycznej sfery przechodzi na własność powszechną, i zamienia się w przysłowie.

W ogóle o bajkach Morawskiego można wydać to zdanie, że przy bardzo prostym i natural-

nym układzie, mają w sobie wiele dramatyczności, interesują, a nieraz niespodziewaném uderzają rozwiązaniem. Wielka poprawność stylu, artystyczne wykończenie, obok charakterystycznej energii obrazowania i rysunku, wszystkie te przymioty pisarza wyższego talentu, nadają bajkom jego pierwszorzędne miejsce w tym rodzaju. Miał on téż do nich szczególną miłość, i nie było nic dlań przykrzejszego, jak puścić taką bajeczkę w świat bez przyzwolitéj powierzchowności. Żadna matka możeby więcej nie bolała nad córką, któraby w ranym dezabilu pokazała się gościom, jak on, gdy mu z pierwszego rzutu, jeszcze nieokrzesaną bajeczkę, kto porwał i dał do druku. Z tego powodu skarży się w jednym liście:

„Dwie z moich świeżo napisanych bajek, a nie-
„wyrobionych jeszcze, porwał mi tu M.... do druku,
„co mię trochę gniewa, bo ja pewną wykończono-
„ścią zwykłem się odznaczać, i nie chciałbym od
„niej odstąpić. Może to nie jest dowodem jeniał-
„ności, w którą świat ten tak bogaty. Lecz cze-
„muż przez pośpiech w brudny tylko puderman-
„tel i dziurawe pantofle piękną przybierać postać?
„Czyż publiczność niewarta, aby jój te piękności
„w godowej przedstawiać szacie?”

Zapewne że warta, jeżeli nie ta co nas otacza, to publiczność potomności. Ten wzgląd jest jakby kontrolą autora; chroniąc go od zaniedbania, ochrania zarazem literaturę od upadku, który zazwyczaj objawia się pogwałceniem natury języka, dorywczością planu, nierównością wykończenia i kaprysami improwizacyi, z których ani czytelnik, ani autor nie będzie mógł zdać sobie sprawy. Morawski przywykły do innej fizjonomii społeczeństwa niż dzisiejsza, wyobrażał sobie wykwintną i dobraną publiczność, dla tego rad stawał przed nią w pełnej zbroi wymagań i przyzwyczajoności. Lecz dzisiejsza publiczność mniej bywa wybredną; znajdzie się tu i owdzie znawca, lub człowiek z wyrobionym smakiem — większość przecież ma smak owego bonończyka w jednej bajeczce francuskiej, któremu młodzian daje wachać najprzedniejsze perfumy, a bonończyk nosem kręci, szczeka i ucieka od niego; za chwilę jednak wraca i liże mu zwałany but, z nieudanym gustem.

Jak w początku swego pisarskiego zawodu, tak i przy końcu, w starości, lubił Morawski tworzyć bajki. Długi wiek doświadczenia, przeżyte koleje, widok często zmieniających się upodobań

lub nienawiści, przejść z gorących entuzjazmów do oziębień, z oziębień do entuzjazmów, i te wszystkie oscillacye opinii ludzkiej, służyły mu za bogaty materiał do refleksyi. Że świat stracił dla niego uśmiechy nadziei — nie byłoby nic dziwnego; każdy je traci w dojrzałszej porze — nie każdy przecież dochodzi do przekonania, że o względy i oklaski świata ubiegać się niewarto. Grunt to ruchomy jak lotne piaszczyste wydmy; Morawski nie lubił na nim budować; wolał on rusztowanie swoje opierać o niebo....

Myśli te przychodzą często w korespondencyi jego z lat ostatnich:

„Spokojność szczęściem jest starości, choćby i fizyczna. Szczęśliwy, kto i moralną zyskać może, aby zawczasu oswajał się z wiecznością. Co do mego zdrowia dotąd zawsze to samo. Trudno zająć się czem większym. W chwilach znośniejszych trochę przynajmniej

W cieple i przy fajce

Marzy się o bajce.“

XVIII.

Powyższe poglądy i roztrząsania utworów Morawskiego nie obejmują jednak znacznej części

jego płodów, bądź rozrzuconych po różnych peryodycznych publikacjach, bądź spoczywających w tece. Najciekawszą częścią jego pism byłyby Pamiętniki, gdyby je był zostawił. Na nieszczęście nie zostawił żadnych, prócz kilku ustępów, drukowanych w Przyjacielu Ludu, w Przeglądzie, w Pokłosiu, jak: O pobycie Karpińskiego w Warszawie, jak: Śniadanie u generała Dąbrowskiego, lub: Co się działo w wojsku naszym po bitwie pod Lipskiem?. — Ustępy te pełne życia, pełne rysów z natury zdjętych i nowych szczegółów do charakterystyki osób i historii, zaostrażają smak i każą tém więcej żałować, że Jenerał, umiejący tak zachęcać innych do spisywania swoich wspomnień, sam tego uczynić nie chciał. Dość mu było tylko to, co opowiadał, np. o W. Ks. Konstantym, rzucić na papier, a zostałyby nieporównana charakterystyka dziwactw tego impetyka. Ci, co mieli sposobność słyszeć opowiadającego Jenerała, pamiętają różne ustępy, między innemi jak W. Książę przyjechawszy z Wiednia do Warszawy i przywiozłszy z sobą muzykę do mszy św., kazał mu we 24 godzin wiersze do niej ułożyć, — i Morawski rad nierad musiał się do rozkazu zastosować; lub zajście z jeneralem

Sierakowskim, które się skończyło na tém, że W. Książę rozplakawszy się, uściskał go; — lub znowu jakaś dowcipna odpowiedź Morawskiego, którą rozbroił gniew W. Księcia i uwolnił tym sposobem podoficera, skazanego do wymiatania wychodków. Do téj kategorii anegdot należy przygoda jenerała Antoniego Potockiego, który kupiwszy sobie śliwek, wyspał je do kapelusza stosowanego i tak spotkany z gołą głową na Krakowskiem Przedmieściu, wzięty był przez W. Księcia za pijanego. — Opowiadał nareszcie, jak W. Książę niecierpiał Dybicza, i gdy raz nadeszła wiadomość o wielkiem jego zwycięstwie nad Turkami, on aresztował praporszczyka Pritwitza za to ryłko, że był siostrzeńcem Dybicza. Mnóstwo podobnych rysów i anegdot dostarczyłoby wyborowego komentarza do piętnastoletnich rządów W. Księcia Konstantego, dotąd prawie przez nikogo nie skręślonych w ten sposób, żeby w nich się odbijała fizyonomia ówczesnego społeczeństwa. Talent pisarski Morawskiego, dar obserwacyi, a przytém sumienność i ścisłość w przedstawianiu tego, na co patrzył, — a mógł wiele i z bliska widzieć, zajmując wysokie wojskowe stanowisko, niemniej mając wstęp do najwyższych towarzystw,

który sobie niepospolitemi zdolnościami, dobrém wychowaniem, zacnym sposobem myślenia i wdzięczną postacią torował, — wszystko to zgoła dawało mu przywilej odmalowania tych czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa. Jest czego żałować, że tego nie podjął, tylko bogactwo swoich spostrzeżeń i wiadomości rozsypał w listach, — dał ułamki, całości nie objął. Kiedy dziś pisanie pamiętników stało się modą, i nie jeden rwie się do nich, chociaż nie ma żadnego tytułu do zainteresowania nas, że względu na zajmowaną podrzędną pozycję, lub zamknięcie się w małym kółku pewnego grona ludzi lub powiatu, tem większy cięży obowiązek na tych, co zbliżeni do źródła spraw, i do głównie działających osób, mogliby powiedzieć wiele rzeczy nowych i ważnych — a pokryli je milczeniem; lub jeżeli wspomnienia swoje powierzyli piśmu, odsyłają ich publikowanie późnym pokoleniom. Nieprzeczę, mogą być niektóre względy delikatności dla osób i rodzin żyjących, nakazujące tę ostrożność; atoli z drugiej strony mam to przekonanie, które mógłbym świeżemi przykładami poprzeć, że zbyt spóźnione ogłoszenia pamiętników i dokumentów, nieprzynoszą téj korzyści, jakaby przyniosły ogłoszone w porę. Jeżeli fał-

szywy sposób widzenia nabroiwszy wiele złego, wyda cierpki owoc — już nieczas go prostować, chyba, żeby tém większy wzbudzić żal, że się błądziło w ciemnościach.

Wracając do Morawskiego, a mianowicie jego pamiętników, tyle obiecujących, mam to przekonanie, że w tym rodzaju byłby literaturę naszą zubożać najszacowniejszém dziełem.

Jak on ten rodzaj pisania pojmował, można się przekonać z jego listów do Kajetana Koźmiana, w których ciągle nakłania go do spisywania pamiętek życia i radzi trzymać się potocznego stylu, niepomijania anegdot zawierających częstokroć najwybitniejsze rysy i barwy obyczajowe, tém cenniejsze, im każdy rok więcej je zaciera. Tacytowski sposób pisania historii, do którego widział Koźmiana skłonny, wymagałby oprócz znajomości swego czasu, jeszcze i źródłowych studiów, bardzo niedostępnych do epoki upadku Polski; wreszcie studia takie byłyby zbyt wielkim ciężarem dla starca wstępującego w ósmy krzyżyk — forma więc pamiętnikowa, niczém niekrepująca, lepiej odpowie potrzebie, a oraz dogodzi smakowi czytelników lubiących gawędzenie o starych czasach. Usłuchał namów tych Koźmian i wziął się

do spisywania swoich wspomnień, będących dziś wielce szacownym skarbem tradycji ojczystej.

Tak tedy czynność Morawskiego nie ograniczała się na swoich własnych pracach; przyjaćiół, których talent i charakter wielbił, ciągle pobudzał do nowych dzieł, poddawał pomysły, utrzymywał w ochocie, prostował, przyganiał, podnosił, i cieszył się cudzym utworem, jeżeli zyskał jego uznanie, więcej, niż najudatniejszym własnym płodem. Nigdy cienia zazdrości z czyjegós powodzenia lub sławy — przeciwnie entuzjazm lirycznego uniesienia, tryumf radującego się serca, że duch narodu zdolnym jest tworzyć dzieła, dające mu nieśmiertelność, Kiedy mu wpadł w ręce Krasinskiego: Dzień dzisiejszy, nieposiada się ze szczęścia, i pisze: „Myślą nieba, dorosłem sercem całą ludzkość objąłem, czytając te święte wyrazy.“ Co za lot po morzu czasów, z najdalszej przeszłości w najdalszą, bo przez Boga zapowiedzianą przyszłość. Zdaje mi się że nie człowiek do człowieka, ale Czimborasso woła na Alpy i Himalaje: buchnij wulkanami, ruń na wrogów, zawał łomami zwalisk! Śpiące pod tyłu zbrodniarniawy podziemne zbudźcie się, zatrząsniycie ziemią i cały ten świat szeroki przewróćcie na nicę! Może na dru-

gą stronę przewrócony, coś lepszego urodzi. Powiesz że to już kilkakrotnie Krasinski wyrzekł; ale wybuch serca nowy, ale zastosowanie nowe, ale siła, piorun — wszystko nowe! Ta sama wprawdzie myśl, ale coraz potężniejsza, zolbrzymiała. Wreszcie dla Francuzów i świata, pomysły te zupełnie będą nowemi. Jest to ziarno rzucone, które w tysiące się rozrodi. Pięknaż to rzecz geniusz, piękniejsza, gdy na tak świętej postępuje drodze.“

Obok służby wojskowej zabierającą tyle czasu, później, obok kłopotów i zatrudnień gospodarskich, zawsze znachodził czas nietylko samemu pracować, lecz jeszcze należeć do jakiej literackiej pracy o połączonych siłach. Widzieliśmy jak w nowo utworzonym Królestwie interesował się sceną narodową, i należąc do towarzystwa Iksów (XX), światłemi krytycznemi uwagami wpływał na smak publiczności i na dobrą grę aktorów; jak ówczesne pisma peryodyczne płodami swemi zasilał; jak żywy brał udział w pamiętnej walce klasyków z romantykami, — jak następnie wspierał leśzczyńskiego Przyjaciela Ludu, Przegląd Poznański, wydawany przez Jana i Stanisława Koźmianów; Pokłosie, Dodatek do Czasu,

niemniej inne piśmka, w dobrym kierunku rozszerzające oświatę między wiejskim ludem. Nie uchodziły uwagi jego i dawne, rękopiśmienne prace, wymagające ogłoszenia dla zapelnienia luk w piśmiennictwie; wskazywał je, poddawał. W jednym liście do Jędrzeja Koźmiana tak się odzywa w tej materii:

„Byłeś w Warszawie; — żałuję że nie miał czasu pisać ci przed twoją tam podróżą. Trzeba, by koniecznie zajrzeć do rękopismów pozostałych po Osińskim. Winniśmy to jego przychylności dla nas, jego talentowi i interesowi krajowemu. Pomnij że już tyle prac poginęło; Matuszewicza, Kruszyńskiego, kasztelana Rzewuskiego i tylu innych. Trzeba o wydaniu zbioru ich choćby przez jaką dozwoloną asocjację pomyśleć, bo szkoda niepowetowana. Tyś jako tam mieszkający, i namiętny zbieracz, powinien tém się za trudnić, dać pierwszy popęd i uorganizować tenże; bo bez tego próżne zrywanie się i wysiłki. Jeżeli po prostu chciałbyś je tylko do Piotrowic zabrać, to się nic nie uda, i jeszcze uważać to gotowi jako egoistyczne dążenie. Trzeba w każdej gubernii miejsce na taki zbiór obmyśleć.“

Nigdy prawie Morawski nie lubił sam wy-

stępować z podobnemi myślami, a chociaż był ich autorem, zaszczyt inicjatywy zostawiał innym. Jakże w tém niepodobny do owych projektowiczów, co budzą się z projektem, zwołują narady, układają programa, agitują, zapowiadając wielkie rezultaty, aby nazajutrz z nowym się obudzić, — a wszystko ku wielkiej chwale człowieka, dniem i nocą zajętego szczęściem publiczném, o czém, ma się rozumieć, jeżeli nie piszą szeroko gazety, to czwarta ich stronnica pewno nie milczy. Morawski wolnym był od tej słabości. Przekonany, że w cichości najlepiej rzeczy się robią, podobnie jak cicha jałmużna najprościej dostaje się do nieba; w rozmowach, w listach poufnych, najwięcej pomysłów swych zostawił, które, mimo że im zbywało na publicę, nie mniej dostawały się do ludzi, pobudzały do użytecznych przedsięwzięć, a często modyfikowały lub prostowały skrzywione kierunki. Można powiedzieć, iż żaden ruch, żadna dążność nie była dlań obcą, lubo się do niej bezpośrednio nie mieszał; w czém przypomina Jouberta, przyjaciela Chateaubrianda, który wśród największego waru wielkiej rewolucyi, umiał dla głębszych swych pomysłów i zdań jednać zwolenników i przygotowywać zastęp ludzi mogących

przodkować społeczeństwu i nadać mu równowagę. Joubert tylko dla siebie pisał maksymy, — dla drugich miał żywe słowo pogadanki.

Pokrewne poezji malarstwo miało w nim także miłośnika i znawcę. W jego pojęciu naród, pragnący żyć pełnią ducha, nie powinien zostawiać odłogiem pola sztuk pięknych, mających taki wpływ cywilizacyjny. Nie myślał on też o wzbudzeniu sztuki, bo ta najlepiej kiedy jest usposobienie po temu, sama się budzi, — ale spotkawszy pierwszy jój samodzielniejszy objaw, zainteresował się nim, pragnąc bodaj częstką poetycznego tchnienia podzielić się z artystą.

W liście do Jędrzeja Koźmiana tak opowiada bytność swoją w pracowni Suchodolskiego w Warszawie, z datą roku 1846. Suchodolski wtenczas był alfą i omegą naszego malarstwa.

„Byłem też u Suchodolskiego i widziałem „jego nowe prace. Trzeci, odmienny nieco zrobił „obraz śmierci Czarnieckiego. Zmiany są dobre, „a twarz Czarnieckiego najwięcej zyskała. Tyle „mu mówiłem przy pierwszym obrazie, że więcej „poezji daje końskim głowom niż ludzkim, że te- „raz nadał dostatecznie wyrazu Czarnieckiemu, „a niedość było koniowi, co poprawić chce i musi.

„Zrobił także giermka Czarnieckiego z koniem het- „mańskim na oddzielnym obrazku. Opowiedziałem „mu tę scenę z poematu twego ojca, i bardzo „mu się podobała; tak dalece nawet, że gdyby mu „była wprzód znajomą, byłby ją wystawił pę- „dzłem. Szkoda, że wiedząc iż maluje Czarnieckie- „go, nie byłeś u niego dla dania mu niektórych „myśli. Wart, aby z nim dużo o jego sztuce mó- „wiono. Z tejże samej części naszych dziejów wy- „stawił Kordeckiego broniącego Częstochowy. Kom- „pozycja piękna, to jest całość i szczegóły, wy- „stawność celniejszych osób, grupowanie, myśl „każdej grupie dana, rozmaitość scen, a przecież „z jednością przedmiotu zlewająca się naturalnie. „W jednej tylko rzeczy, jak mu mówiłem, uchy- „bił, to jest, że nie wystawił samej kryzys sztur- „mu, chwili wahania się zwycięstwa, co wzbudza- „łoby w patrzącym bojaźń o los twierdzy, i tém „bardziej podnosiło interes, wyższe duchowe w wi- „dzu życie; lecz obrał chwilę oczywistej już pra- „wie przewagi nad Szwedami. Zarzucają mu, że „muzyki w czasie szturmu nie umieścił w wieży, „jak podanie mówi, i Matki Najświętszej nie uka- „zał nad świątynią w obłokach; lecz mnie się „zdaje, że wówczas wszystkie osoby trzebaby na

„osóbki drobne, na pszczołki zamienić; chyba, „gdyby obraz mógł mieć wielkość browaru piotrowickiego. Malarz zawsze bardziej jest ścieśnionym od poety. Ten z wiersza na wiersz przelatując, krocie mil ubiedz może, wiele lat zając — malarz zaś musi ograniczyć scenę działania i jedną tylko chwilę uchwycić. Suchodolski „ma swoje błędy, zwłaszcza w kolorycie i co do „kompozycji — przecież niedość go cenią, a zwłaszcza niedość kupują. Możni powinni by choć po „jednej scenie historycznej najslawniejszego z swych „antenatów obstałować. Wolą kocz wiedeński, olbrzymie zwierciadło, diamenty dla Jejmości, a dla „Jegomości coś gorszego jeszcze. Jakże artysta „ma nabierać ducha i kochać się w sztuce, która „go nawet wyżywić nie może?”

I nie o samém malarstwie, o całej literaturze powiedzieć się da to samo. Na wszystko u nas znajdzie się fundusz, tylko nie na książkę, nie na malowidło. Przecież miłość nauk, urok poezji, nie jest dla nas żadną nowością; nie wychodzimy ze stanu dzikiego, żeby tylko kochać się w błyskotkach i niemi wartość swoją podpieścić — a jednak, jednak.... zawsze jedna piosneczka; śpiewają ją białe łabędzie, jak i szare wróble świągocą.

Widzieliśmy generała interesującego się starem książkami, rękopismami, wydawnictwem, malarstwem — później znowu, gdy owionął nas zapał do archeologii, widzę go z jaką uwagą pogląda na każdy zabytek przeszłości, szczególnie jeżeli go znajduje na obcej ziemi. W r. 1856 dla poratowania zdrowia był w Karlsbadzie, potem pojechał kąpać się w morzu na wyspę Rugię, z kąd za powrotem tak pisał do Stanisława Koźmiana o swoich archeologicznych poszukiwaniach, mieszając jak zwykle wesoły żarcik.

„Latając po lądzie i morzu, wróciłem nareszcie do domu, i wypaliwszy fajeczkę, zabieram się do pisania do Ciebie. Wszyscyśmy zdrowi przywlekli się w progi lubońskie, za zwiększonym przecież gronem familijnem. Przywieźliśmy małpeczkę, źródło niewyczerpane zabawy dla dzieci, a nawet dla starszych, dla wsi całej. Dzieci pewne, że i ty nie wytrzymasz, i galopem przybiegniesz poznać się z tym cudem świata, i jeżeli szczęście ci posłuży, zaprzyjaźnić się z nim na dobre.... W Putbus zajmowały mię najwięcej zbierane tradycje o Światowidzie, najslawniejszym ze wszystkich, lecz mało bardzo dowiedzieć się mogłem. Wszystkie pamiątki zatarł germanizm,

czas i chrześcijaństwo. Najwięcej przecież zniszczył, wysuszył, zamordował z wszystkiego szkodzący protestantyzm, co tylko jakkolwiek było wiarą. Szukałem w Stralzburgu grobu Poniatowskiego, ulubieńca Karóla XII, a stryja króla Stanisława, lecz przez tak krótki czas dopytać się go nie mogłem. Dowiedziałem się wprawdzie i z opowiadania i z ksiąg, o innych osobliwościach, o których wolałbym niewiedzieć, że w mieście pomerańskim Kamin w kościele ś. Jana pokazują dotąd następne relikwie: pantofel Matki Najświętszej złotem wyszywany; bat, którym Zbawiciel popędzał osiołka swego przy wjeździe do Jerozolimy — bęben, przy którego odgłosie Izraelici przeszli przez morze Czerwone, i tabakierkę św. Piotra z trochę cudownej tabaki! Takie to są ślady téj drobnostkowej monakalnej religii. Prawda, wszystko jest dobre co naprawia, ulepsza pewne dusze; lecz dla wielu znowu dusz może być szkodliwe, bo budzi reakcyę. W religii wszystko powinno być górne i wielkie, wszystko unosić. Jest to nadto święty kapitał, aby go roztrwaniać na monetę zdawkową.“

Powróciwszy z Putbus, generał napisał artykuł o Światowidzie, i wiersz bardzo silny w

tymże przedmiocie. Owa małpka wspomniana na wstępie listu, była powodem uciechy dla wszystkich, ale najwięcej pono dla generała, który jako bajkopisarz, tyle o zwierzętach napisał, i lubił je bardzo. Przy wejściu do jego pokoju stała ogromna klatka z liczną rodziną kanarków, często tak szczebioczących, że choć drzwi były zamknięte niepodobna było w pokoju generała rozmawiać. Psów w Luboni było zawsze co nie miara. Większych brytanów nie wpuszczano; siadywały więc przed oknami swego pana, wyglądając, rychło twarz ich chlebobawcy wychyli się. Przy stole dwa lub trzy pieski kręciły się wciąż; generał karmił je przy każdej potrawie. Brytan Karo, miał przywilej wchodzenia podczas obiadu, ale musiał pod bocznym stołem siedzieć, gdzie łapał rzucany mu chleb. Dynastia Karów nigdy nie wygasła; gdy jeden zdechł, inny na jego miejsce następował. Z psami tysiączne zawsze figle wyprawiano; czasem były one nawet powodem generałowi do dowcipnych wierszy. Zdarzyło się, iż syn jego, będąc w Szmiglu na popasie, widział jak chciano topić biedne szczenię, uratował je od śmierci i zabrał ze sobą do domu. Szczenię wyrosło na psa wcale nieosobliwego; jednak pieszczono go

przez pamięć na jego początek, i przezwano niewiadomo dla czego Tekelmanem. W parę lat potem na imieniny syna, napisał generał Tekelmanowi wiersz następujący, uwiązawszy mu go u szyi:

Niech i ja także dzień tak miły święcę,
Szczękne z radości i ogonkiem kręcę;
Bo jakże nie mam w dniu tak drogim skakać,
A raczej w rzewnej wdzięczności zapłakać!
Pamiętam bowiem o tym strasznym figlu,
Który los zdrajny gotował mi w Szmiglu,
Gdziem miał już zginąć — a tyś się uzałił,
I od tych srogich Niemców mię ocalił.
Co — jak z ust mego słyszałem to dziadzi,
I psyby polskie powyćpiał radzi.
Może, iż za to ukarać mię chciano.
Że jak w psich dziejach stoi napisano:
Jeden z mych przodków wśród hundsfeldskich łanów
Najwięcej pono pozjadał Germanów.
Licznych on psiarni był w ówczas hetmanem
I ztąd go zwano wielkim Tekelmanem.
Lecz wszystko w świecie gaśnie i upada:
Znikła już pamięć wielkiego naddziada;
A ja, wnuk przez cię litośnie przyjęty,
Przychodzę kornie twoje lizać pięty,
Wdzięczność twę wierną psiny ci wynurzyć.
I całe życie na dwóch łapkach służyć.

Ze wszystkich koni, jakie miał w stajni swojej generał najwięcej lubił Wilczatę, starą klacz,

której chorobą nieraz martwił się, a gdy zdechła, omal, że nie płakał za nią.

„Najboleśnieszka dla mnie — pisze w jednym liście — Wilczata moja zdycha. Żaden arab nie rozstawał się ze swoim koniem tak smutny, jak ja z nią. Żal mi jęj jako

Staręj sługi i w szkapie przymioty bogatęj,
Bo wreszcie, cóż ja będę znaczyl bez Wilczatęj?
Po Wilczatęj mię znają, kiedy po obiedzie
Stare Jeneralisko na wizytę jedzie.
Po Wilczatęj mię znają, kiedy z Karym w parę
Odwożę do spowiedzi moje grzechy stare.
Włókłem się marząc sobie że gdy zejde z świata,
Aż do grobu mię moja odwiezie Wilczata.
Tak się to z losem ludzkim wiążą losy szkapie...

Dokończ — bo ja z żalu nie mogę....“

„Drobnostki to są, lecz przez nie właśnie przegląda człowiek, nie ów od święta, urzędowy, publiczny, lecz jakim był w codzienném zachowaniu się. Jak każda wyższa indywidualność, tak i Generał miał w sobie taki zapas życia, że niém wszystko, co się skupiało około niego obdzielał, ożywiał; ztąd najprozaiczniejsze zatrudnienia, najpowszedniejszy tryb domowy, miał pewien wdzięk, jakąś odrębność od tego, co gdzie indziej się widzi. Dusza poetyczna nawet w stanie spoczynku swego, je-

szcze promieni się. Przeciwnie dzieje się około suchych serc, zamkniętych w sobie; nic się do nich nie zbliża, bo nie czuje siły przyciągającej; a to co bliskiem jest, martwieje. Cisza, ład symetryczny, wilgotny chłód, woń stęchlizny, za-
zwyczaj cechują taką pustynię, gdzie mogą mieszkać najzacniéjsze osoby — ale poezya życia nigdy nie zagląda....

Bez poezyi życia, niewiem nawet jak można mieć pretensyę nazywać się poetą?

XIX.

W ostatnim lat życia dziesiątku czuł sędziwy generał częstsze i dolegliwsze napady podagry; jeździł leczyć się na nie do Karlsbadu, gdzie spotykając dużo dawnych znajomych z różnych dzielnic Polski przybyłych, nietylko krzepił zdrowie ciała, lecz i umysł odświeżał w tych rozmowach, co wiecznie około jednego, nigdy niewyczerpanego przedmiotu obracać się zwykły. Interesujący się wszystkiém mającém związek nietylko z literaturą, lecz stosunkami domowemi, towarzyskiemi, gospodarstwem, instytucjami publicznemi, wypytywał o szczegóły, badał usposobienie umysłów, i nie-
raz miał sposobność cieszyć się z postępu, gdy ten

nosił cechy rzeczywistego rozwoju materyalnego i duchowego, a smucić gdy wpadał na trop szkodliwych wicherzeń podkopujących podwaliny społeczne, co także zwykły uchodzić za postęp. Obywatel jednej prowincyi nie zamykał się w niéj; wszystkie uczucia i myśli do całości odnosił; a światło jego, wytrawne doświadczeniem zdanie, prze-
mykało się nieraz nieskontrolowane i nieocłone przez różne granice.

Wszakże trwalszą pamiętką chciał się on przysłużyć swoim współczesnym. Na dwa lata przed zgonem, w r. 1859, kiedy siły fizyczne coraz się wyczerpywały napadami podagry i innych niemocy starości, zaprzętał generała pomysł wysoce chrześcijański i obywatelski, nad którego sformułowaniem wiele myślał, a nad wprowadzeniem w praktykę robił starania o ile zwątlone siły krzątać się pozwalały. Pomysłem tym było utworzenie Towarzystwa antypojedynkowego, mającego położyć tamę barbarzyńskiemu zwyczajowi dochodzenia krzywdy przez walkę orężną, której ostateczny wyrok najczęściej pokrzywdzonego osiąga. Pojedynki mające w średnich wiekach znaczenie Sądu Bożego, dzisiaj rozstrzygają najczęściej na stronę lepszego oka, lub wprawniejszej ręki. Nie-

sprawiedliwość ta bolała jenerała i martwiła w uczuciu wysoce chrześcijańskim, niemogącym patrzeć jak nieraz z błahéj przymówki, łatwo dając się pogodzić, wynikał pojedynek, przyprowadzający o życie człowieka. Czuł on że tak powiem, sumienie swoje obciążone tolerowaniem barbarzyńskiego zwyczaju; wyrzucał sobie że będąc członkiem społeczeństwa dopuszczającego pojedynki, staje się współwinnym zbrodni kalectwa lub morderstwa; dręczył go ten szlachetny skrupuł — i dla tego rozmyślał nad środkiem zaradczym, który mu przedstawił się w formie stowarzyszenia jak największej liczby osób, któreby zobowiązały się wszelkie zajścia mogące spowodować sprawę orężną, polubownym sądem rozstrzygać. W téj myśli ułożył statuta antypojedynkowego Towarzystwa, i udzielił je sąsiadowi swemu, który jego przekonania podzielał, Stanisławowi Koźmianowi, zobowiązując go aby udał się do Jenerała Chłapowskiego i innych osób używających powagi w całej prowincyi i skłonił je do zajęcia się wykonaniem tego planu. Koźmian aczkolwiek zgadzał się na pomysł, czuł jednak niepodobieństwo zwalczania przesądu i drażliwości, któremi się utrzymują pojedynki, do tego cierpiący na zdro-

wiu, nie czuł w sobie dość sił, ażeby się mógł zająć czynném gromadzeniem członków towarzystwa. Zwrócił więc jenerałowi jego projekt, bez żadnych uwag, wymawiając się niemożnością służenia mu w téj trudnej sprawie.

Jenerał po jakimś czasie pisał doń w tym przedmocie, i z listu tego możemy się przekonać jak wielką wagę przywiązywał do tego projektu. Oto są jego słowa:

„Po odjeździe twoim, zastałem na moim stole zwrócony mi projekt do wiadomego Towarzystwa*) lecz bez żadnych uwag, rad, poprawek, bez podania nawet sposobów do zawiązania i rozkrzewienia jego. Jeżeli projekt ten nie zasługuje na twoją uwagę, czemuż mi szczerze nie wyjawisz prawdy? Jeżeli zaś zasługuje, czemu mię nie wesprzesz twoją światłą radą? Może nie miałeś dość czasu do rostrząsania przedmiotu w Luboni; raz więc jeszcze posyłam ci ten projekt. Rozważ go, choćby najdłużéj trzymaj u siebie, a potem napisz otwarcie co myślisz o tém. Ja dość wagi przywiązuję do téj rzeczy, bo ta będzie najle-

*) Projekt ten, a raczéj Statut Towarzystwa antypoedynkowego załączam na końcu.

pszém dziełem, które po sobie zostawię, jeżeli się uda projekt ten w życie wprowadzić. Mam nadzieję, że wiele grzechów przez to zetrę, a w moim wieku spekulacya to bardzo przyzwoita. Im prędzjby się towarzystwo zawiązało, tém więcej zasługi; im dłuższa zwłoka, tém wina cięższa. Sam z resztą niczego dokonać nie zdołam. Trzeba mi wsparcia i proszę o nie. Mażże być tak trudno pomagać dobrej rzeczy i świętemu zamiarowi, póki tylko cień podobieństwa zostaje, że cel osiągnięty być może.“ —

Pomysł jego rzucony w chwili, kiedy wiele jeszcze żywych uprzedzeń rozdzielało społeczność naszą, kiedy namiętności nie ostygły, wyobrażenia nie przyszły do równowagi, natrafiłby na nieprzełamane trudności, co jednakże nie każe wątpić, żeby kiedyś ów antypoedynkowy kodex nie wszedł w praktykę. Z postępem oświaty przyjdzie prawdziwsze światło, światło padające z nieba, a wtenczas i projekt zacnego starca łatwiej pociągnie umysły.

Zwykle to bywa, że pod koniec dłuższego życia starość staje się podobną do kija, na którym się opiera. Ów *baculus senectutis* stracił swoje liście, gałązki, kwiat, owoce — tak samo człowiek

patrzy jak jedne po drugich opuszczają go drogie i bliskie sercu osoby; kwiaty nadziei, owoce trudu. Alić człowiek niezawsze jak ów kij usycha; soki w nim krążą, serce bije, myśl pracuje — a en podobien mitologicznej Niobie, patrzy na przeciągające pogrzeby!.... Cóż go broni że nie skamieniał jak Niobe, nie usechł jak kij? Ufność w Bogu, gorąca wiara w nieomylność jego wyroków przechowywana w sercu co płacze krwawymi łzami, a jednak znosi z mężną pokorą..... Taką wiarę i takie serce miał sędziwy wieszcz wielkopolski. Kiedy rozkwitało mu szczęście w drobnych wnuczętach, śmierć zabiera mu ukochaną synowę — matkę drobnych dzieci — tę samą Zosię, do której napisał był piosenkę tak świeżą, tak wonną, jakby dwudziestoletni poeta. A potem, potem, każdy rok przynosił jaką stratę. Umierały osoby drogie sercu jego przyjaciół; umierali starzy przyjaciele: Kajetan Koźmian, Zygmunt Krasiński i coraz samotniej było mu na świecie.

Przeczuwał tę kolej i cichy chrześcijański filozof, zawczasu zrzucił ze siebie wszystkie blichtry i zaszczyty światowe, które człowiek nakłada na siebie, lub nakładają na niego, w ziemski

pielgrzymce. Pragnął on stanąć przed Bogiem w postaci człowieka bez żadnych przyborów próżności, i do téj najprościejszój, a oraz najtrudniejszój roli układały się resztki dni, które miał jeszcze przeżyć. Wszystko odrzucił — nie odrzucił tylko dowcipu i téj wesołości, co bywa przymiotem serca miłującego ludzi. Dwie te uroczne strony jego natury nie opuszczały go nawet w godzinach najpoważniejszych rozmyślań i postanowień. W przypisku do jednego listu, z całym sobie właściwym humorem maluje on tę nową fazę w którą wstępował:

„Humillimus ex-dziedzic, ex-jenerał, ex-poeta, „ex-członek towarzystwa uczonych, wszystkich „systematów kredytowych; balów, pikników — „słowem taki *ex* ze wszystkiego, że siedzę już „tylko jak szkielet, trochę trawiący, trochę drze- „miący, i jak z ostatnim jeszcze znakiem życia „z paciorkami lub preferansem w ręku. Przypo- „minajcie sobie często, że tam gdzieś, za światem, „we wschodniej ziemi, żyje stary wojak, ów biec „boży Jaksy i zabity wasz przyjaciel.... Zapomnia- „łem jeszcze dodać ex-kawalera tyłu orderów; „lecz bałem się, aby ci się nie stało, jak nie- „gdyś panu Stanisławowi Potockiemu, wojewo-

„dzie*), co gdy przed nowym kamerdynerem za- „czął się rozbierać i zdjął siedmnaście kamizelek „ze siebie, ten myślał, że nic a nic nie zostanie „z jego pana, i ze strachu, aż za Trzy Krzyże „dernał. *Notabene* prawdziwe zdarzenie.“

W humorystycznym żarcie ileż głębszej prawdy! Im więcej czujemy zbliżający się koniec, tém wątlejszemi wydają się te wszystkie oznaki wielkości, na których człowiek opierał się w ciągu życia. Wyższy duch rozstaje się z niemi bez żalu; zrzuca je jak ów minister swoje kamizelki, aby w obliczu Boga stanąć tylko z treścią swego moralnego jestestwa. Tak i nasz sędziwy jenerał poświęcił ostatnie lata rozmyślaniom o wieczności, sposobiając go na tę daleką, tajemniczą podróż. Umysł jego zwrócił się był więcej ku rzeczom religii; zawsze czytając wiele dzieł w tym przedmiocie, teraz wyłączniej oddał się rozpamiętywaniom i praktykom pobożnego chrześcianina. W ciągu żywota łagodny i sprawiedliwy, czuły na cierpienie nędzy, wyrozumiały na słabości ludzkie, teraz przy schyłku nie zmienił się w niczem, tyl-

*) Minister Oświecenia w Król. Polsk. i autor dzieła: O wymowie i stylu.

ko dobre skłonności i cnoty swoje związał ze źródłem, z którego płynie źródło łaski w duszę spragnioną niebieskiej rosy.

W takim usposobieniu rozstrzelone promienie na zewnątrz coraz bardziej skupiają się w głównym ognisku; duch potężnieje sam w sobie, lecz już nie wylewa się w świat — bo to rzecz młodzińczego zapału niemogącego się w piersi pomieścić. Starzec zamyka się w ciśniejszym kółku; trzeba się doń zbliżyć, żeby się ogrzać lub zaczerpnąć światła zdobytego w szkole doświadczenia.

Sędziwy generał oddawszy majątek synowi, zostawił sobie tylko obowiązek wychowywania jego dzieci, które matka tak wcześniej odumarała. Wzruszający to był widok starca jak im opowiadał dzieje ojczyste lub uczył bajeczek. Wyższe dusze mają to do siebie, że umieją być prostemi; prostota połączona z mądrością ma dziwny urok dla niewinności dziecięcej.

Jędrzej Koźmian, lat kilkudziesięciu przyjaciel Morawskiego, poświęcił kilka kart opisowi dworca w Luboni*), i tak nam jako naoczny świadek odmalował otoczonego starca wnukami:

*) Dom starego wieszczki wielkopolskiego — w Poznaniu 1858.

„Spojrzyjmy na te dwoje dziatek ślicznych, dobrych i pojętnych. To wnuczka i wnuczek naszego poety. Rozczulający jest zawsze widok dziecka obok starca, nadziei obok wspomnienia, niewinnej prostoty obok doświadczenia, i rozwijających się sił obok utrudzenia po dłuższym życiu. Nie można więc bez rozrzewnienia widzieć tu dziadka szczęśliwego pieściznami wnucząt, dzielącego z szczerem zajęciem ich dziecinne gry i zabawy, i zrzekającego się dla nich powagi i zaszczytów wieku, rycerstwa i poezji. Są w pewnych dniach godziny, które on sobie zastrzegł na naukę dla nich, w tych godzinach naucza je wymowy ojczystej i przeszłości rodzinnego kraju, a młodziutkie umysły chwytają chętnie słowa starca, które dla nich mają tę powagę i z takim zajęciem są słuchane, jak gdyby on sam był świadkiem tych wypadków, które im opowiada. Lecz widok tych dwojga dziatek, o ile rozwesela, o tyle rozrzewnia i zasmuca; patrząc bowiem na nie, czuje się, że niedawnymi czasy dom ten był przybytkiem jeszcze zupełniejszego szczęścia, nim z tego koła rodzinnego ubyła ta, która do niego to szczęście wniosła — matka tych dwojga dzieci..... Od chwili jej zgonu niezatarty smutek po-

włókł umysł naszego sędziwego wieszczu, wpoił się w jego duszę. Wspomnienie szczęśliwej przeszłości wkorzeniło się w nią i niejako skamieniało; o niém, jakby w przeczuciu własnej doli poeta tak pięknie w jednym z swych wierszy wyraził się:

Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
Taki został, skamieniał — sama śmierć go skruszy.

Swoboda, wesołość, żartobliwość, tak właściwe jego umysłowi, uszły odtąd bez powrotu; a jeżeli i teraz w rzadkich objawiają się odcieniami, to tylko dla tego, aby długo trwałym smutkiem obojętnych nie razić, lub drogich sercu jego niezasmucać. Choć więc z tego koła domowego ubyla ta, która była jego ozdobą, wspomnienie jój zawsze żyje, każda po niej pamiątka troskliwie strzeżona, rysy jój w wiernych wizerunkach zachowane, a na ścianie kaplicy wypisane te słowa: Boże strzeż Zofię! Z jój wspomnieniem łączy się zajęcie, jakie sobie jedynie w zarządzie Luboni zachował dawny jój pan. Ona lubiła kwiaty, lubiła ogród, trudniła się nim — to jój zatrudnienie odziedziczył teść po niej. Jego więc staraniem ogród ten utrzymuje się w porządku i przyozdabia się corocznie. Miły

świeżością i chłodem, bogaty w wspaniałe drzewa, w wiekowe dęby, jakich nie łatwo się napotyka, jest on celną ozdobą Luboni. Gospodarz nie raz się w nim przechadza, nie raz dozorczy okiem rzuci na prace w nim wykonane. Wierny dawnemu nawyknienu, które mu wszędzie serca prostych ludzi jedna, każdego z robotników, z sług, z włościan, którego napotka zatrzymuje, z każdym pomówi, tabaczką poczęstuje, pożartuje z niejednym. Mieszkańcy włości jego znają ten zwyczaj starego ich pana, chętnie się do niego stosują, rozumieją jego żarty i wdają się z nim w pogadankę, co się rzadko w tym kraju zdarza, gdzie lud nie jest łatwy do żartów, nie prędko do odpowiedzi.“

Widać z tego opowiadania, że pamięć bolesnej straty stanęła jak mgła szara, ziębiąca, między nim a światem. Ostatni uśmiech ziemskiego szczęścia prędej go opuścił niż opuściło życie; i odtąd, wszystkie rojenia i nadzieje snuły się dlań po tamtej stronie grobu. Z myślą pogrążoną w wieczności, dusza w coraz bielsze oblekała się szaty. Nie darmo napomknął opisujący Lubonię, że mógłby i tajnie téj duszy odsłonić; okazać, jak w niej wiara coraz żywsza, łagodność

coraz dobrotliwsza, jak coraz głębsze w niej przekonanie o marności wszelkich rzeczy ludzkich, nawet sławy zasłużonej. Lecz nieśmiały uchylać tej zasłony, bo musiałby mówić o żyjącym, który to skrupuł piszących po jego zgonie, niewiąże.

Starzec rachował się z życiem, i jak słońce bywa promienniejsze i większe u zachodu, tak i on pracą wewnętrzną rósł i promienił się na dni swoich schyłku....

„Rycerza, patryotę, obywatela i wieszczą narodowego — jak mówi nekrologista jego poznański*), dopełniał doskonały chrześcianin. Bystry umysłem śledził i przenikał najtrudniejsze kwestye, religijne, a w najprościejszej modlitwie korzystał się przed Bogiem. Pieniami dziwniej wzniosłości ulatywał przed sam tron Jego majestatu, a nie lenił się dopełniać codziennych katechizmowych prawideł i praktyk katolickich. Głębokiego tego uczucia religijnego dawał świadectwo w codziennych swych uczynkach. Lud polski całém sercem kochał, troszczył się o jego dobro, każde ulepszenie w jego losie witał z uniesieniem.

*) Dziennik Poznański z 20 grudnia 1861 r. (pod lit. K.)

Litościwy aż do rozrzutności w miłosierdziu, nie czekał na wezwanie, ale sam spieszył z pomocą i ratunkiem dotkniętego chorobą lub niedolą. Nie pojedynczo téż, ale gromadami drzwi jego oblegali ubodzy z okolicy (w samą Luboni ich nie było) a zwłaszcza z sąsiednich miasteczek. Sam zawsze pierwszy spostrzegł idącego biedaka, wzywał go ku sobie, a ostatnim był w przyznaniu się jak go hojnie obdarzył.“

Nie są to panegiryczne frazesy; jest tylko charakterystyka człowieka jakim był w ciągu długiego żywota. Poznaliśmy go z jego listów, i nigdzie w nich nie ma nic, co by mu zaprzeczało dobroci serca, wielkich szlachetności i tych własności duszy, co nie tylko nad popoliczłość wynoszą, lecz do wyższości dają prawo. Pojmując życie wielostronnie, interesował się wszystkim, co obchodziło naród, a światłem zdrowego zdania, lub iskrami dowcipu sięgał w różnych kierunkach, i zostawiał po sobie wszędzie ślad jasny. Nie powie potomność, że mącił i bruździł — przeciwnie, był on jednym z tych czerstwych i szczerzych umysłów, miłujących prawdę dla prawdy: co za skromne i ciche świadectwo własnego sumienia nie mienialiby się na najświetniejsze try-

umfy odniesione kosztem cudzej łatwowierności lub nieuctwa. Taki sam jest on i w pismach swoich; jasność, precyzja, trafność, umnicza powściągliwość, są cechą jego poezyi. Niekiedy zanadto trzyma się na wodzy; zdawałoby się że nie chce skrzydeł rozwinąć, żeby nad zakres nie wzlecieć; a jednak w duszy téj było tyle poetycznego żywiołu, że mógł sobie pozwolić być śmielszym. Wczesna klasyczna dressura, z której wiele lat mozolnie się wyłamywał, podcięła mu skrzydła do swojej urzędowej miary; a nawyknie nie do trzymania się wzorów uznanych za doskonałe, osłabiało w nim do pewnego punktu siłę twórczości tak niezbędną, żeby być oryginalnym. Natomiast miał on te przymioty, jakich niedostawało wielu głośnym pisarzom naszego czasu; oto, każdy utwór wychodzący z pod jego pióra, nosił cechę obmyślanej całości, i artystycznego wykończenia, nie w drobiazgowym wylizaniu stylu, lecz w tych delikatnych cieniowaniach, tych jennialnych dotknięciach pędzla, co nie goniąc za sprawieniem teatralnego efektu, osiagają go w oczach znawcy.

Dopóki téż nie wygaśnie w czytającej publiczności dobry smak, uczucie piękna, dopóty li-

ryczne poczye Morawskiego znajdą wielbicieli; a Dworzec Dziadka dla niezawców nawet pozostanie drogiem narodowym pomnikiem, wonnym symbolem, w którym się skryształizowało życie jednej prowincyi.... Moznaby jeszcze i to dodać do charakterystyki jego utworów, że na wielostrunnej lutni Morawskiego, zawsze odzywa się jedna struna nawiązana gdzieś na dnie serca — jest to struna miłości ojczyzny — ale tak czysta, tak rzewna, tak nieszukająca efektu w pustym hałasie, że te pieśni które wygrywa, nie mogą się liczyć do rzędu tych, co przybierają dla tego koloru patryotyczny, żeby nim pokryć płaskości wewnętrzne. Duch polskiej pieśni wielko-polskiego poety, zawsze leci na złotych skrzydłach wiary w przyszłość, jak owa zwrotka włoskiego piewcy, który podobną przyszłość przyrzekał swojej ojczyźnie:

Invan ti lagni del perduto onore,
Italia mia di mille affani grvida;
Tu fosti invitta fin ch  il tuo valore
E le antiche virt  serbasti impavida*).

*) Napr żno skarzysz si  na cze  stracon , moja ty Italio na m k tysiące wydana! lecz nikt ci  nie pokona, wszyscy cze  oddadz , dop ki zachowasz stare cnoty i m stwo....

Pomimo dolegliwych cierpień z każdym dniem się wzmagających, starzec nawykły od lat kilkudziesięciu prowadzić listowną rozmowę z nieobecnymi przyjaciółmi i znajomymi, pozostał z tém nawykniem do dni ostatka. P. Stanisław Koźmian sąsiad jego, z którym od lat dziesięciu zostawał w zażyłości i w ciągłej korespondencji, dostarczył mi, jak już na inném miejscu wspominałem, interesujących szczegółów i notatek z jego listów z téj epoki.

Jak od r. 1860 coraz upadał na zdrowiu i gasnął, a mimo tego jeszcze myślą latał po przedmiotach zajmujących go przez całe życie, zobaczmy z tych listów pisanych albo drżącą własną ręką, lub cudzą....

„Ja od sześciu tygodni (pisze z 6 marca 1860) boleję na mocną podagrę. Wiedziałem o twojém chorobie, a listu nawet niemógłem do Ciebie napisać. Im głębiej w starość, tém więcej dolegliwości. Oczy mię także bołą, i wszystko się powoli rozpręga.... W téj chwili odbieram wezwanie z Krakowa od księcia Jabłonowskiego abym zbierał składkę na pomnik dla Skrzyneckiego najwyżej 3 talary na osobę. Mnie niepodobna podjąć się tego. Nigdzie niebywam, w kościele na-

wet gość ziemie bardzo rzadki; przytém jestem chory, stary i już nawet zgłupiały. Wybaczenie więc z Kajetanem że na was tę czynność złożę. Żal mi bardzo że sam tego uczynić niemogę, bom jak Polaka, żołnierza i człowieka szczerze szanował Skrzyneckiego.“

List pisany z 22 marca jest już obcą ręką. W nim donosi że syn jego zawarł z Żupańskim ugodę o druk *Bajek* i dodaje:

„Ale największa bieda z korektą, bo ja żadną miarą dla ręki tak trzęsącej się, że nawet do Ciebie własną ręką pisać niemogę, uskutecznić jęj niezdolam. Niktby mię nie przeczytał i więcéjbym popsuł, niż naprawił. Jeżeli zdolny jesteś téj ofiary abyś korektę przyjął na siebie, to *Bajki* będą wydrukowane; inaczej niepodobna. W *Przeglądzie* tak doskonale były *Bajki* moje drukowane, że nietylko omyłki nie było żadnej, ale i rysunek *Bajki* doskonale był zachowany. To mię wszystko zapewnia że pod Twoim dozorem rzecz ta najlepiejby się odbyła. Nie odmawiaj mi kochany panie Stanisławie i bądź litościwy nad kalectwem mojem. Czuję, że będzie to wysilek przyjaźni, ale nieprzewyższający twego uczucia dla mnie.“

Widzimy z tych ustępów, jak się troskał o przyzwoite pokazanie się swoich Bajek przed publicznością czytającą. Sam niemogąc doglądać korekty, uprosił przyjaciela, który go z całą starannością, pomimo także nadwerżonego zdrowia, wyręczył w tej mozolnej pracy.

W tym roku dzień 2 kwietnia przypadał w sam Wielki Tydzień; odłożono więc imieniny Jenerała do 10 kwietnia. Zebrało się na nie wiele osób. Wszyscy jednak byli smutniejsi niż zwykle, czując może że to po raz ostatni święto jego obchodzą. Jenerał Chłapowski wniósł zdrowie solenizanta i przypominając mu wszystkie ważne chwile, w których się społem znajdowali, skończył życzeniem, aby i w przyszłym życiu mogli być razem, i dla tego, kto tam pierwszy się dostanie, winien drugiemu kwaterę zamówić. Morawski czule podziękował, dodając, że chyba modlitwy jego towarzysza broni i przyjaciela zdołają mu wyrobić przy nim miejsce w niebie. Piękny to był widok tych starych żołnierzy wznoszących się duchem pokory i wiary w zaziemskie sfery!

W lipcu po przyjeździe córki, wyjechał Jenerał do Karlsbadu, a powracając z tych wód, tak był chorym, że wierny jego sługa Antoni

mniemał iż go do domu nie dowiezie. Na jesień był w Luboni; rozmowa jego najwięcej obracała się około dzieł treści religijnej, które chciwie czytywał, i o najwyższych duchowych zadaniach. W ogólności umysł jego spoważniał, i dawna wesołość ustąpiła posępnym rozmyślaniom.

W następnym roku, już cudzą ręką pisał pod d. 15 lutego do Stanisława Koźmiana:

„I jam także przebiedował karnawał, bo do tylu licznych defektów starości dołączyło się jeszcze od 5 tygodni takie świędzenie ciała że ciągle, dzień i noc w febrycznym jestem stanie, a doktor nie doktor niedostateczne podaje środki do uśmierzenia tych cierpień. Ledwie kilka chwil w dzień znaleźć mogę w których czytać zdołam... Choć tak daleki dzień wyznaczyłeś przybycia do Luboni, zawsze jednak cieszyć się niem będę. Obym tylko dożył, bo co dzień bardziej kruchokoło mnie. Zmieniły się plany moje co do Karlsbadu. Niemogąc dla moich funduszów dwóch wielkich podróży na jeden rok odbywać, będę pił w tym roku wody sztuczne w Warszawie i tym sposobem będę się widział z moją córką. Jużem raz tak przed dziesięciu laty uczynił i ze skutkiem prawie tak dobrym jak w Karlsbadzie“....

Plan ten w zimie ułożony, pod wróżbą gasnącego życia, dał się przecież wykonać. Z nadchodzącą wiosną ożywił się starzec; muza poezji przyszła go pocieszyć i wtenczas to napisał tych kilka prześlicznych strofek:

Życie się z ziemi już trawką wyciska
I w całej budzi się sile;
Z każdego pączka miłość tu wytryska,
Boleść usypia na chwilę.
Czemuż się życiem tej wiosny nie cuję
Co dla wszystkich tak radosna?
Może ja, może, dla tego się smucę
Za to ostatnia już wiosna!
Słyszę ja z gaju brzmiały śpiew słowika,
Pszczołkę, co nad kwiatkiem brzęczy —
Ale mię głębiej głos dzwonu przenika
Co gdzieś tam z wieży mi jęczy.

Poetyczne przecucie było przecuciem bliższej rzeczywistości; wiosna ta, była w jego życiu ostatnią.

Pod koniec czerwca, tak jak sobie był ułożył, Jenerał wyjechał do Warszawy, używał wód sztucznych, rady najlepszych doktorów, i już w październiku znalazł się w Luboni, zkąd pod dniem 10 października tak opisywał w liście do St. Koźmiana tę kampanię kuracyjną.

„Dziękuję serdecznie za list. Uradował mię jako dowód pamięci o mnie, ale i niemało zasmutił wiadomością o cierpieniach twoich. Kiedy niema nic pewnego, a doktor zaprzecza temu, że powodem boleści są kamienie wewnątrz, po co w nie wierzyć i tą wiarą zwiększać swoje obawy i cierpienia? Ja sam na sobie tego doświadczam, że przy prawdziwych cierpieniach i mniemane zwykły się roić choremu i stan moralny jego pogorszać. Wróciłem szczęśliwie z Warszawy z trochę podreperowaniem zdrowiem, ale wcale nieuleczony, bo źródłem moich cierpień jest starość, na którą niema lekarstwa. Dzięki doktorowi Chałubińskiemu i staraniom mojej drogiej córki, odzyskałem nieco siły i apetytu; lecz nogi, zawsze jak podcięte, wcale chodzić nie mogą. Chałubiński przez całe trzy miesiące kuracyi nie dał mi ani kropli lekarstwa, samemi domowemi środkami mię lecząc. Teraz przepisał mi na zakończenie kuracyi codziennie po dwa funty winogron przez trzy tygodnie. Moja córka bawi u mnie od tygodnia ze swemi córkami i ciotką. Odjeżdża w przyszły poniedziałek do domu.... Nie będę ci opisywał stanu, w jakim królestwo zostawiłem; bo o wszystkim, jak wiem, doskonale jesteś za-

wiadomiony. Opinia o Wielopolskim o tyle się podnosi, że on opiera się aby żadnej nie było arbitralności w rządzie, w więzieniu i karaniu winnych, lecz aby na legalnej drodze z nimi postępowano. Nieczynność zupełna Andrzeja Zamojskiego ten ma skutek, że powoli zacierają się jego zasługi istotne. Wybór do Rady Stanu bardzo dobry, i wiele bardzo obiecują sobie po radach powiatowych. Życzeniem rozsądnych jest w ogólności, aby Rada Stanu zajęła się przede wszystkim kwestyą włościańską i oświecenia narodowego. Boję się bardzo o dzień dzisiejszy w Horodle, aby nie przyszło do nieszczęśliwego starcia. Wszystkie Rady powiatowe w kraju podają adres o reprezentację narodową; lecz podobno zapowiedziano z góry, że jako pismo ze zbiorowemi podpisami, nie może być przyjęte przez Namiestnika. Zresztą w cały ten ruch narodowy wcisnęła się anarchia, bo są trzy prądy które ruchem tym kierować pragną, a są między sobą sprzeczne. Mierosławskiego partya jest mała, ale zaciekle. Z nią łączą się podburzający ajenci paszportami pruskiemi opatrzeni, którzyby i chłopów podburzyć i cały ruch skrzywić chcieli, a to w celu, aby w królestwie gorzej było niż w księ-

stwie, i aby reformy tamtejsze niezmusiły i tu do reform.“ —

W jednym z powyższych listów nadmienia że przez wzgląd na szczupłe fundusze nie mógłby podejmować podwójnej podróży do Karlsbadu i do królestwa; zdaje się jednak że mu nie tyle szło o większy wydatek, ale że chciał się bliżej przypatrzeć rozbudzonemu życiu w Warszawie. Zaiste widok był to pociągający; fizjonomia narodu, niemogącego znaleźć sprawiedliwości na ziemi, a szukającego jej u stóp świętych ołtarzów, miała wyraz wzruszającej nowości, była poetycznem natchnieniem w akcji. Objaw ten zupełnie odmienny niż wszystkie tegoczesne poruszenia ludów — dezorientował rządy, a w głębszych umysłach budził wiarę że nowa ta droga, jest pewnie drogą zbawienia; raz, że się poczęła pod świętem gołdem krzyża, potem, że niepodobna w niczem do zwykłych rewolucyjnych ruchów.

Stary jenerał był świadkiem naocznym tych modlitw i pieśni — i serce jego rozplynęło się łzami radości na widok spotężniałego ducha w narodzie.

Gdzie jest duch żywy, tam i ciało się znajdzie. Z taką nadzieją nie żał mu było zstąpić do grobu...

Atoli nie uszły uwagi jego pewne symptomata niepokojące, jakie już spostrzegać się dały między ludnością stolicy ... podobne do tych białych obłoczków na horyzoncie które doświadczone oko żeglarza poczytuje za wróżbę burzy.... Nie darmo też wspomina o nurtowaniach partyi rewolucyjnej, szczupłej wprawdzie, lecz zacietej — i nienapróżno się lęka owego zjazdu w Horodle, tak zuchwale wyzywającego Rosyę do walki.... Zapewne pocieszał się w duchu że siła zdrowych pojęć przeżyje w narodzie, i z uspokojonym umysłem zbliżał się do wiecznego spoczynku powtarzając zwrotek swą śliczną pieśń: *Pozwól się pozwól spodziewać!* Szczęśliwy! niedożył roku 1863. —

„Przyjechawszy na imieniny Tadeusza, syna generała — pisze Stanisław Koźmian — zabawiłem kilka dni w Luboni. Generał nie chciał mię żadną miarą puścić od siebie, jakby przewidywał że to już ostatni raz widzimy się ze sobą. Rozmawiał wiele o religii i o śmierci. Czasem tylko zajrzał do swojej teki i z dawnych wierszy co przeczytał. Smutna jesienna pora natchnęła mu następującą poczę w której odbiły się jego posępne myśli o śmierci:

Wszystko zwiędło, trawki zbladły,
Zaległ ziemię liść opadły;
Wzmaga się pomrok wieczoru, —
Zimny wietrzyk mię owiewa,
Obnażone szumią drzewa,
I puszczyk huczy po boru.
Smętna myśl się w umysł ciśnie,
Z nią raz po raz łza zabłyśnie, —
Coś mię ciągnie do stóp krzyża,
Bije zdala dzwon kościoła —
Ach rozumiem! wszystko woła
Że i dla mnie czas się zbliża.“

Porównawszy to jesienne dumanie, z wiosenną piosenką przed kilką miesiącami złożoną, widzimy jedno i to same przecucie, tylko przybrane, tam, w zielone liście i melode słowików — tu, w liść opadły, żółtkły, i złowróży krzyk puszczyka.... Im bliżej nachylał się do grobu, tém posępniejszą szatę wdziewała natura, której był kochankiem i znawcą wszystkich jej tajemnic i wdzięków.

Opatrzność, żeby pocie zrobić mniej przykrą chwilę rozstania się ze światem, powołała go w najsmutniejszym miesiącu z całego roku.... Umarł 12 grudnia 1861 r.

Zima, to przedsmak grobu. Umierający po-

eta nie szukał już słońca, ani zieleniejącej murawy, ani drzew, ani zbolałą piersią wciągał wonne powiewy zalatujące z pól i łąk — kwiaty, drzewa, murawa słońce — wszystko to leżało w swojej martwocie — zegnał tylko serca co koło niego były, zegnał ojczyznę, której miłość poślubił, a zegnał z mniejszą może goryczą, gdy ją zostawiał zmęczoną, i podniesioną w duchu....

Wiara w miłosierdzie ukrzyżowanego Zbawiciela spływała się z wiarą w zbawienie ukrzyżowanego narodu....

Zapewne któraś z obecnych osób, tak opisuje *) ostatnie chwile wielkopolskiego wieszczka:

„Na godzinę przed śmiercią kazał się z krzesła odprowadzić do łóżka, po kilkakrotnej utracie krwi ustami; poczem wypowiadał się, przycisnął syna oburącz do piersi i przemówił: „Wzrok mój ciemnieje, podajcie mi krzyż.“

A gdy mu go podano, rzekł:

„Nie ten, ale tamten co nademną wisi nad łóżkiem.“

Wziął więc krzyż w ręce, zaczął go całować,

*) Dziennik Poznański z 18 grudnia 1861 r.

i spokojnie zasnął na wieki, tak, że otaczający go, chwili wyzionęcia ducha dostrzedz nie mogli.“

Ktoś powiedział że ani w słońce, ani w śmierć nie można patrzeć niezmrużonym okiem. Miałoby to znaczyć, że śmierci zawsze towarzyszy trwoga? Najpewniej; tylko stopień jój i rodzaj bywają różne; inaczej umiera ten, co nie pomyślał nad tą zagadką życia; inaczej żołnierz Chrystusowy idący tam, gdzie go prowadzi godło zbawienia. Sędziwy wieszcz przeczuwał przyjście tajemniczego gościa, i usposobił się na jego przyjęcie, z najwyższą delikatnością skrupułów i wymagań.

Na krótko przed zgonem, kiedy ręka nie była już w stanie utrzymać pióra podyktował wnucze swój ostatnią poezję, ostatni odblask duszy stojącej u progu wieczności, w tych kilku dziwnie głębokich strofkach:

„Boże mój Boże! o jakże się boje
O wieczność moję!

Tys za warunek naszego zbawienia
Wskazał nam słodką cnotę przebaczenia;
A ja dopełnić jój nie byłem w stanie,
Bo nikt mię w życiu nie obraził Panie!

Tak Panie! nikt mię obrazić nie raczył
 Bym dla miłości Twojej mu przebaczył;
 Srogością dla mnie ludzka dobroć była,
 Bo mię tém niebios może pozbawiła.

Jestem więc Panie bez żadnej zasługi,
 Nie uskarbiłem jęj przez wiek tak długi;
 Lękam się kary, którąś mi przeznaczył:
 Bo czy przebaczysz, gdy ja nie przebaczyłem?"

Śpiew łabędzi! Szczęśliwy, komu niebo po-
 zwoli rozpieścić i rozbroić nim srogą śmierć, że
 go tak lekko przenosi z jednego bytu w drugi,
 jak przeniosła wielkopolskiego wieszczą.



Przypiski.

Układając przed laty żywot Kazimierza Brodzińskiego, w powiastkach dla dzieci, aby im dać poznać tego męża wielkiego serca i zasługi — napisałem był powieść pod tytułem: Popas w Piotrkowie, w której wystawiłem spotkanie się autora Wiesława z generałem Morawskim. Że osnowy nie wyssałem sobie z palca, tylko ją wziąłem z notat i anegdot o Brodzińskim udzielonych mi przez panią L.... z Warszawy, liczącą się do wielkich przyjaciółek zażyłych niegdy ze zmarłym poetą, pokazuje się już z tego, że Stefan Witwicki, z którym wiele lat nie widziałem się i nie znośiłem, napisał powieść, podobnie jak ja, na téjże kanwie osnutą, i jak później dowiedziałem się, także udzieloną mu od pani L..., która zdaje się wzięła sobie za pobożny obowiązek grobowiec autora Wiesława ubrać kwiatami swój fantazyi, jakby niedość było ozdobić takowy prawdą jego

życia? Witwicki i ja, obaśmy w najlepszej wierze, z podsuniętego tematu zrobili dwa rodzajowe obrazki, i pewnie ani jemu, ani mnie przez myśl nie przeszło, żeby chciało się komu komponować bajki na karb osób bądź świeżo zmarłych, bądź jeszcze żyjących.

Moja powiastka: Popas w Piotrkowie ukazała się najprzód w Dodatku do „Czasu“ (1850 r.). Witwicki swoją wydrukował niedługo potem w zbiorze powiastek pod napisem: Gadu-Gadu. Kto przypomni sobie jedną lub drugą, zdziwić się może, dlaczego w powyższym żywocie jenerała Morawskiego nie dałem miejsca temu jego spotkaniu się z Brodzińskim, gdy tyle innych drobniejszych przytoczyłem anegdot? Atoli czerpiąc najobfitszy materiał z listów jenerała, znalazłem w nich ustęp, rzecz tę we właściwem przedstawiający świetle, to jest, że całe zdarzenie było zmyśloném.

„W Dodatku do „Czasu“ — pisze Morawski — czytałem powieść o mnie i o Brodzińskim. Pochlebna bardzo, ale ani słowa prawdy; „gdy każda przecie nowella na czémsię prawdziwém, lub tradycyjném opieraćby się powinna, „a potem *ad libitum* snuta. Komponowano na-

„rodowość, charaktery, zdarzenia, historję, czemuż mnie komponować nie mają? Trzeba podać się popędowi wieku i być tém, czém być „każą.“

Bardzo słuszna uwaga, atoli jeszcze wypadało dodać, że co winni autorowie, jeżeli dla ich użytku komponują tradycję, fałszują świadectwo współczesnych, jak to właśnie zaszło w niniejszym przypadku? Nieprzeczę, byłoby o wiele stosowniej gdyby powiastka osnutą była na tle prawdziwego faktu; lubo i tak, choć na zmyślonym stoi, nieprzeciwi się ani wewnętrznej prawdzie charakterów, ani wyobrażeniom i kolorytowi epoki. Pewny jestem, że gdyby podobne spotkanie się, i w tych samych warunkach, zaszło było czy to w Piotrkowie, czy w Lublinie, lub Radomiu, dwaj nasi poeci znaleźliby się z małą różnicą, jak w powieści — zwłaszcza, że jenerał Morawski, jakto w korespondencyi swojej często wyznaje, wielkim był wielbicielem Brodzińskiego, i nieraz o niego kruszył kopię z Kaj. Koźmianem lub Osińskim.

Tłem poezyi i poetycznej powieści jest raczej prawda ducha, prawda charakterów, niż prawda rzeczywistości; bo czyż między wszystkiemi utwo-

rami wyobraźni, a matematycznie ścisłym realizmem, nie leży większa przepaść niż się na oko wydaje? Weźmy n. p. bohaterów żyjących w poezyi ludów; jakąż to różnica między tém, co pieśń o nich śpiewa, a tém, co mówi historya! Bohatyrowie Homera, gdyby z czasów oblężenia Troi dochowały się kroniki, wcale inaczej wyglądałyby niż w Iliadzie; a ów hiszpański Cyd, pełen rycerskiego honoru, pobożności i galantomii kastylskiej, jakim widzimy go w *Romancero*, antypodyczną gra rolę w arabskich kronikach, jedynie prawdziwych, bo współczesnych mu, z których się pokazuje, że to był zuchwały rębacz, nietroszczący się bynajmniej kogo bił, byle bił, czy to braci chrześcian, czy muzułmanów. Poezya średnich wieków pasowała go na chrześcijańskiego rycerza, pogromcę muzułmanów, kiedy on przeciwnie, najpiękniejsze lata życia spędził w służbie królów mahometańskich w Saragossie. W szesnastym wieku, taż poezya zrobiła go świętym, cudotwórcą Rodrygiem. Legenda opowiada, że jakiś zuchwały Żyd zakradł się był do kościoła, gdzie zwłoki Kampeadora spoczywały, i chciał go wziąć za brodę; atoli nieboszczyk dobył sławną *Tizonę* i w Żyda się zamierzył.... przestraszony

śmiałek padł bez zmysłów na ziemię, a przyszedłszy do siebie, opowiadał o tym cudzie. Gruchło to między ludem, i Filip II. dogadzając opinii, starał się już o kanonizacyę dla Cyda. Do byto z grobu zwłoki chrześcijańskiego bohatera, i znaleziono je w ubraniu arabskiem.... Ostatni ten szczegół już nie do legendy, lecz do historyi należy....

Poezya w tym, jak w wielu innych przypadkach, nakazała milczenie historyi. Cyd wiekami zmieniał się, dzika jego fizyonomia uszlachetniała się i piękniała postępowem i rozwojem Hiszpanów. Cyd — to fikcyja, a raczój to lud hiszpański który siebie wyśpiewał i wymodelował w ulubionym rycerzu.....

Nic więc dziwnego, że i nasz wiek tworzy sobie ludzi i zdarzenia takie, jakie do jego przypadają myśli; czyli siebie on śpiewa i modeluje w postaciach i zdarzeniach do różnych należących wieków.

Jedno tylko pogwałcenie prawdy natury ludzkiej, jak niemniej pogwałcenie charakteru i ducha narodowego, zasługuje na nazwę fałszu w poezyi.

Towarzystwo antypojedynkowe.

Pojedynki zakazane są przez religię, prawo i rozum, a więc trzykrotną są zbrodnią. Poddawać się téj zbrodni, jest to powstawać przeciw Bogu, porządkowi społecznemu i prawdziwej cywilizacji.

Piękną jest odwaga, lecz gdy natchniona poświęceniem, wszelka inna jest płochością, występłą wzgardą życia lub brutalską junakeryą. Honor jeżeli nie jest cnotą, jest przesądem, a przesąd jarzmem bezrozumnych, z wszystkich niewoli najmniejnośniejszą.

Aby przeszkodzić rozkrzewianiu się złego aż nadto rozkorzenionego, stanowi się niniejsze towarzystwo. Niemaléj odwagi trzeba do wystąpienia publicznie przeciw tak ogólnemu przesądowi. Walka to długa i olbrzymia, na której czele stanąćby powinien wielki charakter, zasługa znamienita i dane dowody bohaterskiej odwagi.

Nas ośmiela to wiekami stwierdzone doświadczenie, że prawda zawsze w końcu zwycięża. Iluż

to przesądom świat dawniej ulegał, które znikły bezpowrotnie przed słońcem lepszego przekonania. Gdyby historia nie zaświadczała, że przesądom tym hołowali ludzie, wierzyłoby nie chciano, że w saméj rzeczy istniały. Przyjdzie czas, w którym i o pojedynkach świat równie sądzić będzie.

Lecz jeżeli wielkiej odwagi trzeba do pierwszego rzucenia téj zbawiennéj myśli, nie mniej szej trzeba i tym, co pierwsi do niéj przystąpią. Dziesięć pojedynków najświetniejszych odbytych niewyrównają męztwu pierwszych wpisujących się do towarzystwa. Mniejszego przecież wysilenia duszy odwaga ta potrzebuje, niż ta, która się ośmiela na osierocenie żon, dzieci, na dożgonną boleść ojców i matek, na zgubę duszy, zdeptanie praw Boskich i całą wieczność nieszczęścia.

Ogólne uwagi.

1. Wojsko, zwłaszcza stojące, będąc utworem najwyższej władzy, jej się zostawia obmyślenie potrzebnych w téj mierze urządzeń, i z tego powodu nie podciągamy go pod prawa naszej ustawy i towarzystwa.

2. Każdy dobrze wychowany człowiek powinien umieć nieobrażać ni czynem ni słowem. Umie

on unikać zbliżającej się obrazy przez wczesne przerwanie gorętszej rozmowy, lub nadanie jej innego kierunku. Im lepiej kto wychowany, tém zrzęczniej z grożącego wywikła się położenia. Gburactwo jedynie tego dokonać nie umie.

Jeżliby przecież mimo wszelkich usiłowań obraza miała miejsce, załatwioną być powinna podług przepisów, które niniejsza stanowi

Ustawa.

1. Przez przyjaciół stron sprzecznych wybrane mają być osoby do składu sądu polubownego. Osoby te potwierdzone być powinny tak przez obrażonego jak przez obrażającego.

2. Najstarszy wiekiem przewodniczy.

3. Członkowie sądu nie mogą być spokrewnieni z żadną stroną do 3 stopnia inclusive.

4. Sąd ten składać się będzie z 3 lub 5 członków wybranych z towarzystwa. Gdzie obraza czynna, tam zawsze sąd z 5 członków składać się będzie.

5. Większość głosów stanowi.

6. Jaki wyrok wyda sąd polubowny, takiemu obie strony poddać się powinny, i przez wszystkich członków towarzystwa jako prawomocny i dostateczny przyjęty będzie.

7. Roztrzygnięcie to nastąpić może przez zgodzenie spornych osób, przez przeproszenie listowne w podanej przez sąd polubowny formie, osobiste w wyrazach przez tenże sąd postanowionych w obec dwóch świadków przez sąd wyznaczonych, nakoniec przez kary pieniężne na dochód instytutów dobroczynnych, za co kwit ma być w przepisany czasie złożony sekretarzowi towarzystwa. Kary pieniężne zastosowane być mają do kar praw krajowych na injurie.

8. Czynności sądu każdego zapisywane być mają w księdze umyślnie na to sporządzonej, która pod zamknięciem ma być trzymana u sekretarza towarzystwa, a której czytania nikomu dozwalać mu nie wolno.

9. Obraza może być słowem lub czynem osoby bronić się mogącej lub nie.

10. Obrazy słowem podług artykułu 7go załatwione być powinny.

11. Obrazy czynem, jak to przez uderzenie, plwanie na drugiego osobę i tym podobnie, karane będą wykluczeniem z towarzystwa i wszelkiej społeczności, a to podług przewinienia od lat dwóch do na zawsze. Potwarz głoszona drukiem z awsze do czynnych obraz należeć będzie, równie

jak w publicznych mowach rzucona na kogo wyraźnie.

12. Obraża osoby bronić się nie mogącój, jako to dziecka, kobiety lub kapłana, zdwojoną karą obłożona będzie, a to podług tego czy słowną czy czynną była.

13. Łagodzi te kary przebaczenie chrześcijańskie z strony obrażonego lub obrażonej. Przebaczący winien o tém donieść sekretarzowi towarzystwa, a ten sądowi polubownemu.

14. Ktoby nie chciał poddać się wyrokowi sądu polubownego, przez to samo wyklucza się z towarzystwa.

15. Ani wyzywać, ani przyjmować wyzywania nie może należący do towarzystwa od nienależącego do niego. Zatargę zająć mogącą krajowym sądom powierzyć powinien, chyba że nienależący do towarzystwa podda się pod sąd polubowny. Wówczas gdyby żądał tego, możnaby mieszać sąd utworzyć z 4 osób, dwóch należących do towarzystwa i dwóch nienależących do niego, zawsze jednak na ich wybór obie strony zgodzić się winny i sprawa zawsze podług ustaw towarzystwa ma być sądzoną. Przy równości głosów rozstrzyga prezydujący, którym może być

tak należący do towarzystwa jak i nie należący, starszeństwo wieku bowiem stanowi o tem będzie.

16. Ponieważ wykluczenie z wszelkiej społeczności czasowe lub na zawsze, najwyższą jest karą w niniejszej ustawie, przeto niechcąc grzeszyć przeciw względom społecznym i prawom obyczajności, tak rzecz tę rozjaśniamy, iż nie o to idzie, aby się nie znajdować w jednym kole społecznym z ukaranym, lecz o to, aby go nie przyjmować do swoich domów, w żadnej poufnej nie zostawać z nim zażyłości, i wszelkiej styczności unikać, wyjąwszy w obradach i usługach bliźniego lub kraju się tyczących.

17. Balotowanie na wybór członków towarzystwa miejsca mieć nie będzie. Złożony podpis na ustawie będzie dostateczny.

18. Żadnych składek nie zna towarzystwo, ani żadnych zebrań się członków.

19. Lista przyjmujących warunki towarzystwa złożoną będzie u JWXiędza Arcypasterza jako dowód hołdu przepisom kościoła i oznaka postępu prawdziwej cywilizacji wspartej na religii.

20. JWXiędz Arcypasterz wybiera sekretarza. Sekretarz ten obecny będzie wszystkim są-

dom polubownym, jako trzymający pióro, lecz bez głosu doradczego.

21. Sekretarz corocznie jednym okólnikiem zawiadomić powinien wszystkich członków towarzystwa, kto przybył do towarzystwa, lub ubył z niego. Listę tę każdy sobie dla wiadomości wypisze.

22. Każdy członek towarzystwa powinien przy podanej okazji nie tylko śmiało przyznawać się do należenia do towarzystwa, ale ile możliwości i rozszerzać jego zasady, a nadewszystko wzbudzać wszystkie matki, żony i córki do popierania jego tak dalece, iżby młode dziewice na swoich oblubieńcach wymódz się starały tę ofiarę i dowód miłości, że należeć będą do towarzystwa, dla silniejszego zabezpieczenia ich pokoju i szczęścia w pożyciu małżeńskim.

23. Gdyby odmiennego wyznania religijnego ludzie chcieli wstąpić do towarzystwa, przyjąć ich należy, aby nikomu do lepszego nie zagrażać drogi.

24. Ustawa ta nie jest dla samój szlachty, każdy który przeszedł szkoły i uniwersytet, a więc otrzymał stopień wyższego wykształcenia, ma prawo mieszczenia się w niniejszym towarzystwie.

